

# Z jak zwłoki

Sue Grafton



calibre 0.9.27

**SUE GRAFTON**

„Z” JAK ZWŁOKI

Przełożył: DARIUSZ KOPOCIŃSKI

**Wydanie oryginalne: 1986**

Wydanie polskie: 1999

**TIMN**

Autorka pragnie wyrazić serdeczne podziękowania za nieocenioną pomoc, której udzieliły jej następujące osoby: Steven Humphrey; dr Sam Chriman i Betty Johnson z Zespołu Rehabilitacyjnego z Santa Barbara; David Dallmeyer; szeryfowie Tom Nelson i Juan Teleda z Santa Barbara; C. Robert Dambacher, oficer śledczy i zarazem koroner z Los Angeles; Andrew H. Bliss, kierownik archiwum w Centrum Medycznym w Los Angeles; dr Delbert Dickson; dr R.W. Olson; Peg Ortigiesen; Barbara Stephans; Billie Moore Squires; H. F. Richards; Michael Burrige; Midge Hayes i Adelaide Gest z Biblioteki Publicznej w Santa Barbara; Michael Fitzmorris z Security Services Unlimited.

# ROZDZIAŁ 1

Bobby'ego Callahana poznałam w poniedziałek. W czwartek już nie żył. Był przekonany, że ktoś próbuje go zabić, co okazało się prawdą, lecz nikt z nas nie rozwiązał zagadki na czas, by go uratować. Nie pracowałam dotąd dla martwego człowieka i mam nadzieję, że już nigdy nie będę do tego zmuszona. Ten raport jest dla niego, kto nie chce, niech nie wierzy.

Nazywam się Kinsey Millhone. Jestem licencjonowanym prywatnym detektywem, interesy prowadzę w Santa Teresa w Kalifornii, czyli jakieś dziewięćdziesiąt mil na północ od Los Angeles. Mam trzydzieści dwa lata i zdążyłam się już dwa razy rozwieść. Lubię samotność i podejrzewam, że niezależność wpływa na mnie o wiele korzystniej niż powinna. Bobby rzucił temu wyzwanie. Nie wiem do końca jak i dlaczego. Miał zaledwie dwadzieścia trzy lata. Nie połączyło nas romantyczne uczucie, lecz zależało mi na nim i jego śmierć przypomniła mi, niczym kawałek tortu na twarzy, że życie czasami to jeden wielki, bezduszny żart. Wcale nie zabawny, ale okrutny, jak kawały opowiadane przez sześcioklasistów od początków świata.

Był sierpień i uczęszczałam na siłownię w Santa Teresa, próbując odzyskać siły w złamanej lewej ręce. Nastaly upalne dni, promienie słońca piekły bezlitośnie, a niebo wciąż było czyste. Czułam się chora i znudzona, wykonując pchnięcia, skręty i obroty. Przebrnęłam przez dwie sprawy z rzędu, przy których odniosłam więcej obrażeń niż tylko uszkodzenie kości ramienia. Byłam emocjonalnie wyczerpana i potrzebowałam wytchnienia. Na szczęście miałam w tym czasie pokaźne konto w banku, co pozwoliło mi wziąć dwa miesiące wolnego. Równocześnie drażniła mnie beczynność, a fizykoterapeutyczny rygor doprowadzał do szaleństwa.

Santa Teresa Fitness to naprawdę poważne miejsce: trzecia klasa wśród lecznic tego typu. Żadnej sauny, jacuzzi czy muzyki z głośników. Po prostu lustrzane ściany, aparatura do poprawy sylwetki, wykładzina użytkowa w kolorze asfaltu. Cały obszar dwóch tysięcy ośmuset stóp kwadratowych śmierdzi potem. Pojawiałam się tam trzy razy w tygodniu o ósmej rano, rozgrzewałam przez piętnaście minut, a potem przechodziłam do serii ćwiczeń tak dobranych, by wzmocniły i zahartowały mój lewy trójgłowy, obły większy, bicepsy, tricepsy i cokolwiek jeszcze ucierpiało po tym, jak sprano mnie na kwaśne jabłko i przecięłam tor lotu kuli z dwudziestkidwójki. Ortopeda zalecił mi sześć tygodni rehabilitacji, z których dwa miałam już za sobą. Cóż było robić, cierpliwie przenosiłam się z jednego urządzenia na drugie. O tej godzinie byłam zazwyczaj jedyną kobietą na sali, zatem ból, pot i znużenie starałam się ubarwiać lustrowaniem męskich sylwetek, podczas gdy oni lustrowali moją.

Bobby Callahan zjawił się w tym samym czasie co ja. Nie wiedziałam, co mu się przytrafiło, ale cokolwiek to było, przyniosło mu cierpienie. Miał chyba blisko sześć stóp wzrostu i postawę gracza futbolowego: wielką głowę, byczy kark, zwaliste barki, mocne nogi. Jednak teraz jego głowa, zwieńczona gęstwą jasnych włosów, skręcała się na bok, lewa połowa twarzy ściągała w wiecznym grymasie. Z ust ciekła mu ślina, jakby przed chwilą nafaszerowano go nowokainą i nie mógł kontrolować własnych warg. Lewą rękę starał się opierać na biodrze i miał zwykle przy sobie złożoną, białą chusteczkę, którą ocierał podbródek. Straszna, ciemnoczerwona pręga biegła u nasady jego nosa, druga w poprzek klatki piersiowej, natomiast kolana miał pocięte bliznami, jakby schlastał je szermierz. Szedł utykając, lewe ścięgno Achillesa, najwidoczniej skrócone, podciągało piętę do góry. Ćwiczenia musiały wiele go kosztować, lecz nie opuszczał żadnego zajęcia. Cechowała go

jakaś zawziętość, którą podziwiałam. Obserwowałam go z zainteresowaniem, wstydząc się swego utyskiwania. Nie ulegało wątpliwości, że ja mogę wyleczyć obrażenia, on zaś nie. Lecz zamiast współczucia odczuwałam ciekawość.

Tego poniedziałkowego ranka po raz pierwszy zostaliśmy sami na sali gimnastycznej. Ćwiczył mięśnie nóg, leżąc twarzą w dół na ławeczce sąsiadującej z moją i nie zwracając uwagi na otoczenie. Przeniosłam się na urządzenie do wyciskania ciężarów nogami, po prostu dla odmiany. Ważę sto osiemnaście funtów i od tułowia w górę mam tyle ciała, że w zasadzie brak mi mięśni, o które mogłabym dbać. Od czasu wypadku w ogóle nie biegałam, pomyślałam więc, że taka gimnastyka dobrze mi robi. Podnosiłam jedynie sto dwadzieścia funtów, ale i tak mnie bolało. Aby zająć czymś myśli, usiłowałam ocenić, którego urządzenia najbardziej nie cierpię. Przyrząd, którego on używał, miał szansę na pierwsze miejsce. Patrzyłam, jak dwanaście razy wykonuje to samo, po czym zaczyna wszystko od nowa.

– Podobno jest pani prywatnym detektywem – odezwał się, nie wypadając z rytmu. – To prawda?  
– W jego głosie wyczuwało się niewielkie zniekształcenie, które dość dobrze ukrywał.

– Tak. A szuka pan jakiegoś?

– Zgadza się. Ktoś chciał mnie zabić.

– Wygląda na to, że prawie mu się udało. Kiedy to się stało?

– Dziewięć miesięcy temu.

– Dlaczego akurat pana?

– Nie wiem.

Jego uda przeżyły się, ścięгна podkolanowe sztywnością przypominały liny cumownicze. Z twarzy spływał mu pot. Nie myśląc nawet o tym, liczyłam. Sześć, siedem, osiem.

– Nie cierpię tego przyrządu – zauważyłam.

Uśmiechnął się.

– Boli jak cholera, no nie?

– Jak to się stało?

– Późno w nocy przez przełęcz prowadziłem wóz z jednym kolegą. Jakiś samochód podjechał i zaczął walić nas w tylny zderzak. Gdy dotarliśmy do mostu, tuż nad grzbietem wzgórza, straciłem kontrolę i wypadliśmy z drogi. Rick zginął. Wyleciał z auta, które go przygniotło. Też powinienem zginąć. Najdłuższe dziesięć sekund mojego życia, wie pani?

– No chyba. – Most, z którego poszybował, spinał skalisty, porośnięty zaroślami kanion, głęboki na czterysta stóp, ulubione miejsce skoków samobójców. Tak naprawdę nie słyszałam, by ktoś

przeżył upadek z takiej wysokości. – Świetnie panu idzie – podjęłam. – Wyciska pan z siebie siódme poty.

– A co mi pozostało? Po wypadku powiedzieli, że już nigdy nie będę chodził. Powiedzieli, że już nigdy nic nie zrobię.

– Kto powiedział?

– Lekarz rodzinny. Stary konował. Mama wywaliła go na zbity pysk i wezwała specjalistę od ortopedii. On przyprowadził mnie tu z powrotem. Osiem miesięcy byłem na rehabilitacji, a teraz jestem tutaj. A pani co się stało?

– Jeden taki dupek postrzelił mnie w ramię.

Bobby roześmiał się, wydając cudowny, sapiący dźwięk. Skończył ostatni cykl i podparł się na łokciach.

– Przede mną jeszcze dwa przyrzędy, a potem spadajmy stąd – powiedział. – A tak przy okazji, jestem Bobby Callahan.

– Kinsey Millhone.

Wyciągnął dłoń, wymieniliśmy uścisk, pieczętując niewypowiedziany układ. W tej chwili byłam już pewna, że będę dla niego pracować, niezależnie od okoliczności.

Lunch zjedliśmy w barze ze zdrową żywnością, jednym z tych miejsc, gdzie specjalizują się w zgrabnych imitacjach pasztecików, które nigdy nikogo nie wprowadzają w błąd. Sama nie bardzo rozumiem, jaki to ma sens. Wydaje mi się, że wegetarianin poczułby odrazę na sam widok czegoś, co przypomina mielone części krowy. Bobby zamówił burrito z serem i fasolą o rozmiarach zwiniętego ręcznika kąpielowego, polane sosem z awokado, pomidorów i majonezu oraz kwaśną śmietaną. Ja wybrałam podsmażane jarzyny z brązowym ryżem i kieliszkiem białego wina jakiejś bliżej nieokreślonej marki.

Dla Bobby'ego jedzenie wiązało się z wysiłkiem porównywalnym z ćwiczeniami, lecz skupienie, z jakim oddawał się tej czynności, pozwoliło mi na przestudiowanie dalszych szczegółów jego fizjonomii. Zmierzwione włosy wyblakły na słońcu, brązowe oczy ocieniały takie rzęsy, jakie większość kobiet musi kupować. Lewa część jego twarzy nie poruszała się, na silnym podbródku widniała szrama, przywodząca na myśl wschodzący księżyc. Domyślałam się, że podczas tego fatalnego upadku do wąwozu zęby przebiły mu dolną wargę. Jak on to wszystko przeżył?

Zerknął znad talerza. Wiedział, że mu się przyglądam, ale nie miał nic przeciwko temu.

– Masz szczęście, że żyjesz – powiedziałam.

– Najgorsze dopiero ci powiem. Wiesz, spore kawałki mojego mózgu przepadły. – Znowu przeciągał dziwnie wyrazy, jakby sam ten temat wpływał na jego głos. – Dwa tygodnie przeleżałem w śpiączce, a po przebudzeniu nie wiedziałem, co się, do cholery, dzieje. Ciągle jeszcze nie wiem.

Ale pamiętam, jaki byłem dawniej, i to naprawdę boli. Byłem bystry, Kinsey. Dużo wiedziałem. Potrafiłem się skoncentrować i miewałem pomysły. Mój umysł mógł wykonywać takie magiczne przeskoki. Wiesz, co mam na myśli?

Skinęłam głową. Wiedziałam co nieco o umysłach zdolnych do magicznych przeskoków.

– A teraz tylko luki i wolne przestrzenie – ciągnął. – Dziury. Wielkie kawałki przeszłości przepadły. Już nie istnieją. – Przerwał, by wytrzeć nerwowo podbródek, po czym spojrzał gorzko na chusteczkę. – Jezu, fatalnie się ślinię. Gdybym taki był zawsze, nie poczułbym różnicy i mniej by mnie to wkurzało. Myślałbym wtedy, że każdy ma mózg działający podobnie do mojego. Lecz kiedyś byłem szybki. Pamiętam. Skończyłem szkołę średnią, miałem zamiar studiować medycynę. A teraz tylko ćwiczę. Próbuję odzyskać koordynację ruchów, bym mógł chociaż pójść sam do pieprzonej toalety. Gdy nie jestem na sali, spotykam się z psychiatrą Kleinertem i usiłuję dojść z sobą do ładu.

W jego oczach nagle pojawiły się łzy i przerwał, próbując się opanować. Wziął głęboki oddech i potrząsnął gwałtownie głową. Kiedy znów przemówił, jego głos przepelniony był wstrętem do samego siebie.

– No i tak spędzam letnie wakacje. A co z tobą?

– Jesteś pewny, że to była próba zabójstwa, a nie sprawka jakiegoś dowcipnisia lub pijaka?

Namyślał się przez chwilę.

– Poznałem ten samochód. Tak mi się przynajmniej wydaje. Właściwie już nie, lecz wygląda, że... wówczas poznałem ten pojazd.

– Ale nie kierowcę?

Potrząsnął przecząco głową.

– Nie mogę ci teraz powiedzieć. Może go wtedy poznałem, a może nie.

– Mężczyzna? Kobieta? – zapytałam.

– Nie, i to uleciało.

– Skąd wiesz, że to nie Ricka chciano zabić, tylko ciebie?

Odsunął talerz i dał znak, że ma ochotę na kawę. Walczył z sobą.

– Coś się stało i ja to wiedziałem. Tyle pamiętam. Pamiętam nawet, że miałem kłopoty. Bałem się. Ale dlaczego?

– A co z Rickiem? Też był wmieszany?

– Nie sądzę, żeby miał z tym coś wspólnego. Przysięc nie przysięgnę, lecz jestem niemal pewny.



– A gdzie wtedy jechałeś? Może to stanowi klucz do zagadki?

Bobby zerknął do góry. Przy jego ramieniu stała kelnerka z dzbankiem. Począł, aż naleje nam kawy. Odeszła, a on uśmiechnął się nieszczerze.

– Słuchaj, nie wiem, kim są moi wrogowie. Nie wiem, czy moi znajomi wiedzą o tej „rzeczy”, o której zapomniałem. Nie chcę, by ktoś podsłuchał, co mówię... Tak na wszelki wypadek. Wiem, popadam w paranoję, ale nic na to nie poradzę.

Wzrokiem odprowadzał kelnerkę, gdy zbliżała się do kuchni. Odstawiła dzbanek z powrotem do kompletu i przy okienku odebrała zamówienie, zerkając na niego z ukosa. Była młoda i chyba wiedziała, że o niej rozmawiamy. Bobby powtórnie wytarł podbródek, cały czas myślał o czymś intensywnie.

– Jechaliśmy do Stage Coach Tavern. Zwykle gra tam kapela folkowa i chcieliśmy z Rickiem jej posłuchać. – Wzruszył ramionami. – Może chodziło też o coś więcej, ale skąd mogę wiedzieć?

– A jak w tamtym czasie wyglądało twoje życie?

– Byłem świeżo upieczonym absolwentem college’u w Santa Teresa. Pracowałem na niepełnym etacie u Świętego Terry’ego, czekając na potwierdzenie mojego przyjęcia na studia medyczne.

Szpital w Santa Teresa od niepamiętnych czasów nazywano szpitalem Świętego Terry’ego.

– Nie było już na to za późno? Myślałam, że kandydaci na studia medyczne składają podania w zimie, żeby na wiosnę otrzymać odpowiedź.

– No tak, właściwie nie przyjęto mnie od razu, więc po raz drugi złożyłem podanie.

– A co robiłeś u Świętego Terry’ego?

– Byłem „fachowcem od wszystkiego”, naprawdę. Zlecano mi przeróżne zadania. Pracowałem w recepcji, wypełniając formularze przyjęć. Dzwoniłem po podstawowe dane, zakres ubezpieczenia i tym podobne rzeczy. Później przez jakiś czas robiłem w kartotekach, sortowałem informacje, aż mnie to znudziło. Ostatnio jednak pisałem na maszynie na oddziale patologii. Pracowałem dla doktora Frakera. To fajny gość. Czasem pozwalał mi wykonać test w laboratorium. No wiesz, najprostsze rzeczy.

– Nie wygląda mi to na ryzykowną pracę – wtrąciłam. – A co z uczelnią? Czy tarapaty, w jakie wpadłeś, nie wiążą się jakoś ze szkołą? Fakultetem? Studiami? Jedną z działalności pozalekcyjnych, w które się zaangażowałeś?

Potrząsał głową, ale najwidoczniej nic mu nie wpadło do głowy.

– Wątpię. Od czerwca nie chodziłem na zajęcia. Wypadek zdarzył się w listopadzie.

– Ale masz przeczucie, że tylko ty znałeś jakiś fakt, jakkolwiek by on był.



Omiótnął wzrokiem bar i spojrzał na mnie.

– Tak sędzę. Ja i ten, kto chciał mnie dorwać i uciszyć na wieki.

Długo siedziałam, gapiąc się na niego, starając się wczuć w sytuację. Rozmieszałam kawę z mlekiem, najprawdopodobniej surowym. Zwolennicy zdrowej żywności uwielbiają jeść żywe kultury bakterii i tym podobne rzeczy.

– Czy masz choć mgliste pojęcie, od jak dawna wiedziałeś to, co wiedziałeś? Bo tak się zastanawiam... Jeśli potencjalnie było to tak niebezpieczne... to dlaczego od razu wszystkiego nie wyśpiewałeś?

Obserwował mnie z zainteresowaniem.

– Komu? Gliniarzom?

– No jasne. Jeśli trafiłeś na ślad jakiejś kradzieży albo odkryłeś, że ktoś jest rosyjskim szpiegiem... – sypałam możliwościami, które na bieżąco przychodziły mi do głowy. – Albo natknąłeś się na spisek zawiązany w celu zabicia prezydenta...

– Dlaczego nie podniosłem pierwszej lepszej słuchawki i nie zadzwoniłem po pomoc?

– No właśnie.

Milczał.

– Może i podniosłem. Może... Cholera, Kinsey, nie wiem. Nie zdajesz sobie sprawy, jak mnie to irytuje. Początkowo, przez pierwsze dwa, trzy miesiące w szpitalu mogłem myśleć tylko o bólu. Aby utrzymać się przy życiu, musiałem dać z siebie wszystko. W ogóle nie wspominałem tego wypadku. Lecz krok po kroku, wracając do zdrowia, zacząłem znów o nim rozmyślać, chciałem poskładać wszystkie kawałki. Szczególnie gdy powiedzieli, że Rick nie żyje. A o tym dowiedziałem się dopiero po kilku tygodniach. Sędzę, że bali się, iż będę się o to obwiniął, co spowolni moją kurację. Poczuję się okropnie, kiedy już o tym usłyszałem. Bo może byłem pijany i zjechałem z drogi? Musiałem dowiedzieć się, co zaszło, w przeciwnym razie postradałbym zmysły, jakby mój stan już i tak nie był parszywy. Tak czy inaczej, to właśnie wtedy zacząłem kompletować całą układankę.

– Może przypomnisz sobie resztę, skoro już tyle pamiętasz.

– No i w tym tkwi sedno sprawy – powiedział. – Co będzie, kiedy tak się stanie? Zdaje się, że jedyną rzeczą, jaka mnie teraz utrzymuje przy życiu, jest fakt, że nie mogę przypomnieć sobie niczego więcej.

Podniósł głos, po czym zamilkł, i spojrzał nerwowo w bok. Jego niepokój był zaraźliwy i spostrzegłam, że sama rozglądałam się podobnie jak on, zniżając jednocześnie głos, by nikt nie podsłuchał naszej rozmowy.

– Czy grożono ci od tamtego czasu? – zapytałam.

– Hm... nie.

– Żadnych anonimowych listów bądź dziwnych telefonów?

Potrząsał tylko głową.

– Ale niebezpieczeństwo mi grozi. Wiem to na pewno. Od tygodni gnębi mnie to przecucie. Potrzebuję pomocy.

– A spróbowałaś z policją?

– Jasne, że próbowałam. Są zdania, że to był zwykły wypadek. Nie mają dowodów, że popełniono przestępstwo. Cóż, ucieczka z miejsca wypadku. Wiedzą, że ktoś walnął mnie od tyłu i zepchnął z mostu, ale zabójstwo z premedytacją? Daj spokój. A nawet gdyby mi uwierzyli, nie mają tylu ludzi, by przydzielić ich do mojej sprawy. Jestem tylko zwyczajnym obywatelem. Nie przysługuje mi całodobowa opieka policji.

– Może powinieneś wynająć ochroniarza...

– Pieprzyć to! Ciebie potrzebuję.

– Bobby, wcale nie mówię, że ci nie pomogę. Oczywiście, że pomogę. Wyliczam jedynie, jakie masz możliwości. Wygląda na to, że ja tu nie wystarczę.

Pochylił się do przodu i powiedział akcentując mocno słowa:

– Po prostu zbadaj tę sprawę do samych korzeni. Powiedz mi, co się dzieje. Chcę wiedzieć, za co mnie ścigają i jak ich powstrzymać. A wtedy nie będę potrzebował ani gliniarzy, ani ochroniarza, ani kogokolwiek.

Zacisnął usta, podekscytowany. Odchylił się do tyłu.

– A z resztą, pierdolę to – rzekł.

Przesunął się zniecierpliwiony i wstał. Z portfela wyciągnął dwadzieścia dolarów i rzucił je na stół. Ruszył dziarsko do drzwi, choć utykał bardziej niż przedtem. Pochwyciłam torebkę i dogoniłam go.

– Boże, wyluzuj się. Chodźmy do mnie, do biura, tam podpiszemy umowę.

Przytrzymał dla mnie drzwi i wyszłam.

– Mam nadzieję, że stać cię na moje usługi – rzuciłam przez ramię.

Uśmiechnął się słabo.

– Nie dałbym głowy.

Skręciliśmy w lewo, w stronę parkingu.

– Przepraszam, że mnie poniosło – bąknął.

– Daj spokój. Mam to gdzieś.

– Nie byłem pewny, czy potraktujesz mnie serio – powiedział.

– A dlaczego by nie?

– Rodzina myśli, że brak mi piątej klepki.

– No i właśnie dlatego wynająłeś mnie, a nie ich.

– Dzięki – wyszeptał.

Wziął mnie pod rękę, a ja spojrzałam na niego. Twarz miał czerwoną, a w oczach dostrzegłam łzy. Przecierał je niedbale, nie patrząc na mnie. Po raz pierwszy uzmysłowiłam sobie, jaki jest młody. Boże, to był dzieciak, przerośnięty, oszołomiony, wystraszony na śmierć.

Wolno podeszliśmy do mojego samochodu i czułam na sobie litościwe i spłoszone spojrzenia ciekawskich, którzy po chwili odwracali wzrok. Miałam ochotę komuś dokopać.

## ROZDZIAŁ 2

O drugiej po południu kontrakt był podpisany, Bobby dał mi dwa tysiące zaliczki na pokrycie kosztów, po czym podrzucił go pod salę gimnastyczną, gdzie przed lunchem zostawił swoje bmw. Niepełnosprawność upoważniała go do ulgowego miejsca, lecz zauważyłam, że nie skorzystał z niego. Może ktoś tam już parkował, kiedy Bobby przyjechał, a może to upór kazał mu przejść dodatkowe dwadzieścia jardów. Kiedy wysiadł, przechyliłam się nad przednim siedzeniem.

– Kto jest twoim prawnikiem? – zapytałam.

Przytrzymał otwarte drzwi po stronie pasażera, zniżył głowę, by mnie lepiej widzieć.

– Varden Talbot z Talbot and Smith. A co? Chcesz z nim porozmawiać?

– Zapytać go, czy może mi przesłać kopie raportów policyjnych. To by oszczędziło mnóstwo czasu.

– Okay. Zajmę się tym.

– Och, i prawdopodobnie zacznę od twojej najbliższej rodziny. Mogą mieć jakąś teorię na interesujący nas temat. Może zadzwonię do ciebie później i dowiem się, kiedy wszyscy mają wolną chwilę?

Bobby wyraźnie się skrzywił. W drodze do mojego biura opowiadał mi, że jego kalectwo zmusiło go do tymczasowego powrotu do rodzinnego domu, co nie za bardzo jest mu na rękę. Rodzice rozeszli się kilka lat temu i matka wyszła ponownie za mąż; tak naprawdę, był to jej ślub numer trzy. Wyglądało na to, że Bobby nie dogaduje się najlepiej z obecnym ojczymem, lecz ma siedemnastoletnią siostrę przyrodną o imieniu Kitty, którą chyba lubi. Chciałam porozmawiać z całą trójką. Większość spraw zaczynałam od papierkowej roboty, lecz ta od początku była jakaś inna.

– Mam lepszy pomysł – zaproponował Bobby. – Wpadnij do mnie po południu. Około piątej mamuśka zaprasza kilka osób na drinka. Dziś są urodziny ojczyma. Będiesz miała sposobność spotkać się ze wszystkimi.

Zawahałam się.

– Jesteś pewny, że tak będzie w porządku? Czy spodoba się jej, że wpycham się przy tak szczególnej okazji?

– Nic się nie bój. Powiem jej, że przychodzisz. Dla niej to bez różnicy. Masz ołówek? Naszkicuję ci, jak dojechać.

Wygrzebałam z torebki pióro i notes, w którym zapisałam szczegóły.

– Zjawię się koło szóstej – powiedziałam.

– Wspaniale. – Trzasnął drzwiami i oddalił się.

Obserwowałam, jak kuśtyka do samochodu, potem odjechałam.

Mieszkam w czymś, co kiedyś było garażem na jedno auto, a teraz zostało przerobione na jednopokojowe mieszkanie za dwieście dolarów miesięcznie, o powierzchni jakichś piętnastu stóp kwadratowych. Pomieszczenie to służyło mi za salon, sypialnię, kuchnię, łazienkę, garderobę i pralnię. Wszystko, co mam, jest wielozadaniowe i zminiaturyzowane. Mam kombinowaną lodówkę, zlew, piecyk, lilipucią zmywarko-suszarkę, sofę, która zmienia się w łóżko – choć rozkładaniem jej rzadko zawracam sobie głowę, oraz biurko, służące czasem za stół obiadowy. Życie podporządkowuję pracy i moja przestrzeń mieszkalna kurczyła się z każdym rokiem, aż przybrała tę miniaturową postać. Przez pewien okres mieszkałam w przyczepie kempingowej, ale jej przestronność zaczęła mnie przytłaczać. Często przebywam za miastem i nie mam ochoty wydawać pieniędzy na lokal, którego nie używam. Możliwe, że pewnego dnia zredukuję osobiste wymagania do śpiwora, który mogę wcisnąć na tylne siedzenie samochodu, co całkowicie rozwiąże problem czynszu. Jak do tej pory, moje potrzeby są ograniczone. Nie trzymam zwierząt ani kwiatów. Spotykam się z przyjaciółmi, ale nie goszczę ich u siebie. W zasadzie interesuje mnie tylko mycie mojego samochodu z półautomatyczną skrzynią biegów i wertowanie dokumentów ze śledztwa. Nie śpię na pieniądzach, ale opłacam swoje rachunki, co nieco odkładam na czarną godzinę, nie zapominając też o ubezpieczeniu zdrowotnym, nieodzownym w ryzykownej profesji, jaką się param. Podoba mi się moje życie takie, jakie jest, choć staram się tym zbyt nie przechwalać. Co sześć lub osiem miesięcy wpadam na faceta, który rozpala mnie do czerwoności, ale pomiędzy tymi eskapadami żyję w celibacie, co w moim przekonaniu nie zasługuje na wzgardę. Po dwóch nieudanych małżeństwach staram się trzymać gardę wysoko, to samo zresztą dotyczy majątek.

Moje mieszkanie znajduje się przy skromnej, ocienionej szpalerem palm ulicy, od plaży dzieli go jedna przecznica. Wynajmuję je od niejakiego Henry'ego Pittsa, który mieszka w głównym budynku posiadłości. Henry ma osiemdziesiąt jeden lat, jest emerytowanym piekarzem, dorabiającym dzięki pieczeniu chlebów i ciastek, które wymienia z miejscowymi handlarzami na dobra i usługi. Obsługuje przyjęcia dla zwiędłych babuń z okolicy, a w wolnym czasie układa krzyżówki, których niepodobna rozwiązać. Jest bardzo przystojnym mężczyzną: wysokim, smukłym i śniadym, z niesamowicie białymi włosami – wyglądającymi miękko, niczym kędziorki niemowlaka – oraz arystokratycznym obliczem. Jego oczy są fioletowobłękitne, w kolorze jutrzeńki, emanują inteligencją. Henry jest troskliwy, litościwy i słodki. Zatem nie zdziwiłabym się bardzo, gdybym, wracając do domu, zastała go w towarzystwie laleczki, popijającej w ogrodzie burbona z miętą i lodem.

Jak zwykle zaparkowałam samochód przed frontem budynku, po czym obeszłam dom dokoła, gdyż wejście mam od tyłu. Z mojego mieszkania rozciąga się dość malowniczy widok. Henry ma za domem kawałek trawnika, płaczącą wierzbę, krzaki róż, dwa karłowate drzewka cytrynowe i małe, wyłożone kamiennymi płytami patio. Właśnie wychodził z tacką w rękę, kiedy mnie dostrzegł.

– Ach, Kinsey! Dobrze, że jesteś. Podejdź no tu do nas. Chcę, abyś kogoś poznała.

Podążyłam za jego spojrzeniem i spostrzegłam kobietę wyciągniętą na jednym z krzeseł ogrodowych. Musiała być po sześćdziesiątce, jej pulchne ciało wieńczyła korona ufarbowanych na kasztan włosów. Twarz miała pomarszczoną, niczym delikatnie wyprawiona skóra, makijaż dość dobrze zrobiony. To jej oczy wprawiły mnie w zakłopotanie: aksamitnie brązowe, całkiem duże i przez chwilę jadowicie na mnie spojrzały.

Henry położył tackę na okrągłym, metalowym stoliku otoczonym krzesłami.

– Przedstawiam ci Lilę Sams – powiedział, potem wskazał na mnie. – A to moja lokatorka, Kinsey Millhone. Lila od niedawna mieszka w Santa Teresa. Wynajmuje pokój u pani Lowenstein.

Wyciągnęła rękę, klekocząc przy tym czerwonymi bransoletkami z plastiku i wykonując ruch, jakby miała zamiar niezgrabnie podnieść się z krzesła.

Przeszłam przez patio.

– Proszę nie wstawać – odrzekłam. – Witamy w sąsiedztwie. – Uścisnęłam jej dłoń, uśmiechając się towarzysko. Uśmiech, jakim mnie uraczyła w odpowiedzi, przeczył chłodnemu spojrzeniu, co kazało mi zastanowić się, czy może nie zinterpretowałam jej miny opacznie. – Z jakiej części kraju pochodzisz?

– Stąd i stamtąd, zewsząd – odparła, zerkając ukradkiem na Henry'ego. – Nie byłam pewna, jak długo tu zostanę, lecz Henry sprawia, że czuję się tu bardzo dobrze.

Miała na sobie krótką sukienkę na ramiączkach, z jaskrawym, zielono-żółtym nadrukiem na białym tle. Jej piersi przypominały dwa pięcioletowe opakowania mąki, z których wysypano część zawartości. Korpus i talia dźwigały większość wagi, tęgie biodra zwężały się, a łydki i stopy były niczego sobie. Włożyła czerwone, płócienne buty na wysokim obcasie. W uszach nosiła czerwone, plastikowe klipsy. Mój wzrok błędził po niej, jak po obrazie olejnym, aż zauważyłam wszystkie detale. Chciałam ponownie spojrzeć jej w oczy, lecz ona badała tackę, którą Henry podsunął jej pod nos.

– No, no. Co my tu mamy? Czy aby nie jesteś przypadkiem słodziutkim ciasteczkiem?

Henry przygotował talerz pełen kanapek. Należy do tych ludzi, którzy potrafią skoczyć do kuchni i wyczarować smakowite przekąski z puszek pochowanych w ciemnych zakamarkach kredensu. W ciemnym zakamarku mojego kredensu znajduje się jedynie stare pudełko mąki kukurydzianej z robakami.

Czerwone paznokcie Lili uformowały się w miniaturowy dźwig. Chwytała nim kanapkę i transportowała do ust. Kanapka wyglądała mi na grzankę z odrobiną wędzonego łososia i szczyptą majonezu ze szczypiorkiem.

– Mmm, to cudowne – powiedziała z pełnymi ustami, po czym wylizała paznokcie, jeden po drugim.

Nosiła kilka ciężkich pierścionków z diamentami, kamienie otoczone były rubinami, zauważyłam też kwadratowy szmaragd wielkości znaczka pocztowego, z diamentem po każdej stronie. Henry podsunął mi talerz z kanapkami.

– Może skosztujesz którejś, a ja w tym czasie przygotuję ci drinka?

Potrząsnęłam przecząco głową.

– Lepiej nie. Chyba trochę pobiegam, później czeka mnie mnóstwo pracy.

– Kinsey jest prywatnym detektywem – zwrócił się do kobiety.

Lila wytrzeszczyła oczy i zamrugła zdumiona.

– A niech mnie kule biją, to interesujące! – mówiła wylewnie, wkładając w słowa więcej entuzjazmu, niż wymagała etykieta. Nie wywarła na mnie zbyt dużego wrażenia i jestem pewna, że to wyczuła. Z reguły lubię starsze kobiety. W rzeczywistości lubię niemal wszystkie kobiety. Uważam, że z natury są otwarte i chętne do zwierzeń, zabawnie szczere, kiedy rozmawiają o mężczyznach. Ta należała do starej szkoły: była roztrzepana i uwodzicielska. Wzgardziła mną od pierwszego wejrzenia.

Spojrząwszy na Henry’ego, pogłaskała oparcie krzesła.

– Może byś już usiadł, mój niegrzeczny chłopcze. Nie pozwolę, byś usługiwał mi niczym niańka. Czy uwierzysz, Kinsey? Całe popołudnie tylko przynosi to lub tamto. – Nachyliła się nad talerzem z kanapkami, zauroczona. – A to co?

Popatrzyłam na Henry’ego, niemal oczekując, że spojrzy na mnie z niemym bólem w oczach. Zamiast tego usiadł na krześle zgodnie z rozkazem i popatrzył na talerz.

– Wędzona ostryga. A to sos korzenny i nieco śmietany z serkiem. Będzie ci smakowało. Zobaczysz. Proszę.

Najwidoczniej zamierzał ją karmić, ale ona cmoknęła tylko niezgrabnie w jego kierunku.

– Przestań. Sam skosztuj jedną. Zepsujesz mnie do cna, i jeszcze przez ciebie przybiorę na wadze!

Czułam, że na mej twarzy odbija się zażenowanie, kiedy obserwowałam, jak ich głowy zbliżają się do siebie. Henry jest pięćdziesiąt lat starszy ode mnie i nasze wzajemne kontakty zawsze były bardzo przyzwoite, lecz zastanawiałam się, czy tak właśnie czuł się podczas tych nielicznych chwil w przeszłości, gdy widział faceta, wytaczającego się z mojego mieszkania o szóstej nad ranem.

– Pogadamy później, Henry – powiedziałam, ruszając w stronę drzwi. Nie sądzę, żeby mnie usłyszał.

Przebrałam się w kamizelkę i spodnie z wysoko obciętymi nogawkami, zasznurowałam buty do biegania, potem wymknęłam się bez zwracania czyjejkolwiek uwagi. Rażno minęłam jedną przecznicę dzielącą mnie od Cabany, szerokiego bulwaru biegnącego równolegle do plaży, po czym zaczęłam biec. Dzień był upalny, ani jedna chmurka nie zasłaniała nieba. Dochodziła trzecia i nawet morskie fale toczyły się leniwie. Dmuchająca znad oceanu bryza była gęsta od soli, na plaży walały się rupiecie. Nie wiem, skąd przyszedł mi do głowy pomysł z bieganiem. Nie miałam kondycji, sapałam i dyszałam; nim przebiegłam pierwsze ćwierć mili, moje płuca paliły żywym ogniem. Lewe ramię bolało, nogi miałam jak z waty. Zawsze biegam, kiedy pracuję, i chyba dlatego wybrałam się na jogging. Biegłam, by strząsnąć rdzę i sztywność ze stawów. Choć jogging traktuję poważnie, nigdy nie byłam wielką zwolenniczką ćwiczeń. Po prostu nie przychodzi mi do głowy żaden inny pomysł,



by poprawić sobie samopoczucie.

Pierwsza mila była czystym bólem i znienawidziłam każdą jej minutę. Druga mila – poczułam uderzenie endorfin; trzecia mila – znalazłam wreszcie swoje tempo i mogłam już biec w nieskończoność. Sprawdziłam zegarek. Wskazywał trzecią trzydzieści trzy. Nie twierdziłam nigdy, że jestem szybka. Zwolniłam i przeszłam do marszu, ociekałam potem. Zapłacę za to następnego dnia, byłam o tym święcie przekonana, lecz na razie czułam się rozluźniona, a mięśnie miałam rozgrzane. Wykorzystałam spacer do domu, żeby się ochłodzić.

Gdy nareszcie dotarłam do mieszkania, byłam tak spocona, że trzęsłam się z zimna, i z niecierpliwością myślałam o gorącym prysznicu. Patio było opuszczone, puste kieliszki stały obok siebie. Tylne drzwi do mieszkania Henry’ego były zamknięte, a zasłony w oknach zasunięte. Kluczem, który przywiązuję do sznurówki, otworzyłam drzwi mieszkania.

Umyłam włosy, ogoliłam nogi, wskoczyłam w szlafrok i sprzątnęłam biurko oraz kuchnię. W końcu włożyłam spodnie, bluzkę, sandały i skropiłam się wodą kolońską. O piątej czterdzieści pięć złapałam wielką, skórzaną torebkę i wyszłam, zamykając za sobą drzwi.

Po sprawdzeniu instrukcji informującej, jak dotrzeć do domu Bobby’ego, skręciłam w lewo na Cabanę, przejechałam blisko schroniska dla ptaków, potem pognałam drogą, która wiję się do Montebello, gdzie podobno żyje więcej milionerów na mili kwadratowej niż w jakiegokolwiek społeczeństwie w kraju. Nie wiem, czy to prawda. Mieszkańcy Montebello tworzą majątkową mieszkankę. Choć w zamożne posiadłości wplatają się obecnie domy klasy średniej, ogólnie pachnie tu pieniędzmi, a wrażenie to jest starannie podtrzymywane; klasyczna elegancja przywodzi na myśl czasy, kiedy z bogactwem obnoszono się dyskretnie, a majątkiem popisywano jedynie przed równymi sobie magnatami finansowymi. Bogacze w dzisiejszych czasach są tylko krzykliwymi naśladowcami swych dawnych odpowiedników z Kalifornii. Montebello ma własne „slumsy”, przedziwne łańcuszek bud wykładanych deskami, sprzedawanych po sto czterdzieści tysięcy dolarów za sztukę.

Adres, który dostałam od Bobby’ego, wskazywał na West Glen, wąską drogę ocienioną eukaliptusami i platanami, opasaną murkami z ręcznie ciosanego kamienia, które wiją się w stronę domostw zbyt odległych, by dostrzegło je oko przejeżdżającego kierowcy. Stróżówki wskazują na istnienie okazałych posiadłości w głębi, lecz w większej części West Glen wędruje wśród zagajników dębów wirginijskich, gdzie przez listowie przedzierają się promienie słońca, bzyczą trzmielę pośród ogniście różowych kwiatów pelargonii i wszędzie pachnie lawendą. Była szósta i ściemnić się miało dopiero za jakieś dwie godziny.

Znalazłam właściwy numer i, zwalniając, wjechałam na podjazd. Na prawo stały trzy domki wykładane białym stiukiem, sprawiały wrażenie wzniesionych przez trzy małe świnki. Rozglądałam się, nie mogąc odnaleźć parkingu. Toczyłam się więc do przodu, w nadziei, że miejsce do parkowania znajduje się za zakrętem, który był przede mną. Zerknęłam przez ramię, zastanawiając się, dlaczego w zasięgu wzroku nie ma żadnych samochodów i który z niewielkich bungalówów należy do rodziny Bobby’ego. Na moment ogarnął mnie niepokój. Chyba miał na myśli to popołudnie, a może nie? Wyobrażałam sobie, że przyjeżdżam w zły dzień. Wzruszyłam ramionami. No i co z tego? Gorsze wpadki przeżyłam już w życiu, choć akurat w tej chwili żaden nie przychodził mi do głowy. Skręciłam, szukając miejsca do zaparkowania wozu. Odruchowo wcisnęłam hamulec i

zatrzymałam się z piskiem opon.

– Do stu diabłów! – wyszeptałam.

Alejka wychodziła na obszerny dziedziniec wyłożony płytami. Tuż przed sobą zobaczyłam dom. Wiedziałam podświadomie, że Bobby Callahan mieszka tutaj, a nie w żadnym z tych zacisznych, ślimaczych domeczków, na które się natknęłam. Możliwe, że zbudowano je dla służby. Ten natomiast był czymś naprawdę wielkim.

Dom miał rozmiary budynku szkoły średniej, do której uczęszczałam; projektował go chyba ten sam architekt, Dwight Costigan, nieżyjący już, który w czasie ponad czterdziestu lat samotnej pracy tchnął w Santa Teresa nowego ducha. Styl, jeśli się nie mylę, nawiązywał do hiszpańskiego odrodzenia. Przyznaję, że ze wzdrganiem odnoszę się do białych ścian wykładanych stiukiem i dachów krytych czerwoną dachówką. Drwię z arkad i z bugenwilli, sztucznie postarzanych belek i balkonów, ale jeszcze nigdy nie oglądałam tego wszystkiego w takim połączeniu.

W środkowej partii domu były dwie kondygnacje, każda miała po bokach dwie arkady kruzganków. Łuk, łuk, wszędzie łuki, wsparte na wysmukłych kolumnach. Także kępy wiotkich palm, rzeźbione portale, okna z maswerkiem. Wzniesiono nawet kampanilę z dzwonem, przypominającą stary misyjny kościółek. Wszystko to przypominało trochę klasztor, a trochę plan zdjęciowy. Cztery mercedesy stały zaparkowane na dziedzińcu, jakby kręcono tu film reklamowy. Pośrodku – strumieniem wody wysokim na piętnaście stóp – tryskała fontanna.

Zatrzymałam się na uboczu, a potem spojrzałam krytycznie na swój ubiór. Spodnie, co dopiero teraz zauważyłam, miały plamę na udzie, którą mogłam ukryć jedynie poprzez nieustanne zginanie się do przodu, bo wtedy zwisająca bluzka sięgnęłaby dostatecznie daleko. Sama bluzka była w porządku: półprzeźroczysta i czarna, z prostokątnym dekoltem, długimi rękawami i ściągającym ją paskiem. Przez chwilę rozważałam możliwość powrotu do domu i zmiany ubrania. Lecz uświadomiłam sobie, że i tam nie mam nic szczególnie lepszego. Przekręciłam się w stronę tylnego siedzenia i zaczęłam grzebać w niewiarygodnej kolekcji gratów, jakie tam trzymam. Jeżdżę volkswagenem, jednym z tych bezosobowych beżowych sedanów, na ogół doskonałym przy mojej profesji. Jednak w tym przypadku powinnam była wynająć przedłużoną limuzynę. Volkswagenami zapewne jeżdżą tu ogrodnicy.

Odgarnęłam książki prawnicze, pudełka z pilniczkami, zestaw narzędzi, walizkę, w której przechowuję broń. Ach, właśnie tego szukałam: starej pary rajtuzów, przydatnej w awaryjnych sytuacjach. Na podłodze znalazłam parę szpilek, które kupiłam wtedy, gdy zamierzałam udawać prostytutkę w obskurnej dzielnicy Los Angeles. Kiedy wówczas przybyłam na miejsce, okazało się – oczywiście – że wszystkie dziwki wyglądają jak uczennice college’u, więc zrezygnowałam z tego przebrania.

Po zdjęciu sandałów cisnęłam je na tylne siedzenie i wykręciłam się z długich spodni. Wężowym ruchem wślizgnęłam się w rajtuzy, śliną wypolerowałam lakierowane pantofelki i włożyłam je pośpiesznie. Wysunęłam pasek z bluzki i zawiązałam go wokół szyi w egzotyczny węzeł. Na dnies torebki znalazłam kredkę do oczu i trochę różu, dzięki czemu mogłam szybko poprawić makijaż, w tym celu wykorzystywałam lusterko wsteczne. Oceeniłam, że choć wyglądam cudacznie, oni tego nie zauważą. Z wyjątkiem Bobby’ego nikt mnie przedtem nie widział. Miałam taką nadzieję.

Wysiadłam z auta i złapałam równowagę. Szpilek tej wysokości nie nosiłam od czasów pierwszej klasy, gdy bawiło mnie przebieranie się w stare ciuchy ciotki. Bez paska bluzka zwisała do połowy uda, a lekka tkanina przywarła do bioder. Jeśli przejdę przed snopem światła, zobaczą moje majtki bikini, lecz co z tego? Skoro nie stać mnie na porządne ubranie, przynajmniej mogę odwrócić ich uwagę od tego przykrego faktu. Odetchnęłam głęboko i stukając szpilekami, podeszłam pod drzwi.

## ROZDZIAŁ 3

Zadzwoiłam. Usłyszałam echo dzwonka, przetaczające się po domu. Po chwili oczekiwania otworzyła mi czarna służąca w białym fartuchu, przywodząca na myśl salową. Miałam ochotę paść w jej ramiona i prosić, żeby zaciągnęła mnie do szpitala, tak bolały mnie stopy; zamiast tego wymieniłam swe nazwisko, mrucząc, że oczekuje mnie Bobby Callahan.

– Tak, pani Millhone. Proszę tędy.

Odsunęła się na bok, a ja weszłam do holu. Sufit w tym miejscu unosił się na wysokość drugiego piętra, światło przeciskało się do wewnątrz poprzez serię okien, które towarzyszyły szerokim schodom pnącym się z lewej strony. Podłogę wyłożono płytkami w kolorze delikatnej czerwieni, wypolerowanymi do połysku. Chodniki z perskich dywanów miały stonowane wzory. Z kutych prętów przypominających antyczny arsenał zwieszały się gobeliny. Temperaturę powietrza ustawiono perfekcyjnie, wszędzie panował miły chłód, bujna roślinna kompozycja stojąca na ciężkim stole intensywnie pachniała. Poczułam się, jakbym odwiedziła muzeum.

Służąca poprowadziła mnie korytarzem do salonu tak ogromnego, że ludzie na drugim końcu przypominali krasniali. Kamienny kominek musiał mieć jakieś dziesięć stóp szerokości i dwanaście wysokości, można by w nim swobodnie upiec wołu. Meble były bardzo komfortowe i megalityczne. Cztery kanapy sprawiały wrażenie solidnych, krzesła były obszerne i tapicerowane, z szerokimi oparciami, przypominały mi trochę fotele pierwszej klasy w samolocie. Nie dostrzegłam żadnego schematu, jeśli chodzi o kolory, i zastanawiałam się, czy tylko w klasie średniej panuje przekonanie, że należy wynająć kogoś, by dopasował wszystko kolorystycznie.

Dojrzałam Bobby'ego, który – chyba z litości – pokuśtykał w moją stronę. Zobaczył, że nie przygotowałam się odpowiednio na to przedstawienie.

– Wybacz, mogłem cię ostrzec – powiedział. – Pozwól, że przyniosę ci drinka. Czego się napijesz? Mamy białe wino, lecz gdybym ci powiedział jakie, pomyślałabyś, że chcę zaszpanować.

– Świetnie, może być wino – odpowiedziałam. – Szpan doprowadza mnie do obłędu.

Kolejna służąca, nie ta, która otworzyła mi drzwi, tylko druga, specjalnie przeszkolona do salonu, przewidziała życzenie Bobby'ego i podeszła do nas z kieliszkami pełnymi wina. Wzdrygnęłam się na myśl, że mogę okryć się hańbą, wylewając drinka na bluzkę lub zahaczając obcasem o dywan. Bobby wręczył mi kieliszek wina, z którego upiłam mały łyżeczek.

– Czy wychowałeś się w tym miejscu? – zapytałam. Niełatwo było wyobrazić sobie dziecięce zabawki w pomieszczeniu kojarzącym się z kościelną nawą. Nagle poczułam wykwintny smak wina. Przez nie znienawidzę tę breję z kartonowych pudełek, którą zazwyczaj piję.

– Hm, no tak – odparł, rozglądając się teraz wokoło z zaciekawieniem, jakby absurdalność tego faktu dotarła do niego dopiero teraz. – Miałem niańkę, oczywiście.

– No jasne, czemu nie? Czym zajmują się twoi rodzice? Czy może mam zgadywać?

Bobby uraczył mnie krzywym uśmiechem i wytarł podbródek, jakby trochę onieśmielony.

– Mój dziadek ze strony matki na przełomie stuleci założył wielką firmę chemiczną. Sądzę, że opatentowali z połowę produktów nieodzownych dla cywilizacji. Natryski, płyny do płukania ust, różne przyrządy do kontroli urodzeń, mnóstwo lekarstw nie na receptę, a także rozpuszczalniki, stopy, produkty przemysłowe. Lista jest całkiem długa.

– Bracia? Siostry?

– Tylko ja.

– Gdzie teraz przebywa twój ojciec?

– W Tybecie. Ostatnio zajął się wspinaczką górską. W zeszłym roku mieszkał w aśramie w Indiach. Jego dusza ewoluuje w tym samym tempie, co rachunek na karcie kredytowej.

Dotknęłam dłonią ucha.

– Czyżbym wykryła jakąś wrogość?

Bobby wzruszył ramionami.

– Może sobie pozwolić na zajmowanie się Wielkimi Tajemnicami, zapewniła mu to odprawa, jaką otrzymał od mojej matki po rozwodzie. Udaje, że odbywa wielką duchową podróż, podczas gdy folguje tylko swoim namiętnościom. Tak naprawdę nie miałem o nim złego mniemania, dopóki po tym wypadku nie przyjechał do mnie. Siedział przy moim łóżku i uśmiechał się dobrotliwie, wyjaśniając, że w tym życiu będę musiał przywyknąć do mego kalectwa. – Spojrzał na mnie z dziwnym uśmiechem. – Wiesz, co powiedział na wieść o śmierci Ricka? „To miło. Znaczy, jest już po pracy”. Tak się tym zdenerwowałem, że doktor Kleinert zakazał mu mnie odwiedzać. Dlatego wrócił na swe himalajskie ścieżki. Rzadko otrzymujemy wiadomości od niego, ale to chyba i lepiej.

Bobby przerwał. Przez moment walczył, by powstrzymać łzy cisnące się do oczu. Powiodłam wzrokiem za jego spojrzeniem, wbitym w gromadkę ludzi stojących przy kominku. Z grubsza licząc było ich chyba dziesięciu.

– Która to twoja matka?

– Kobieta w kremowym kostiumie. Facet stojący tuż za nią to mój ojczym, Derek. Od trzech lat są po ślubie, ale chyba nie układają im się za dobrze.

– Jak to?

Bobby jakby starał się wybrać jedną z kilku odpowiedzi, ale wreszcie tylko w milczeniu nieznacznie potrząsnął głową. Popatrzył na mnie.

– Jesteś gotowa, żeby się z nimi przywitać?

– Najpierw opowiedz mi o pozostałych. – Odkładałam tę chwilę na później.

Obserwował grupę.

– Znam tylko niektórych. Tej kobiety w niebieskim w ogóle nie pamiętam. Wysoki, siwowłosy jegomość to doktor Fraker. Jest patologiem, dla którego pracowałem przed wypadkiem. I mężem tej rudej, rozmawiającej z moją matką, która jest członkiem zarządu Świętego Terry’ego, więc zna się z tymi wszystkimi medykami. Ten łysiejący, mocno zbudowany mężczyzna, to doktor Metcalf, a rozmawia z doktorem Kleinertem.

– Twoim psychiatrą?

– Właśnie. Jego zdaniem postradałem zmysły, ale to dobrze, bo wierzy, że może mi pomóc. – W głosie Bobby’ego usłyszałam gorycz i zrozumiałam, z jaką wściekłością każdego dnia się zмага.

Jak na zawołanie doktor Kleinert odwrócił się, by się nam przypatrzeć; po chwili jego wzrok poszybował gdzieś dalej. Wyglądał na mężczyznę tuż po czterdziestce, ze swymi rzadkimi, kręconymi, szarymi włosami i smutnym wyrazem twarzy.

Bobby zmusił się do uśmiechu.

– Powiedziałem mu, że wynajmuję prywatnego detektywa, ale chyba jeszcze nie połapał się, że chodzi tu o ciebie, bo podszedłby na pogawędkę, by nas podleczyć.

– A co z twoją przyrodnią siostrą? Gdzie ona jest?

– Prawdopodobnie w swoim pokoju. Nie jest zbyt towarzyska.

– Kim jest ta mała blondynka?

– Najlepsza przyjaciółka mojej matki. Jest pielęgniarką na oddziale chirurgii. No, dalej – ponaglił mnie niecierpliwie. – Czas, byś wypłynęła na głęboką wodę.

Ruszyłam za Bobbym, utrzymując z nim równy krok, gdy utykając zmierzał w stronę kominka, gdzie zebrali się goście. Jego matka bacznie nas obserwowała; dwie kobiety umilkły w pół słowa, by zobaczyć, co odwróciło jej uwagę.

Wyglądała młodo, jak na matkę dwudziestotrzylatka, była szczupła, miała wąskie biodra i długie nogi. Jej włosy tworzyły zbitą, błyszczącą gęstwę w jasnobrązowym kolorze, sięgającą niemal do ramion. Oczy miała małe i głęboko osadzone, twarz pociągłą, usta szerokie. Dłonie eleganckie, a palce długie i wąskie. Włożyła jedwabną kremową bluzkę i lnianą spódnicę, spiętą w talii. Jej biżuterię stanowiły złote, misterne łańcuszki na szyi i nadgarstku. Spojrzenie, jakim obrzuciła Bobby’ego, było tak intensywne, że wyczułam ból, z jakim patrzyła na jego powykrzywianą sylwetkę. Potem wzrok przeniosła na mnie, uśmiechając się uprzejmie.

Postąpiwszy do przodu, wyciągnęła rękę.

– Jestem Glen Callahan. A pani z pewnością nazywa się Kinsey Millhone. Bobby mówił, że pani wpadnie. – Jej głos był głęboki, gardłowy. – Proszę czuć się jak u siebie. Porozmawiamy później.

Uścisnęłam wyciągniętą dłoń, zdziwiona jej szczupłością i ciepłem. Uścisk miała żelazny.

Spojrzała na kobietę po swej prawej stronie, przedstawiając jej moją osobę.

– To Nola Fraker.

– Miło mi – powiedziałam, ściskając wyciągniętą dłoń.

– A to Sufi Daniels.

Cicho wymieniliśmy uprzejmości. Nola była ruda, miała błyszczącą i gładką skórę oraz błękitne, szkliste oczy; jej ciemnoczerwony, jednoczęściowy kostium odsłaniał ręce i głębokie „V” nagiego ciała, rozciągające się od szyi po talię. Lepiej, żeby się nie schylała ani nie wykonywała jakichś gwałtownych ruchów. Miałam przeczucie, że skądś już ją znam. Możliwe, że widziałam jej zdjęcie w rubryce towarzyskiej. Przestało mnie to nurtować, ponieważ byłam ciekawa, na jaki temat toczy się rozmowa.

Druga kobieta, Sufi, była mała i miała wadę budowy – potężny tułów i przygarbione plecy. Włożyła pastelowy, welurowy dres, który wyglądał, jakby nigdy w nim nie ćwiczyła. Jej blond włosy były rzadkie i delikatne, moim zdaniem trochę za długie, żeby dodawały jej urody.

Po grzecznej pauzie cała trójka wróciła do przerwanej rozmowy, ku mojej uldze. Nie miałam zielonego pojęcia, o czym z nimi mówić. Nola opowiadała o resztkę materiału za trzydzieści dwa dolary, który szykowała na degustację win w Los Angeles.

– Odwiedziłam wszystkie sklepy w Montebello, ale to niedorzeczne! Nie zapłacę czterystu dolców za kostium. Nawet dwustu! – dodała energicznie.

To mnie zaskoczyło. Wyglądała na kobietę lubiącą ekstrawagancję. Chyba że miałam o tym mylne pojęcie. Wydaje mi się, że kobiety z pieniędzmi jeżdżą do Beverly Hills, by poprawić sobie nogi, na Rodeo Drive dodając do rachunku ze dwie błyskotki, potem wstępują na charytatywny posiłek w cenie półtora tysiąca od talerza. Nie potrafiłam wyobrazić sobie, jak Nola Fraker grzebie w koszu z wyprzedawanym towarem w naszym lokalnym Stretch N’ Sew. Może jako dziewczynka cierpiała biedę i nie przywykła jeszcze do korzyści wynikających z małżeństwa z lekarzem?

Bobby ujął mnie pod ramię i poprowadził w stronę mężczyzn. Przedstawił mnie ojczymowi, Derekowi Wennerowi, a potem doktorom Frakerowi, Metcalfowi i Kleinertowi. Nim zdołałam pozbiierać myśli, pognął mnie w kierunku holu.

– Wejdzmy na górę. Znajdziemy tam Kitty, a potem oprowadzę cię po domu.

– Bobby, ja chcę porozmawiać z tymi ludźmi! – powiedziałam.

– Nie przesadzaj. Są nudni i nie mają o niczym pojęcia.



Kiedy mijaliśmy stolik, chciałam odstawić kieliszek z winem, ale on potrząsnął głową.

– Zabierz go z sobą.

Ze srebrnego kubelka z lodem wyciągnął butelkę wina i wepchnął ją pod pachę. Poruszał się naprawdę zwinnie, rzecz jasna jak na kulawego, natomiast ja słyszałam, jak moje szpilki stukoczą nieelegancko, gdy szliśmy do foyer. Zatrzymałam się na sekundę, żeby zrzucić buty, po czym go dogoniłam. W postawie Bobby'ego było coś, co mnie rozśmieszało. Pomiędzy ludźmi, których nauczono mnie szanować, przywykł zachowywać się zgodnie ze swym widzimisię. Moja ciotka byłaby pod wrażeniem takiego towarzystwa, lecz Bobby chyba nie był.

Weszliśmy po schodach; Bobby korzystał z poręczy z gładkiego kamienia.

– Czy twoja matka nie używa nazwiska Wenner? – zapytałam, idąc za nim.

– Nie. Tak się składa, że Callahan to jej panieńskie nazwisko. Gdy rodzice rozwiedli się, swoje też zmieniłem na Callahan.

– To trochę niezwykle, chyba się zgodzisz?

– Ja na to patrzę inaczej. To palant. Nie chcę, by łączyło mnie z nim coś więcej, niż łączy matkę.

Galeria na szczycie tworzyła półokrąg. Minąwszy sklepione przejście, znaleźliśmy się w korytarzu poprzecinanym w regularnych odstępach pokojami. Większość drzwi pozamykano. Pomału zapadał zmierzch i na górze zrobiło się ponuro. Kiedyś prowadziłam śledztwo w sprawie zabójstwa w ekskluzywnej szkole dla dziewcząt, tam też panowała podobna atmosfera. Dom wyglądał jak przekształcony na potrzeby jakiejś instytucji, tracił osobowość i ciepło. Bobby zapukał w trzecie drzwi po prawej stronie.

– Kitty?

– Chwileczkę! – odkrzyknęła.

Uśmiechnął się szeroko.

– Będzie naćpana.

No tak, czemu nie? – pomyślałam z dezaprobatą. Siedemnaście lat.

Drzwi otworzyły się i wyjrzała na zewnątrz, podejrzliwie taksując wzrokiem Bobby'ego i mnie.

– A to kto?

– A niech to, Kitty! Nie możesz, do cholery, zachowywać się normalnie?

Odsunęła się obojętnie. Weszliśmy do środka, Bobby zamknął za sobą drzwi. Cierpiała na anoreksję; była wysoka i chuda jak szczapa, jej stawy łokciowe i kolanowe sterczały niczym u

drewnianego pajacyka. Twarz miała wymizerowaną. Chodziła na bosaka, w szortach i białym bezrękawniku, który nie wydawał się szerszy niż męska skarpetka, z tych pasujących na każdą stopę.

– Na co się gapisz? – zapytała.

Chyba nie oczekiwała odpowiedzi, toteż się nie odezwałam. Klapnęła na niezasłane łożo o iście królewskich rozmiarach, a następnie wyjęła i przypaliła papierosa, cały czas wpatrując się we mnie. Nie mogła już bardziej obgryźć paznokci. Pomalowane na czarno pomieszczenie stanowiło parodię pokoju dorastającej dziewczyny. Dostrzegłam wiele plakatów i wypchanych zwierząt, wszystkie były koszarne. Plakaty przedstawiały zespoły rockowe, których członkowie nosili ostry makijaż, złowieszczy i szyderczy, biła z niego jakaś wrogość do kobiet. Wypchane zwierzęta niczym nie przypominały Kubusia Puchatka. W powietrzu rozchodził się zapach narkotycznych perfum i przypuszczałam, że wypaliła tu tyle trawki, że wystarczy wcisnąć nos w koc, by z miejsca się odurzyć.

Bobby'ego najwyraźniej bawiła jej wroga postawa. Podsunął mi krzesło, bezceremonialnie zrzucając na ziemię znajdujące się na nim ubranie. Usiadłam, a on wyciągnął się u stóp łóżka, opasując dłonią lewą kostkę siostry. Palce nachodziły na siebie, jakby trzymał nie kostkę, ale nadgarstek. Może Kitty bała się, że jeśli przytyje, włożą ją do kotła. Pomyślałam, że o wiele szybciej włożą ją do grobu, co było przerażające. Podpierała się na łokciach, uśmiechając się do mnie mdło zza kruchych, wrzecionowatych nóg. Wszystkie żyły były widoczne, niczym w modelu anatomicznym w celuloidowej osłonie. Zauważyłam kości w jej stopach i palce sprawiające wrażenie chwytnych odnóży.

– Więc co się tam dzieje na dole? – zwróciła się do Bobby'ego, nadal przewiercając mnie wzrokiem.

Gdy mówiła, trochę zlewały się słowa, poza tym jej źrenice miały trudność ze złapaniem ostrości. Zaciekawilo mnie, czy jest pijana, czy też łykała jakieś proszki.

– Stoją tam wkoło i jak zwykle walczą z kieliszkami. A tak przy okazji, przyniosłem wino – powiedział. – Masz szkło?

Przechyliła się do stolika i poprzewracała rupiecie, wydobywając kubek z czymś kleistym i zielonym na dnie: resztkami absyntu lub likieru miętowego. Podsunęła go Bobby'emu. Wino, jakie weń wlał, wzruszyło resztki zielonej cieczy.

– No dobra, co to za cizia?

Nie znoszę, jak mówi się o mnie „cizia”.

Bobby się roześmiał.

– Boże, przepraszam. To Kinsey. Jest prywatnym detektywem, o którym ci mówiłem.

– Mogłam się tego domyślić. – Jej oczy znów zetknęły się z moimi, źrenice tak się rozszerzyły, że niepodobna było stwierdzić, jakiego koloru są jej tęczęwki. – No i jak ci się podoba nasze

przedstawienie? Bobby i ja uchodzimy za rodzinne dziwadła. Dobrana z nas para, no nie?

To dziecko działało mi na nerwy. Dziewczyna nie była dość bystra lub dość szybka, aby udało jej się doszczętnie zepsuć atmosferę; przypominało to wysiłek komika, przedstawiającego solo drugorzędne gagi.

Bobby uciął gładko:

– Doktor Kleinert jest na dole.

– Ach, doktor Destructo. Co o nim myślisz? – Zaciągnęła się papierosem z udawaną nonszalancją, lecz wyczułam, że zależy jej na odpowiedzi.

– Nie rozmawiałam z nim – odparłam. – Bobby chciał, żebym najpierw poznała ciebie.

Gapiała się na mnie, a ja na nią. Przypomniałam sobie, że tę samą taktykę obierałam w starciach z moim śmiertelnym wrogiem w szóstej klasie, Tommym Jancko. Już nie pamiętam, z jakiej przyczyny tak się nie znośliśmy, lecz zmagania na spojrzenia z pewnością należały do naszych ulubionych potyczek.

Przerzuciła wzrok na Bobby'ego.

– Chce mnie umieścić w szpitalu. Mówiłam ci?

– Idziesz do szpitala?

– Hej, nie ma mowy! By wbijali mi te wszystkie igły? O, nie. Dzięki. Nie jestem zainteresowana. – Zakołysała długimi nogami nad łóżkiem i wstała. Przeszła wzdłuż pokoju do niskiej toaletki z umieszczonym nad nią lustrem w połączanej ramce. Studiowała swą twarz, by w końcu spojrzeć na mnie. – Sądysz, że jestem szczupłą?

– Bardzo.

– Naprawdę? – Chyba fascynowała ją ta myśl. Odwróciła się nieznacznie, a następnie znowu zaczęła bacznie obserwować swą twarz, z namaszczeniem zaciągając się dymem papierosa. Wzruszyła zdawkowo ramionami. Dla niej wszystko wyglądało jak należy.

– Czy możemy porozmawiać o tej próbie zabójstwa? – spytałam.

Począpiała z powrotem do łóżka, na którym przybrała poprzednią pozycję.

– Z kimś ma na pieńku. To pewne – stwierdziła. Ziewając, zdusiła papierosa.

– Skąd to przypuszczenie?

– Intuicja.

– Odłóżmy na bok intuicję – zaproponowałam.

– Kurczę, nikomu nie wierzysz – powiedziała. Odwróciła się na bok i ułożyła na poduszkach, wkładając rękę pod głowę.

– Czy i ciebie ktoś ściga?

– Nie. Nie sędzę. Tylko jego.

– Ale dlaczego ktoś miałby to robić? Nie twierdę, że ci nie wierzę. Szukam punktu zaczepienia i pragnę usłyszeć, co masz do powiedzenia.

– Muszę jeszcze to przemyśleć – rzekła i umilkła.

Dopiero po kilku minutach zdałam sobie sprawę, że odleciała. Jezu, co ona bierze?

## ROZDZIAŁ 4

Czekałam w korytarzu, z butami w rękę, gdy tymczasem Bobby nakrył ją kocem i na palcach wyszedł z pokoju, delikatnie zamykając drzwi.

– Co jest grane? – spytałam.

– Nic jej nie będzie. Po prostu poszła późno spać zeszłej nocy.

– Co ty wygadujesz? Ona ledwo żyje!

Wzdrygnął się.

– Naprawdę tak uważasz?

– Bobby, tylko na nią popatrz! To chodzący szkielet. Za dużo tabletek, alkoholu, papierosów. A sam wiesz, że przede wszystkim pali trawę. Jak może przeżyć w takich warunkach?

– Nie wiem. Chyba nigdy nie myślałem, że z nią aż tak niedobrze.

Nie tylko był młody, ale i naiwny, a może jej stan pogarszał się tak wolno, że nie zauważył, jak zmienił się jej wygląd.

– Od kiedy cierpi na anoreksję?

– Chyba od śmierci Ricka. A może to zaczęło się wcześniej? Był jej chłopakiem i nie może się z tym pogodzić.

– Czy właśnie dlatego widuje się z Kleinertem? Z powodu anoreksji?

– Możliwe. Nigdy nie pytałem. Była jego pacjentką, zanim ja zacząłem się z nim spotykać.

Jakiś głos nam przerwał.

– Czy coś nie tak?

Od galerii zbliżał się Derek Wenner z drinkiem w rękę. Ten mężczyzna był niegdyś przystojny. Średni wzrost, jasne włosy, szare oczy, powiększone dzięki okularom w metalicznie niebieskich oprawkach. Był chyba dobrze po czterdziestce i miał co najmniej trzydzieści funtów nadwagi, a także puciołową twarz o rumianej karnacji, co jest charakterystyczne dla ludzi nazbyt często zagląających do kieliszka; linia jego włosów wygięła się w szerokie „U”, pozostawiając pośrodku przerzedzony szpaler, krótko przystrzyżony i zaczesany na bok. Na skutek nadwagi zrobił mu się podwójny podbródek i utyla szyja, przez co kołnierzyk koszuli zbytnio go opinał. Plisowane, gabardynowe spodnie wyglądały na drogie, podobnie jak białe-brązowe skórzane mokasyny. Nosił sportową marynarkę, ale przed chwilą musiał ją zdjąć razem z krawatem. Z ulgą rozpiął kołnierzyk.

– Co tu się dzieje? Gdzie jest Kitty? Twoja matka chce wiedzieć, dlaczego nie przyłączyła się do

nas.

Bobby wydawał się zakłopotany.

– Nie wiem. Rozmawiała z nami, po czym zasnęła.

Słowo „zasnęła” nie wyjaśniało wszystkiego w moim przekonaniu. Twarz Kitty miała kolor plastikowego pierścionka, który raz zamówiłam, będąc jeszcze dzieckiem. Pierścionek był biały, lecz gdy potrzymało się go przez chwilę pod światło, a potem zamknęło w dłoni, mienił się bladą zielenią. To, moim zdaniem, nie oznaczało dobrego zdrowia.

– Do diabła, lepiej z nią pogadam – powiedział. Wątpiłam, czy przyjdzie mu to łatwo. Otworzył drzwi i wszedł do pokoju Kitty.

Bobby obrzucił mnie spojrzeniem, w którym czaiło się zarówno zrezygnowanie, jak i niepokój. Zerknęłam przez otwarte drzwi. Derek odstawił drinka na stolik i usiadł na łóżku.

– Kitty?

Położył dłoń na jej ramieniu i potrząsnął delikatnie. Żadnej reakcji.

– No, dalej, kochanie, zbudź się.

Spojrzał na mnie skonsternowany.

– No, obudź się.

– Chce pan, żebym zeszła na dół po jednego z lekarzy? – zapytałam. Znow nia potrząsnął. Nie czekałam na odpowiedź.

Założyłam buty i zostawiwszy torebkę przy drzwiach, ruszyłam w stronę schodów.

Kiedy dotarłam do salonu, Glen Callahan zerknęła na mnie, najwidoczniej wyczuwając, że stało się coś złego.

Podeszła do mnie.

– Gdzie Bobby?

– Na górze z Kitty. Myślę, że dobrze by było, gdyby ktoś ją obejrzał. Straciła przytomność i pani mąż ma kłopoty z obudzeniem jej.

– Zawołam Leo.

Patrzyłam, jak zbliża się do doktora Kleinerta i szepcze mu coś do ucha. Zerknął na mnie i przeprosił resztę towarzystwa. Cała nasza trójka podążyła na górę.

Bobby dołączył do Dereka przy łóżku Kitty, troska wykrzywiła mu twarz. Derek próbował posadzić dziewczynę, ale osuwała się na bok. Doktor Kleinert przyskoczył energicznie i odsunął obu mężczyzn. Sprawdził oznaki życia, wyciągając latarkę punktową z wewnętrznej kieszeni marynarki. Źrenice Kitty zwęziły się do wielkości główki szpilki, a z miejsca, gdzie stałam, zielone oczy wyglądały na zamglone i martwe, słabo reagowały na światło, którym lekarz mrugnął najpierw w jedno, potem w drugie oko. Oddychała wolno i płytko, jej mięśnie zwiotczały. Doktor Kleinert sięgnął po telefon, stojący na podłodze przy łóżku, po czym wykręcił 911.

Glen wciąż stała w drzwiach.

– No i co?

Kleinert zignorował ją, najwidoczniej rozmawiał z lekarzem dyżurnym.

– Tu doktor Leo Kleinert. Będzie mi potrzebny ambulans na West Glen Road w Montebello. Mam tu pacjenta cierpiącego na zatrucie barbituranami. – Przewidywał adres i kilka instrukcji, jak dojechać na miejsce. Odłożywszy słuchawkę, spojrzał na Bobby'ego. – Domyślasz się, co brała?

Bobby potrząsnął głową.

– Pół godziny temu nic jej nie było. Sam z nią rozmawiałem – powiedział Derek, zwracając się do Glen.

– Och, Derek, na miłość boską! – odparła zirytowana.

Kleinert sięgnął ręką, by otworzyć szufladkę. Przerzucił trochę gratów i nagle zawahał się, wyciągając zasób tabletek, który powaliłby słonia. Znajdowały się w paczce ziploca, jakieś dwieście kapsułek: nembutał, seconal, niebiesko-pomarańczowy tuinal, placidyl, quaalude, niczym zapas kolorowych części potrzebnych jakiemuś chałupnikowi.

Mina Kleinerta zdradzała ogarniającą go rozpacz. Popatrzył do góry, na Dereka, trzymając w palcach rąbek paczki. Dowód numer jeden w procesie, który zgodnie z moim przypuszczeniem toczył się już od pewnego czasu.

– Co to za świństwo? – zapytał Derek. – I skąd je wytrzasnęła?

Kleinert potrząsnął głową.

– Najpierw stąd wyjdźmy, potem będziemy się martwić.

Glen Callahan już nas opuściła, słyszałam, jak celowo stuka obcasami, zmierzając w stronę schodów. Bobby wziął mnie pod ramię i oboje ruszyliśmy korytarzem.

Derek nadal nie mógł uwierzyć w realność sytuacji.

– Wygrzebie się z tego?



Doktor Kleinert mruknął w odpowiedzi, ale z daleka nie dosłyszałam co.

Bobby poprowadził mnie do pokoju po drugiej stronie korytarza i zamknął drzwi.

– Nie mieszajmy się teraz. Za moment zejdziemy. – Potarł palce swej okaleczonej ręki, jakby była talizmanem. Powróciło przeciąganie wyrazów.

Pokój był obszerny, z głęboko osadzonymi oknami, z których rozciągał się widok na tylną część posesji. Rozłożony od ściany do ściany dywan lśnił bielą, gęste włosie dopiero co odkurzone, gdyż w niektórych miejscach dostrzegałam odciski stóp Bobby'ego. Jego podwójne łóżko wydawało się maleńkie w komnacie mającej bok długości trzydziestu stóp, z wielką garderobą po lewej stronie i łazienką w dalszej części za nią. Na antycznym, sosnowym kufrze u stóp łoża postawiono telewizor. Na prawo przy ścianie znajdowało się długie biurko przykryte blatem z białego tworzywa sztucznego. IBM Selectric II, klawiatura, monitor i drukarka stały na nim rzędem. Półki, które również wykonano z podobnego białego tworzywa, zawierały głównie książki medyczne. Po przeciwnej stronie pokoju urządzono miejsce do wypoczynku: dwa tapicerowane krzesła i podnózek przykryty tkaniną w rdzawą, białą i ciemnobłękitną kratę. Stolik na kawę, lampka do czytania, książki i ułożone pod ręką czasopisma sugerowały, że tu właśnie Bobby spędza swój wolny czas.

Podszedł do interkomu w ścianie i wcisnął guzik.

– Callie, umieramy tu z głodu. Czy możesz podesłać nam tackę? Dla dwóch osób, prócz tego przyda się nieco białego wina.

Usłyszałam w tle stłumiony brzęk: ładowano naczynia do zmywarki.

– Tak, panie Bobby. Każę Alicji coś zanieść.

– Dziękuję.

Pokuśtykał do jednego z krzeseł i usiadł.

– Jem, kiedy jestem w złym humorze. Zawsze tak było. Usiądź przy mnie. Cholera, nienawidzę tego domu. Kiedyś go kochałem. Gdy byłem dzieckiem, wydawał mi się wspaniały. Tyle miejsca do biegania. Do chowania się. Niekończące się podwórko. A teraz czuję się tu jak w kokonie. Izolowany. Ale nie odgradzony od złych rzeczy na zewnątrz. Panuje tu chłód. Nie jest ci zimno?

– Nie, czuję się dobrze.

Usiadłam na drugim krześle. Podsunął mi podnózek, na którym oparłam stopy. Zastanawiałam się, jakie to uczucie mieszkać w domu, gdzie wszystkie życzenia natychmiast się spełniają, gdzie ktoś inny odpowiada za zakupy i przygotowanie posiłków, sprzątanie, wyrzucanie śmieci, zagospodarowanie otoczenia. Czy zostaje coś, co można zrobić samemu?

– Jak to jest, kiedy rodzisz się z takimi pieniędzmi? Nawet sobie tego nie wyobrażam.

Zawahał się, unosząc głowę.

Usłyszeliśmy odległy odgłos nadjeżdżającego ambulansu, crescendo wyjącej syreny przeszło nagle w żalospowyty. Spoglądał na mnie, pocierając bezwiednie podbródek.

– Myślisz, że jesteśmy zepsuci? – Dwie połówki jego twarzy zdawały się przekazywać sprzeczne informacje: jedna była ożywiona, druga martwa.

– Skąd mogę wiedzieć? Żyjesz o wiele lepiej niż większość – powiedziałam.

– Słuchaj, my też potrafimy się dzielić. Moja matka zasila lokalne fundusze charytatywne, działa też w zarządzie muzeum sztuki i towarzystwa historycznego. Nie wiem, jak tam Derek. Gra w golfa i mnóstwo czasu spędza w klubie. No cóż, to nie fair. Dogląda kilku inwestycji, dzięki czemu się spotkali. Był zarządcą majątku, jaki powierzył mi dziadek. Gdy poślubił mamę, odszedł z banku. Tak czy inaczej, wspierają liczne przedsięwzięcia, nie są więc samolubami, którzy deprecją biedaków. Przy niewielkiej tylko pomocy moja matka zorganizowała klub dziewczęcy w Santa Teresa. I ośrodek pomocy ofiarom gwałtu.

– A co z Kitty? Czym ona się zajmuje, oprócz faszeringowania się wszystkim, co znajduje się w zasięgu ręki?

Popatrzył na mnie uważnie.

– Nie osądzaj zbyt pochopnie. Nie wiesz, co każde z nas przeszło.

– Masz słusność. Przepraszam. Sama nie jestem święta. Czy chodzi do prywatnej szkoły?

Zaprzeczył gestem.

– Już nie. Tego roku przeniesiono ją do wyższej szkoły w Santa Teresa. Wszystko po to, by mogła wziąć się w garść.

Z niepokojem wpatrywał się w drzwi. Dom skonstruowano tak solidnie, że nie mogliśmy stwierdzić, czy sanitariusze są już na górze.

Przeszłam przez pokój i uchylłam drzwi. Wywozili właśnie Kitty na noszach, których kółeczka przekręcały się niczym te w wózku na zakupy, gdy pojazd zjeżdżał do holu. Leżała przykryta kocem, tak mizerna, że powstało na nim tylko nieznaczne wybrzuszenie. Jedno szczupłe ramię wystawało spod przykrycia. Zaczęli aplikować jej dożylnie zastrzyki, jeden z sanitariuszy przytrzymał plastikową torebkę z jakimś przezroczystym płynem. Przez rurkę do nosa podawano jej tlen. Doktor Kleinert otwierał pochód, prowadząc go w kierunku schodów, a Derek szedł z tyłu, bezradny, blady, z rękami w kieszeniach. Wyglądał na przybitego; gdy mnie zobaczył, zatrzymał się.

– Pojadę za nimi swoim autem – powiedział, choć nikt go o nic nie pytał. – Proszę powiedzieć Bobby'emu, że jesteśmy u Świętego Terry'ego.

Zrobiło mi się go żal. Cała ta scena przywodziła na myśl jakiś scenariusz filmowy, personel medyczny skoncentrował się na swym zadaniu. Zabierali właśnie jego córkę, która mogła przecież umrzeć, lecz nikt jakoś nie zauważał tej możliwości. Znikła gdzieś matka Bobby'ego, podobnie jak

goście przybyli na drinka. Jakby wszystko źle zaplanowano, niczym w opracowanym szczegółowo widowisku, które skończyło się klapą.

– Chce pan, żebyśmy też pojechali? – zapytałam.

Derek zaprzeczył ruchem głowy.

– Powiadomcie tylko żonę, gdzie jestem – rzekł. – Zadzwońię, gdy tylko będzie coś wiadomo.

– Powodzenia – powiedziałam, na co on obdarzył mnie nikłym uśmiechem, jakby powodzenie było czymś, z czym rzadko ma do czynienia.

Obserwowałam, jak procesja znika u podnóża schodów. Zamknęłam za sobą drzwi. Miałam już coś powiedzieć, lecz Bobby wpadł mi w słowo.

– Słyszałem.

– Dlaczego twoja matka jest taka obojętna? Pokłóciła się z Kitty?

– Jezu, to zbyt skomplikowane, nie można tego tak łatwo wytłumaczyć. Od czasu ostatniego podobnego incydentu mama nie chce mieć z Kitty nic wspólnego, co nie jest takie okrutne, na jakie wygląda. Z początku robiła, co mogła, lecz kryzysy następowały jeden po drugim. Częściowo dlatego między nią a Derekiem nie najlepiej się układa.

– A częściowo?

Minę miał nietęgą. To jasne, czuł się współwinny.

Ktoś zastukał do drzwi i weszła Meksykanka z włosami splecionymi w warkocz, niosła tacę. Miała nieprzenikniony wyraz twarzy i unikała kontaktu wzrokowego. Jeśli wiedziała, co się dzieje, nie dawała tego po sobie poznać. Przez chwilę krzątała się przy serwetkach i sztućcach. Prawie spodziewałam się, że za chwilę wyciągnie rachunek, by go podpisać i załączyć napiwek.

– Dzięki, Alicjo – rzekł Bobby.

Mruknęła coś i odeszła. Poczułam się niezręcznie, wszystko odbyło się tak bezdusznie. Chciałam zapytać, czy buty pieką ją tak samo jak mnie, albo czy ma rodzinę, o której mogłybyśmy porozmawiać. Pragnęłam, by wyraziła głośno swą ciekawość albo strach przed ludźmi, dla których pracuje, odwożonych na wózku ortopedycznym o dziwnej porze dnia. Zamiast tego Bobby nalał wina i zaczęliśmy jeść.

Posiłek wyglądał, jak żywcem ściągnięty z jakiegoś czasopisma. Pulchne, poćwiartowane kurczę, podawane na zimno z sosem musztardowym, małymi, łuszczącymi się ciasteczkami, faszerowanymi szpinakiem i wędzonym cheddarem, a wszystko ozdobione winogronami i zieloną pietruszką. Dwie porcelanowe miseczki z pokrywkami zawierały zimną zupę pomidorową ze świeżym, posiekanym szczypiorkiem i kleksem kwaśnej śmietany. Posiłek zakończyliśmy paterą dekorowanych ciastek. Czy ci ludzie codziennie tak jedzą? Bobby nawet nie mrugnął okiem. Sama nie wiem, czego po nim

oczekiwałam. Nie mógł piszczeć za każdym razem, gdy pokazywała się taca z kolacją, ale ja byłam pod wrażeniem i chciałam, żeby podziwiał ją wraz ze mną, przez co nie czułabym się taką prowincjuską.

Kiedy zeszedliśmy, dochodziła ósma i goście już się wynieśli. Można by pomyśleć, że dom jest opuszczony, gdyby nie dwie służące, które w milczeniu sprzątały w salonie. Bobby zaprowadził mnie do ciężkich, dębowych drzwi po drugiej stronie szerokiego holu. Zapukał i usłyszałam cichą odpowiedź. Weszliśmy do małej kryjówki, gdzie Glen Callahan siedziała nad książką, niezbyt daleko od napełnionego winem kieliszka, stojącego na stoliku po jej prawej ręce. Przebrała się w czekoladowe spodnie z wełny i obcisły kaszmirowy sweter. Pod miedzianym rusztem buzował ogień. Ściany pomalowano na pomidorową czerwień, drapowane zasłony zsunięto, by odgradzić się od chłodnego zmierzchu. W Santa Teresa noce są raczej zimne, niezależnie od miesiąca. Ten pokój był przytulny, stanowił ucieczkę w intymność w tym domu z wysokimi sufitami i kredowobiałą sztukaterią ścian.

Bobby usiadł na krześle naprzeciwko matki.

– Czy Derek już dzwonił?

Zamknęła książkę i odłożyła ją na bok.

– Kilka minut temu. Wyszła z tego. Przepłukali jej żołądek i będzie można ją odwiedzić, gdy tylko jej stan się poprawi. Derek zostanie, by podpisać wszystkie papiery.

Zerknęłam na Bobby'ego. Złożył głowę w dłonie i westchnął z ulgą, wydając przy tym dźwięk pokrewny niskiemu tonowi, jaki wydają dudy. Trząśł głową, gapiąc się w podłogę.

Glen obserwowała go uważnie.

– Jesteś przemęczony. Może byś się położył? Tak czy inaczej chcę na osobności porozmawiać z Kinsey.

– W porządku. Czemu nie? – Słowa, gdy je wypowiadał, coraz bardziej zlewały się z sobą. Zauważyłam, że drobne mięśnie pod jego oczami zaczęły się ściągać, jakby pobudzano je prądem. Najwidoczniej wysiłek spotęgował jego ułomność. Wstał i podszedł do jej krzesła. Glen objęła jego twarz dłońmi, wpatrując się w nią uważnie.

– Dam ci znać, jeśli stan zdrowia Kitty ulegnie zmianie – wyszeptała. – Nie chcę, żebyś się martwił. Śpij dobrze.

Skinął potakująco, dotykając jej policzka żywą stroną twarzy. Ruszył w stronę drzwi.

– Zadzwoń do ciebie rano – zwrócił się do mnie, po czym zniknął.

Jeszcze przez chwilę wyłapywałam dźwięk jego posuwistego kroku, dobiegający z holu, po czym zaległa cisza.



## ROZDZIAŁ 5

Usiadłam na krześle, które zwolnił Bobby. Wypełniona puchem poduszka wciąż była odkształcona i ciepła. Glen przyglądała mi się bacznie, formułując, jak przypuszczam, opinię na mój temat. W świetle lampki dostrzegłam, że kolor jej włosów jest dziełem eksperta, który dobrał go odpowiednio do jasnych, piwnych oczu. Zresztą wszystko u niej idealnie pasowało: makijaż, ubiór, dodatki. Bez wątplenia należała do osób przykładających wagę do szczegółów, a gust miała doskonały.

– Przykro mi, że musiała pani być świadkiem tego wszystkiego.

– Chyba nigdy nie oglądam ludzi z ich najlepszej strony – powiedziałam. – Przez to mam wypaczone pojęcie o ludzkości. Czy on zapłaci mój rachunek, czy też pani?

Tym pytaniem zwróciłam na siebie jej ciekawość i wydało mi się, że sprawy pieniędzy zawsze traktuje poważnie. Niemal niedostrzegalnie uniosła brew.

– On. Otrzymał spadek, kiedy miał dwadzieścia jeden lat. Dlaczego pani pyta?

– Wolalabym wiedzieć, przed kim mam składać sprawozdania z postępów śledztwa – powiedziałam. – Jak pani odbiera to jego uparte twierdzenie, że ktoś chce go zabić?

Przez chwilę milczała, potem lekko wzruszyła ramionami.

– To niewykluczone. Policja skłonna jest przyjąć, że ktoś go zepchnął z mostu. Czy było to celowe działanie, nie mam pojęcia. – Słowa cedziła wyraźnie, dobitnie, niskim głosem. – Z tego, co Bobby mówi, było to długie dziewięć miesięcy. – Wodziła paznokciem po nogawce spodni, kierując uwagę na kant. – Sama nie wiem, jak to przeżyliśmy. Jest moim jedynym synem, światłem mego życia.

Przerwała, uśmiechając się lekko do siebie. Wtem z nieoczekiwaną nieśmiałością spojrzała na mnie.

– Wiem, że wszystkie matki muszą tak mówić, lecz on był jedyny w swoim rodzaju. Naprawdę. Już od niemowlęcia. Bystry, pilny, towarzyski, szybki. I wspaniały. Taki śliczny chłopaczek, radosny i czuły, zabawny. Magiczny. W noc wypadku policja przyszła do domu. Nie mogli nas powiadomić aż do czwartej nad ranem, gdyż auta długo nie odnajdowano, a wyciągnięcie dwóch mężczyzn, leżących u podnóża stoku, zajęło im kilka godzin. Rick zginął na miejscu.

Zamilkła i zaczęłam już myśleć, że straciła wątek.

– Tak czy inaczej, zadzwonił dzwonek u drzwi. Derek poszedł otworzyć, a skoro nie wracał, narzuciłam szlafrok i sama zesłam na dół. W foyer zobaczyłam dwóch policjantów. Sądziłam, że przyszli powiadomić nas, że w sąsiedztwie doszło do włamania albo że niedaleko zdarzył się wypadek. Derek odwrócił się i powiedział: „Glen, to Bobby”. W zasadzie nie musiał nic mówić, wystarczyła jego mina. Myślałam, że serce mi pęknie.

Popatrzyła na mnie oczami szklistymi od łez. Złożone dłonie przycisnęła do warg.

– Myślałam, że nie żyje. Myślałam, że przyszli mi oznajmić, że umarł. Poczułam mroźne ukłucie, jakby dźgnięto mnie sopłem. Mróz z serca rozprzestrzenił się po całym ciele i zaczęłam szcząkać zębami. Syn był wtedy u Świętego Terry’ego. W tamtej chwili nic nie wiedzieliśmy prócz tego, że uniknął śmierci, o włos. Gdy przywieźli go do szpitala, lekarze nie kryli, że nie ma dla niego nadziei. Żadnej. Powiedzieli, że doznał rozległych obrażeń, uszkodzenia mózgu i ma wiele, wiele połamanych kości. Powiedzieli, że nigdy z tego nie wyjdzie, że jeśli przeżyje, zamieni się w warzywo. Umierałam. Umierałam razem z Bobbym; trwało to wiele dni. Ani na krok go nie opuściłam. Ogarnęło mnie szaleństwo, na każdego wrzeszczałam, na pielęgniarki, na lekarzy...

Jej spojrzenie straciło blask i podniosła palec, niczym nauczyciel, chcący zwrócić na coś uwagę uczniów.

– Powiem pani, czego się nauczyłam – kontynuowała spokojnie. – Zrozumiałam, że nie można kupić życia Bobby’ego. Za pieniądze nie można kupić życia, choć wszystko inne tak. Nigdy nie używałam w ten sposób pieniędzy, co dziś wydaje mi się dziwne. Rodzice mieli pieniądze. Rodzice rodziców mieli pieniądze. Zawsze znałam potęgę pieniędzy. Miał wszystko, co najlepsze. Najlepsze! Niczego mu nie brakło. I wyszedł z tego. Po tym wszystkim nie mogę znieść myśli, że ktoś mógł to zrobić z premedytacją. Życie Bobby’ego, jego zamiary i cele, wszystko legło w gruzach. Po skończonej kuracji znajdziemy jakiś sposób, by mógł żyć produktywnie, lecz tylko dlatego, że mamy na to środki. Całości strat nie da się oszacować. To cud, że zniósł to wszystko.

– Czy ma pani jakąś teorię dotyczącą powodów, dla których ktoś mógłby pragnąć jego śmierci?

Potrząsnęła głową.

– Wspomniała pani, że Bobby ma swoje pieniądze. Kto po nim dziedziczy?

– Sama go pani musi spytać. Sporządził testament, jestem tego pewna, dyskutowaliśmy nad przekazaniem jego pieniędzy na różne cele dobroczynne... Chyba że, oczywiście, będzie miał prawnych potomków. Sądzi pani, że pieniądze mogą być motywem?

Wzruszyłam ramionami.

– Od nich zacznę, tym bardziej w sytuacji, kiedy jest ich dużo.

– Innego motywu nie widzę. Co ktoś może mieć do niego?

– Ludzie mordują z absurdalnych pobudek. Ktoś z jakiegoś powodu wpada we wściekłość i bierze odwet. Dochodzi też zazdrość albo potrzeba obrony przed prawdziwym lub wyimaginowanym atakiem. Ludzie popełniają jakieś wykroczenia i chcą zatrzeć ślady. Czasami jest w tym jeszcze mniej sensu. Może tamtej nocy Bobby zajechał na autostradzie komuś drogę i kierowca wyjechał za nim aż na przełęcz? Ludzie w samochodach dostają świra. Zakładam, że z nikim się nie kłócił?

– O ile mi wiadomo, to nie.

– Nikogo nie obraził? Na przykład dziewczyny?

– Wątpię. Chodził wtedy z jakąś, ale to chyba była przygodna znajomość. Od czasu wypadku zaczęła nas rzadziej odwiedzać. Oczywiście Bobby też się zmienił. Nie można zbliżyć się do śmierci, nie płacąc za to kary. Gwałtowna śmierć przypomina potwora. Im bliżej do niego podchodzisz, tym więcej obrażeń możesz doznać... Jeśli w ogóle przeżyjesz. Bobby musiał wyczołgiwać się z grobu, cal po calu. Jest teraz inny. Spojrzał monstrum w twarz. Na całym jego ciele dostrzeżesz ślady pazurów.

Odwróciłam wzrok. To prawda. Bobby wyglądał, jakby go zaatakowano: był poszarpany, połamany, okaleczony. Gwałtowna śmierć rozłącza aurę, jak pole siłowe odbija obiekty. Nigdy dotąd ze spokojem nie oglądałam ofiary zabójstwa. Nawet fotografie zmarłych mrozą mnie i odpychają.

Wróciłam do przerwane go tematu.

– Bobby powiedział, że w swoim czasie pracował dla doktora Frakera.

– To prawda. Doktor Fraker to mój stary przyjaciel. Tak na marginesie, to właśnie dlatego Bobby'ego zatrudniono u Świętego Terry'ego. Po znajomości.

– Jak długo tam pracował?

– W samym szpitalu ze cztery miesiące. Zdaje się, że dwa miesiące pracował dla Jima na patologii.

– Czym się właściwie zajmował?

– Czyścił sprzęt, biegał z posyłkami, odbierał telefony. Tak już jest. Nauczili go wykonywać kilka testów w laboratorium i czasami monitorował urządzenia, lecz nie wyobrażam sobie, żeby ta praca pociągała za sobą śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Z tego, co wiem, ukończył wtedy UCST – powiedziałam, powtarzając informacje pochodzące od Bobby'ego.

– Zgadza się. Pracował tymczasowo, miał nadzieję, że zostanie przyjęty na studia medyczne. Jego pierwsze podania odrzucono.

– Jak to?

– Ach, zaczął wybrzydzać i złożył podania do pięciu szkół, nie więcej. Zawsze był doskonałym uczniem i nie oblał niczego w życiu. Po prostu przeliczył się. Uczelnie medyczne są strasznie oblegane i najnormalniej w świecie nie dostał się do żadnej z wybranych. To go na jakiś czas sprowadziło na ziemię, ale się nie poddawał. Wiem, że wysoce cenił pracę u doktora Frakera, bo dawała mu jakieś pojęcie o regułach, których w przeciwnym razie nauczyłby się dopiero w dalszej części gry.

– Jak poza tym wyglądało wtedy jego życie?

– Normalnie. Pracował. Umawiał się z dziewczynami. Czasem podnosił ciężary, uprawiał surfing.



Chodził do kina, chodził z nami na przyjęcia. W tamtym czasie wyglądało to bardzo zwyczajnie i wygląda tak nadal, gdy teraz się o tym myśli.

Była jeszcze jedna alejka, w którą chciałam się zagłębić, a nie miałam pojęcia, z jaką się spotkam reakcją.

– Czy łączył go z Kitty jakiś intymny stosunek?

– Hm, no cóż. Nie mogę na to odpowiedzieć. Po prostu nie wiem.

– Ale to możliwe?

– Przypuszczam, że tak, choć mało prawdopodobne. Derek i ja jesteśmy razem, odkąd skończyła trzynaście lat. Bobby miał wtedy coś koło osiemnastu, dziewiętnastu lat. Tak czy inaczej nie przebywał w domu. Myślę, że Kitty się podobał. Nie wiem, co do niej czuł, ale wątpię, żeby trzynastolatka choć trochę go pociągała.

– Z tego, co widziałam, rośnie jak na drożdżach.

Niespokojnie skrzyżowała nogi, owijając jedną wokół drugiej.

– Nie rozumiem, dlaczego kładzie pani taki nacisk na tę właśnie kwestię?

– Bo muszę poznać wszelkie okoliczności. Dziś wieczór martwił się o nią i był bardziej niż uspokojony, gdy dowiedział się, że nic jej nie jest. Zastanawiam się, jak głęboko sięga ich związek.

– Och, rozumiem. Jego podatność na emocje nasiliła się niewspółmiernie w porównaniu ze stanem przed wypadkiem. Z tego, co słyszałam, wynika, że to normalne w przypadku uszkodzenia mózgu. Bywa teraz posępny, niecierpliwy i nadpobudliwy. Często szlocha i ma o to do siebie pretensje.

– Czy wiąże się to z utratą pamięci?

– Tak – odparła. – Ciężko mu szczególnie dlatego, że nie wie, co naprawdę stracił. Czasami przypomina sobie różne drobiazgi, a potem nagle nie pamięta, kiedy się urodził. Albo nie rozpoznaje kogoś, kogo znał przez całe życie. To jeden z powodów, dla których widuje się z Leo Kleinertem. By ten pomógł mu uporać się ze zmianą osobowości.

– Powiedział mi, że i Kitty spotyka się z doktorem Kleinertem. Czy w związku z anoreksją?

– Kitty od początku była niemożliwa.

– No tak, zauważyłam. Co jej dolega?

– Proszę zapytać Dereka. Jestem nieodpowiednią osobą, by wydawać opinię na jej temat. Staralam się, ale teraz mam to gdzieś. Nawet dzisiejszą historię. Wiem, że to zabrzmia okrutnie, lecz nie umiem już jej problemów traktować poważnie. Sama sobie robi krzywdę. Jej życie, niech żyje, jak chce, byle to nie wpływało na innych. Jak chce, może sobie umierać.

– Zdaje się, że swym zachowaniem wpływa na panią, czy pani tego chce, czy nie – zaryzykowałam ostrożnie. Poruszyłam drażliwy temat, a nie chciałam jej zrażać.

– Obawiam się, że tak, ale mam już dość. Coś się musi zmienić. Znużyła mnie gra w ciuciubabkę i mdli mnie, gdy widzę, jak ona manipuluje Derekiem.

Subtelnie zmieniałam temat, zadając pytanie, które mnie dręczyło.

– Sądzi pani, że narkotyki należały do niej?

– Oczywiście. Była naćpana już wtedy, gdy po raz pierwszy przekraczała próg mojego domu. Stanowi kość niezgody między mną a Derekiem i nie chcę o tym mówić. Rujnuje nasz związek. – Zamknęła usta i opanowała się. – Skąd to pytanie?

– O narkotyki? Po prostu coś mi tu nie gra – odpowiedziałam. – Po pierwsze trudno uwierzyć, żeby trzymała je przy łóżku w szufladce stolika, w torebce ziploca, poza tym skąd ta straszna ilość tabletek? Czy wie pani, ile one kosztują?

– Dostaje kieszonkowe w wysokości dwustu dolarów miesięcznie – stwierdziła Glen cierpko. – Kłócę się i błagam, aż dostaję wypieków, lecz na próżno. Derek się uparł. Pieniądze pochodzą z jego konta.

– Nawet jeśli jest to towar pierwszej kategorii. Musiałaby mieć gdzieś niesamowite znajomości.

– Jestem pewna, że Kitty ma swoje dojścia.

Na tym zakończyłam temat i sporządziłam w myślach notatkę. Poznałam ostatnio jednego z bardziej przedsiębiorczych dealerów narkotyków w wyższej szkole w Santa Teresa, który być może zdołałby zidentyfikować jej dostawców. Z tego, co o nim wiedziałam, sam mógł nim być. Obiecał, że zamknie ten interes, ale to jest tak jak z włóczęgą, zebrzącym o kromkę chleba: nie spodziewaj się, że ofiarowanego w dobrej wierze dolara przeznaczy na chleb, jeśli może na wino. Kogo my chcemy oszukać?

– Może chwilowo na tym poprzestaśmy – powiedziałam. – Jestem pewna, że ten dzień dłuży się ponad miarę. Proszę jedynie o nazwisko i numer telefonu ostatniej dziewczyny Bobby’ego, jeśli go pani zna. Prócz tego chętnie porozmawiam z rodzicami Ricka. Może mi pani powiedzieć, jak się z nimi skontaktować?

– Dam pani obydwie numery – odrzekła.

Wstała i podeszła do małego, antycznego biurka z palisandru, ze skrytkami i szufladkami wzdłuż górnej krawędzi. Otworzyła jedną z obszerniejszych szufladek poniżej, skąd wydobyla notes z adresami w skórzanej okładce z monogramem.

– Cudowne biurko – wyszeptałam. To tak jakby mówić królowej Anglii, że ma fajne klejnoty.

– Dziękuję – rzekła Glen beznamiętnie, wertując notes. – Nabyłam je w zeszłym roku na aukcji w

Londynie. Wahałam się powiedzieć, ile za nie dałam.

– Och, proszę spróbować – poprosiłam zafascynowana. Kręciło mi się w głowie od obcowania z tymi ludźmi.

– Dwadzieścia sześć tysięcy dolarów – mruknęła, wodząc palcem wzdłuż rubryki.

Wzruszyłam ramionami filozoficznie. Hej, też mi coś. Dwadzieścia sześć tysięcy zielonych to dla niej żaden wydatek. Ciekawe, ile płaci za bieliznę. Ciekawe, ile płaci za samochody?

– Ach, tu jest. – Nabazgrała w notatniku informację i wyrwała kartkę, którą mi podała.

– Podejrzewam, że nie będzie pani łatwo rozmawiać z rodzicami Ricka – powiedziała.

– A to dlaczego?

– Bo za śmierć syna obwiniają Bobby'ego.

– Jak on to znosi?

– Niezbyt dobrze. Czasem chyba sam w to wierzy, co jest kolejnym powodem, dla którego trzeba odkryć całą tajemnicę.

– Czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie?

– Oczywiście.

– Czy „Glen” ma coś wspólnego z „West Glen”?

– W drugą stronę – odpowiedziała. – Nie dano mi imienia od drogi. Drodze dano imię po mnie.

Kiedy wsiadałam do samochodu, miałam w głowie stertę informacji do przetrawienia. Minęła dziewięta trzydzieści, ściemniło się zupełnie i zbyt ochłodziło, jak na moją zwiewną sukienkę przed kolana. Kilka minut zajęło mi ściągnięcie rajtuzów i włożenie długich spodni. Szpilki cisnęłam na tylne siedzenie i włożyłam sandały, po czym zapaliłam silnik i wrzuciłam wsteczny bieg. Wycofywałam się, wypatrując wyjazdu. Dostrzegłam drugą odnogę alejki i podążyłam nią, rzucając okiem na tyły budynku. Znajdowały się tam cztery oświetlone tarasy, każdy z migoczącym stawem, w nocy skrzącym się czernią, prawdopodobnie w dzień z kolei odbijającym góry, co musiało sprawiać wrażenie nakładających się fotografii.

Dotarłam do West Glen i skręciłam w lewo, w stronę miasta. Nic nie wskazywało, by Derek wrócił do domu i pomyślałam, że złapię go u Świętego Terry'ego, zanim opuści szpital. Byłam ciekawa, jak czuje się człowiek, którego imieniem nazwano ulicę. Kinsey Avenue. Kinsey Road. Nieźle. Doszłam do wniosku, że gdyby spotkał mnie przypadkowo podobny zaszczyt, nauczyłabym się z tym żyć.

Szpital w Santa Teresa wygląda nocą jak artystycznie dekorowany tort weselny, lukrowany zewnętrznym oświetleniem: trzy rzędy kremowej bieli, z brakującym od frontu prostokątnym kawałkiem, gdzie wykrojono portal wejścia. Godziny odwiedzin musiały się już skończyć, gdyż tuż po drugiej stronie ulicy znalazłam miejsce do parkowania. Zamknęłam samochód, przeszłam na drugą stronę jezdni i podążyłam kolistym podjazdem. Znajdował się tu obszerny portyk i zadaszony chodnik prowadzący do podwójnych drzwi, które bezszelestnie rozsunęły się przede mną. Światła w holu przygaszono, czułam się jak w samolocie nocą. Po lewej stronie miałam opuszczoną kawiarnię; jedna z kelnerek wciąż pracowała, ubrana w biały fartuch, podobnie jak pielęgniarki. Natomiast po prawej stronie było stoisko z upominkami, którego witrynę zdobiły szpitalne odpowiedniki nieprzystojnej bielizny. Całe pomieszczenie pachniało jak zimne goździki w chłodni u kwiaciarza.

Dekoracje tak dobrano, by uspokajały i kołysały, szczególnie dalej, w miejscu oznaczonym „Kasa”. Podeszłam do okienka informacji, gdzie kobieta, przypominająca moją nauczycielkę z trzeciej klasy, siedziała w fartuszku w różowe paski z wyczekującym wyrazem twarzy.

– Dobry wieczór – powiedziałam. – Może mi pani powiedzieć, czy można odwiedzić Kitty Wenner? Niedawno przywieziono ją na reanimację.

– Niech no sprawdzę – odparła.

Zauważyłam, że na plakietce przypiętej do fartuszka jest napisane „Roberta Choat. Wolontariuszka”. Brzmiało to jak tytuł jednej z dawnych powieści dla dziewcząt. Roberta musiała być po sześćdziesiątce, do klapy wpięto jej wszelkie możliwe medale za przykładną postawę.

– Mam. Chodzi o Katherine Wenner. Jest na „trzecim południowym”. Pójdzie pani tym korytarzem, obejdzie windy i dojdzie do centralki na drugim końcu. Na trzecim piętrze skręci pani w lewo. Ale to zamknięty oddział psychiatryczny i nie wiem, czy będzie pani mogła ją zobaczyć. Godziny odwiedzin już się skończyły. Pani jest jej krewną?

– Jestem jej siostrą – wyjaśniłam gładko.

– Cóż, moja droga, proszę powtórzyć to dyżurnej pielęgniarce na piętrze, a może pani uwierzy – powiedziała równie gładko Roberta Choat.

– Mam nadzieję – zakończyłam rozmowę. Tak naprawdę chciałam się zobaczyć z Derekiem.

Poszłam korytarzem – zgodnie z wytycznymi – i okrążyłam windy, dochodząc do centralki telefonicznej po drugiej stronie. No jasne, wisiała tam tabliczka z napisem POŁUDNIOWE SKRZYDŁO, co mnie ucieszyło. Wcisnęłam guzik ze strzałką do góry i drzwi natychmiast się otworzyły. Jakiś mężczyzna wszedł za mną do windy i zawahał się, jakbym należała do tego rodzaju osób, o których czytał w pamflecie dotyczącym obrony przed gwałtem. Wcisnął „2” i stał blisko panelu kontrolnego, aż dojechał na swe piętro, gdzie wysiadł.

Południowe skrzydło wyglądało lepiej niż większość hoteli, w których nocowałam. Oczywiście,

było tu znacznie drożej i oferowano wiele usług, które mnie nie interesowały, jak na przykład autopsja. Paliły się wszystkie światła i dywan mienił się pomarańczowym kolorem, na ścianach wisiały reprodukcje dzieł van Gogha; raczej dziwna kolekcja jak na oddział psychiatryczny.

Derek Wenner siedział w poczekalni dla odwiedzających, tuż pod niewielkimi drzwiami, w których umieszczono okienka zasłonięte siatką drucianą, z napisem CHCAĆ WEJŚĆ, PROSZĘ ZADZWONIĆ; pod spodem umieszczono dzwonek.

Palił papierosa, otwarty „National Geografie” leżał na jego nodze. Gdy usiadłam obok, popatrzył na mnie nie widzącym wzrokiem.

– Co z Kitty? – zapytałam.

Poruszył się nieznacznie.

– Ach, przepraszam. Nie poznałem pani od razu. Już jej lepiej. Wyciągnęli ją z tego i próbują przywrócić do normalnego stanu. Za chwilę wpuszczą mnie do środka. – Jego spojrzenie przesunęło się w stronę windy. – Glen przypadkiem z panią nie przyjechała?

Potrząsnęłam głową, obserwując, jak wyraz ulgi przemieszanej z nadzieją niknie z jego twarzy.

– Proszę nie mówić jej, że paliłem papierosy – rzekł zakłopotany. – W marcu kazała mi je rzucić. Nim wrócę do domu, będę musiał się czegoś napić. A wszystko przez chorobę Kitty i całe to zamieszanie... – Urwał, wzruszając ramionami.

Nie miałam serca mówić mu, że ocieka tytoniem. Glen musiałaby zapaść w letarg, żeby tego nie zauważyć.

– Co panią tu sprowadza? – zapytał.

– Nie wiem. Bobby poszedł spać i rozmawiałam przez chwilę z Glen. Pomyślałam, że wpadnę i sprawdzę, co słychać u Kitty.

Uśmiechnął się, niezbyt pewny, co o tym sądzić.

– Tak sobie siedzę i myślę o tej nocy, kiedy przychodziła na świat. Godzinami czekałem w poczekalni, zastanawiając się, jak potoczą się sprawy. Wie pani, w tamtych czasach nie pozwalano ojcom wchodzić na salę porodową. Obecnie, o ile wiem, praktycznie im się każe.

– Co się stało z jej matką?

– Zapiła się na śmierć, kiedy Kitty miała pięć lat.

Zapadła cisza. Nie potrafiłam zdobyć się na komentarz, który by nie brzmiał trywialnie, a z drugiej strony nie odbiegał zanadto od tematu. Obserwowałam, jak gasi papierosa. Strzasnął żarzący się tytoń, a w papierosie został pusty otwór, jak po wyrwaniu zęba.

Ostatecznie zapytałam:

– Czy przyjęto ją na oddział ostrych zatruc?

– Tak naprawdę jesteśmy na oddziale psychiatrycznym. Sądzę, że oddział ostrych zatruc znajduje się osobno. Leo pragnie, aby jej stan się ustabilizował, przed podjęciem dalszych kroków musi znać diagnozę. Na razie Kitty znajduje się trochę poza kontrolą.

Potrząsnął głową, masując podwójny podbródek.

– Boże, nie wiem, co z nią zrobić. Glen prawdopodobnie poskarżyła się pani, że to przez nią dochodzi między nami do starć.

– Chodzi o narkotyki?

– Och, o to i o jej stopnie, o jej godziny, zajęcia, spadek wagi. To stało się koszmarem. Myślę, że w obecnej chwili waży nie więcej niż dziewięćdziesiąt siedem funtów.

– Więc może to dla niej najlepsze miejsce?

Otworzyły się jedne z podwójnych drzwi, zza których wyjrzała pielęgniarka. Była w dzinsach i koszulce z krótkimi rękawami. Nie miała czepka, zamiast tego wstążkę i plaketkę z nazwiskiem, którego z tej odległości nie mogłam odczytać. Jej włosy były źle ufarbowane na ten odcień pomarańczy, jaki dotychczas zaobserwowałam jedynie u nagietków, lecz uśmiechnęła się szczerze i uprzejmie.

– Pan Wenner? Zechce pan pójść za mną?

Derek powstał, zerkając na mnie.

– Poczekaj pani? To długo nie potrwa. Leo powiedział, że zgodzi się jedynie na pięć minut, zważywszy na to, w jakiej Kitty jest kondycji. Gdy tylko wrócę, zapraszam na filiżankę kawy lub drinka.

– W porządku. To miło. Poczekam.

Skinął głową i oddalił się wraz z pielęgniarką. Przez jedną krótką chwilę, gdy wchodzili na salę, usłyszałam, jak Kitty głośno miota jakieś przekleństwa, których sens działał na wyobraźnię. Drzwi jednak szybko zamknięto, przekręcając ze zgrzytem klucz. Nikt na „trzecim południowym” nie zamierzał dziś spać. Podniosłam „National Geographic” i wpatrzyłam się w serię zdjęć pękniętego klifu w Yosemite.

Kwadrans później siedzieliśmy w barze motelowym jedną przecnicę za szpitalem. „The Plantación” to czarna owca wśród knajp; wygląda, jakby podpełzła do obecnego miejsca z jakiejś innej części miasta. Sam motel urządzono najwidoczniej pod kątem udzielania schronienia krewnym chorych i niepełnosprawnych, przybyłych z okolicznych miejscowości na leczenie do Świętego Terry’ego. Bar dodano już później, gwałcąc Bóg wie jakie przepisy miejskie, gdyż zagnieździł się

pośrodku dzielnicy mieszkaniowej. Oczywiście, obecnie ten obszar zapełnił się budynkami szpitalnymi, klinikami, sanatoriami, aptekami i całym tym zapleczem przemysłu opieki nad chorym, włączając w to kostnicę dwie przecznice dalej, która służy ludziom, gdy wszystko inne zawodzi. Może w pewnym momencie komisja planowania miejskiego postanowiła ulżyć pacjentom, udostępniając dodatkowo osiemdziesięciosześciprocentowy alkohol.

Wewnątrz jest ciasno i ciemno, za barem, w miejscu, gdzie zwykle wisi długie lustro, stoją butelki z trunkami i neonowe reklamy piwa, a także rozciąga się diorama, przedstawiająca plantację bananów. Pomniejszone modele palm ciągną się równymi rzędami, ustawione jakby na niewielkiej podświetlanej scenie, natomiast na serii winiet mali, mechaniczni robotnicy krzątają się przy zbiorze owoców. Wszyscy wyglądają na Meksykanów, podobnie jak mała, rzeźbiona kobietka, przybywająca z beczką wody i kubkiem, kiedy tylko rozlegnie się gwizdek na południową przerwę. Jeden z mężczyzn macha z czubka palmy, podczas gdy mikroskopijny, drewniany piesek szczeka i merda ogonem.

Przez jakiś czas Derek i ja siedzieliśmy przy barze bez słowa, tak nas zajęła ta scena. Nawet barman, który musiał ją widzieć tysiąc razy, zatrzymał się i patrzył, jak mechaniczny muł ciągnie ładunek bananów i znika za zakrętem, a inny wózek zajmuje jego miejsce. Nic dziwnego, że specjalnością baru są bananowe daiquiri i cuba libre, lecz nikogo nie obchodzi, jeśli zamawia się coś naprawdę dla dorosłych. Derek zdecydował się na martini befeater, a ja na kieliszek białego wina, po którym moje wargi zwarły się, niczym ściągana sznurkiem torebka. Patrzyłam, jak barman nalewa je z galonowego dzbana, który kosztuje jakieś trzy dolce w każdym sklepie „Stop N’Go”. Nalepka pochodziła z jednej z tych winnic, gdzie zbieracze winogron ciągle strajkują i zastanawiałam się, czy nie sikają na zbiory, by zemścić się za niesprawiedliwe warunki pracy.

– Co pan myśli na temat tej całej sprawy z Bobbym? – zagałam, gdy tylko udało mi się przywrócić ustom dawny wygląd.

– Upiera się, że była to próba morderstwa? Boże, sam nie wiem. Trochę to naciągane, jak na mój gust. On i jego matka chyba w to wierzą, ale ja nie pojmuję, dlaczego ktoś miałby to zrobić.

– A co z pieniędzmi?

– Pieniędzmi?

– Ciekawa jestem, kto by skorzystał na śmierci Bobby’ego. O to samo zapytałam Glen.

Derek zaczął szturchać się po podwójnym podbródku. Nadwaga powodowała, że wyglądał, jakby na twarz normalnych rozmiarów naciągnięto mu drugą, znacznie większą. Jego policzki zwisały niczym niewykorzystane resztki ciała.

– No tak, ten motyw rzuca się w oczy – zgodził się. Spoglądał sceptycznie, niczym aktor na scenie, który napina mięśnie twarzy, żeby zauważyli go widzowie w dwudziestym piątym rzędzie.

– No tak, zepchnięcie z mostu to poważna sprawa – powiedziałam. – Oczywiście, gdyby zginął w tym wypadku, nikt nie znalazłby w tej sprawie nic dziwnego. Samochody przecież raz na pół roku

spadają w przepaść, gdyż kierowcy zbyt ostro biorą zakręty. Zatem każdy by się zgodził, że to najnormalniejszy wypadek z udziałem jednego samochodu. Może i tylny zderzak doznałby lekkich uszkodzeń w miejscu, gdzie ten drugi kierowca go rąbnął, ale po wyciągnięciu wraku na górę nikt by niczego nie podejrzewał. Zakładam, że nie było w pobliżu świadków.

– Nie, ale wątpię, czy można w tej kwestii polegać na słowach Bobby’ego.

– Jak to?

– No cóż, chce zwalić winę na kogoś innego, bo ma w tym jakiś interes. Dzieciak najwyraźniej nie chce się przyznać, że pił. I tak zawsze prowadził za szybko. Ginie jego najlepszy przyjaciel. Wie pani, Rick był chłopakiem Kitty, a jego śmierć załamała ją kompletnie. Nie mam zamiaru podawać w wątpliwość wersji wydarzeń Bobby’ego, lecz zawsze mnie w niej uderzało, że podkreślała jego niewinność.

Badałam oblicze Dereka, zastanawiając się nad zmianą tonu jego głosu. To interesująca teoria i odniosłam wrażenie, że od dawna zastanawiał się nad nią. Mimo to wydawał się skrupowany, gdy udawał zdawkowość i obiektywizm, w rzeczywistości podważając wiarygodność Bobby’ego. Byłam przekonana, że nie odważył się wspomnieć Glen o swej teorii.

– Twierdzi pan zatem, że to wymysł Bobby’ego?

– Tego nie powiedziałem – odrzekł wymijająco. – Sądzę, że on w to wierzy, ale z drugiej strony uwalnia go od winy, nieprawdaż? – Jego spojrzenie ześlizgnęło się ze mnie i odszukało barmana, któremu dał znak, by dolał wina. Potem znów spojrzał na mnie. – Ma pani ochotę na drugą kolejkę?

– Jasne, czemu nie? – Co prawda nie dopiłam jeszcze poprzedniego, ale sądziłam, że wyluzuje się, jeśli będę mu dotrzymywać kroku w liczbie wychylonych kieliszków. Po martini można wyśpiewać wszystko i płonęłam z ciekawości, czego jeszcze się dowiem, gdy język Derekowi się rozwiąże. Znam ten wyraz twarzy, w której coś oślizgłego i różowego oznacza pociąg do alkoholu. Pogrzebał w kieszonce koszuli i wydobyl z niej paczkę papierosów, po czym zapatrzył się na dioramę. Mały mechaniczny Meksykanin znów wspinał się z maczetą na wierzchołek palmy. Derek zapalił papierosa, nie patrząc na niego, i ten gest nabrał jakiegoś innego znaczenia, jakby ignorując papierosa, chronił się przed jego zgubnym wpływem. Należał zapewne do tego typu ludzi, którzy jedzą, oglądając telewizję, i opróżniają szkocką tak, że wygląda to na wychylanie jednego głębszego.

– Jak czuła się Kitty, kiedy ją pan odwiedził? Jak dotąd nic pan nie wspomniał.

– Była... No wie pani, chyba była wytrącona z równowagi tym, że znalazła się w szpitalu, ale powiedziałem jej... powiedziałem: „Posłuchaj, dziecko. Musisz po prostu odzyskać formę”. – Derek ukazał teraz osobowość rodzica, z czym również czuł się niezręcznie.

– Glen nie ma dla niej wiele współczucia – zauważyłam.

– Zgadza się. Nie mogę jej za to obwiniać, z drugiej strony Kitty przechodzi ciężkie chwile i Glen chyba nie zdaje sobie sprawy, jak to się może dla dziewczyny skończyć. Bobby’emu zapewniono



wszelką pomoc, jaką można kupić za pieniądze. Musiało mu się udać. Powiem pani, co mnie dręczy. Jeśli Bobby coś przeszkobie, natychmiast otrzymuje rozgrzeszenie. Gdy jednak Kitty nabroi, mamy zbrodnię stulecia. Bobby nawalił. Niech się pani nie oszukuje. Ale gdy to on wywinie jakiś numer, Glen zawsze znajdzie jakieś racjonalne wytłumaczenie jego zachowania. Rozumie mnie pani?

Wzruszyłam ramionami wymijająco.

– Nie wiem przecież, co takiego zrobił.

Barman podał drinki i Derek napił się w taki sposób, w jaki robią to kiperzy. Skinął z aprobatą i ostrożnie odstawił kieliszek na środek koktajlowej serwetki. Otarł dłonią kąciki ust. Ruszał się coraz płynniej, jego oczy zaczynały płaszać w oczodołach, niby kulki w oleju. Kitty zaprawiła się z pewnością w ten sam sposób, tyle że prochami, a nie dżinem.

Barman wyciągnął z lodówki dwa piwa i przesunął się do drugiego końca baru, by obsłużyć klienta.

Derek zniżył głos.

– To tylko między tobą a mną – powiedział. – Dzieciaka wymieniono dwa razy przy okazji stłuczek spowodowanych jazdą po pijaku, do tego jakiś rok temu potracił dziewczynkę. Glen traktuje to jak młodzieńcze ekscesy – chłopcy zawsze będą chłopcami i podobne bzdety – ale niech tylko Kitty przekroczy linię, a piekło się wali na głowę.

Zaczynałam dostrzegać, dlaczego Bobby sądził, że ich małżeństwo nie przetrwa. Toczyła się ostra gra, rodzice na rodziców w półfinałach. Wycofując się na neutralny grunt, Derek posłał mi uśmiech, który miał mnie oczarować.

– A więc jak się pani zabierze do tej sprawy? – spytał.

– Jeszcze nie wiem. Zwykle trochę węższą, poznaję tło zdarzeń, odnajduję nić i zdążam po niej do kłębka. – Obserwowałam, jak przytakuje z uwagą, chociaż nie powiedziałam nic istotnego.

– No cóż, życzę szczęścia. Bobby to dobry dzieciak, ale w tym jest coś więcej, niż z pozoru wygląda – rzekł z porozumiewawczym spojrzeniem. Nie zlewał słów, ale spółgłoski nabrały miękkości. Uroczy uśmieszek zadrgał znów na jego ustach przy tej chytrej uwadze. Całym zachowaniem dawał do zrozumienia, że mógłby wyjawić niejedno, lecz powstrzymuje go dyskrekcja. Nie traktowałam go poważnie. Wykonywał jakieś manewry, nie zdając sobie sprawy, że można w nim czytać jak w otwartej księdze. Umoczyłam usta w winie, zastanawiając się, czy jeszcze zdołam coś z mego rozmówcy wyciągnąć.

Derek spojrział na zegarek.

– Lepiej, jak już wrócę. Czas stanąć oko w oko z lwem. – Wychylił resztkę martini i zsunął się ze stołka. Wyciągnął portfel i przewertował kilka warstw banknotów, aż znalazł piątkę i dziesiątkę, które położył na kontuarze.

– Glen będzie wściekła?

Uśmiechnął się do siebie, jakby rozważał różne odpowiedzi.

– Ostatnimi dniami Glen wścieka się na okrągło. Piekielne urodziny, to mogę powiedzieć.

– Może za rok będzie lepiej. Dzięki za drinki.

– Dzięki, że wpadła tu pani ze mną. Doceniam pani troskę. Jeśli tylko mogę w czymś pomóc, proszę dać znać.

Wróciliśmy do mojego samochodu i tam się pożegnaliśmy. Śledziłam we wstecznym lusterku, jak idzie spokojnie w stronę parkingu dla odwiedzających po drugiej stronie szpitala. Podejrzewałam, że raczej musi się starać iść prosto. Siedzieliśmy w „The Plantación” ledwie pół godziny, a już zdołał wychylić dwa martini. Zapaliłam silnik i zawróciłam o sto osiemdziesiąt stopni, podjeżdżając do niego.

– A może pana podwieźć?

– Dam sobie radę – odparł.

Stał przez chwilę, jego ciało kołysało się lekko, odczytałam wiadomość, jaką przesyłał jego ośrodkowy system nerwowy. Spojrzał z ukosa, zmarszczył brwi, po czym wsiadł do mojego samochodu i zatrzasnął drzwi.

– Mam problem, racja?

– Racja – odpowiedziałam.

Gdy dotarłam do biura o dziewiątej rano, okazało się, że prawnik Bobby'ego przesłał kopie raportu z miejsca wypadku razem z protokołami z przeprowadzonego dochodzenia i licznymi kolorowymi fotografiami formatu osiem na dziesięć cali, które z nadmierną szczegółowością ukazywały, jak doszczętnie zdruzgotany został samochód Bobby'ego i jak martwy był w rezultacie tego Rick. Jego zmasakrowane ciało odnaleziono w połowie wysokości zbocza. Skrzywiłam się na ten widok, jakby oślepiło mnie jasnym snopem światła, i zadrżałam. Z trudem zapanowałam nad sobą, by beznamiętnie przyjrzeć się detalom. W przedziwny sposób flesz policyjnego fotografa oświetlił surową ciemność nocy, przez co ta śmierć zdawała się krzyczeć, jak w niskobudżetowym horrorze, gdy chce się nadrobić braki scenariusza. Przeglądałam serię zdjęć, dopóki nie natknęłam się na te przedstawiające samo miejsce wypadku.

Porsche Bobby'ego zdmuchnął spory fragment balustrady ochronnej, ściął karłowaty dąb u jego podstawy, poharatał głązy i wyciął w zaroślach długi szlak, najwidoczniej koziółkując przy tym pięć lub sześć razy, nim spoczął na dnie wąwozu w potrzaskanej masie pogiętych blach i rozbitych szyb. Auto sfotografowano ze wszystkich stron, z przodu i z tyłu, pokazując jego pozycję względem różnych znaków charakterystycznych terenu. Znalazłam też zbliżenie Bobby'ego, nim załoga ambulansu wyciągnęła go z wraku.

– A niech to cholera. – Odetchnęłam. Odłożyłam na moment cały plik, zasłaniając dłonią oczy. Jeszcze nie zdążyłam wypić kawy, a już oglądałam ludzkie ciała wybebeszone na skutek zderzenia.

Otworzyłam oszklone drzwi i wyszłam na balkon, by zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. Pode mną, spokojna i cicha, biegła droga stanowa. Natężenie ruchu było niewielkie i piesi przestrzegali przepisów, jakby grali w filmie instruktażowym dla dzieci z podstawówek, dotyczącym zachowania na ulicach miasta. Obserwowałam wszystkich tych zdrowych ludzi, jak spacerują tam i z powrotem ze sprawnymi kończynami i ciałem nie oderwanym od kości. Słońce świeciło, a palm nie poruszało nawet najłżejsze muśnięcie wiatru. Wszystko wyglądało zwyczajnie, ale jedynie na razie i w zasięgu mojego wzroku. Śmierć może wyskoczyć w każdej chwili, jak pajac na sprężynie z pudełka, szczerzący zęby w szerokim, krwawym uśmiechu.

Wróciwszy do środka, zaparzyłam kawę i usiadłam przy biurku, powtórnie przeglądałam zdjęcia i spokojnie wczytywałam się w policyjne raporty. Załączono sprawozdanie z sekcji zwłok Ricka Bergena i zauważyłam, że przeprowadził ją Jim Fraker, którego obowiązki u Świętego Terry'ego najwyraźniej obejmowały i to. Santa Teresa to zbyt małe miasto, by stać go było na osobną policyjną kostnicę i policyjnego anatomopatologa, dlatego wynajmuje się lekarzy ze szpitala.

Raport, który podyktował doktor Fraker, sprowadził śmierć Ricka do wzmianek o urazie czaszkowo-mózgowym, jakiego doznał, razem z wystarczająco obszernym spisem, zawierającym otarcia, stłuczenia, rozerwanie jelita cienkiego, rany krezki i wystarczająco dużo uszkodzeń kości, by zaświadczyć, że Rick przekroczył już Styks.

Wysunęłam maszynę do pisania i otworzyłam akta Bobby'ego Callahana, czując ulgę i spokój podczas przetwarzania wszystkich tych niepokojących faktów na lapidarne sprawozdanie z minionych wydarzeń. Dołączyłam jego czek, osobno zanotowałam sumę, wpięłam kopię umowy, którą podpisał.

Wstukałam też nazwiska i adresy rodziców Ricka Bergena i eksdziewczyny Bobby'ego, plus listę wszystkich obecnych zeszłego wieczoru w mieszkaniu Glen Callahan. Nie spekulowałam, nie żonglowałam słówkami, po prostu wszystko wydrukowałam i na górze strony zrobiłam dziurkaczem dwa otwory, potem całość schowałam do teczki, którą umieściłam w szafce na dokumenty.

Po uporaniu się z tym spojrzałam na zegarek. Dziesiąta dwadzieścia. Fizykoterapeutyczny rygor Bobby'ego nakazywał ćwiczyć codziennie, podczas gdy mój ograniczał się do poniedziałków, śród i piątków. Możliwe, że nie opuścił jeszcze sali gimnastycznej. Zamknęłam biuro i zeszłam tylnymi schodami do miejsca, gdzie parkuję samochód. Ruszyłam w kierunku klubu Santa Teresa Fitness, nie żałując gazu, dzięki czemu złapałam Bobby'ego, gdy opuszczał budynek. Włosy wciąż miał mokre po prysznicu i cały pachniał mydłem Coast. Mimo paraliżu twarzy, okaleczonej lewej ręki i utykania, było w nim coś z dawnego Bobby'ego Callahana, młodego i silnego blondyna o urodzie kalifornijskiego surfera. Oglądałam zdjęcia, na których był połamany, w porównaniu z nimi wydawał się teraz cudownie cały, nawet z tymi szramami wrytymi na twarzy niczym amatorski tatuaż. Gdy mnie ujrzał, uśmiechnął się krzywo, automatycznie przecierając podbródek.

– Nie spodziewałem się, że cię tu dziś zastanę – powiedział.

– Jak było na siłowni?

Zakołysał się z boku na bok, co znaczyło, że tak sobie. Wsunęłam mu rękę pod ramię.

– Mam prośbę, ale nie musisz się zgodzić – powiedziałam.

– Jaką?

Przez moment się wahałam.

– Chcę, żebyś pojechał ze mną na przełęcz i pokazał, gdzie wypadł samochód.

Jego uśmiech zniknął. Odwrócił wzrok i swym rytmicznym krokiem podjął wędrówkę do auta.

– W porządku, ale najpierw chcę wpaść do Kitty i sprawdzić, jak się czuje.

– Czy wolno jej przyjmować odwiedzających?

– Przegadam ich – powiedział. – Ludzie nie lubią mieć do czynienia z kalekami, więc zwykle dostają to, o co poproszę.

– Czarny humor.

– Przewagę trzeba wykorzystywać – odparł nieśmiało.

– Chcesz prowadzić?

Potrząsnął głową.

– Zostawmy mój samochód pod domem i jedźmy twoim.

Zaparkowałam pod szpitalem na parkingu dla gości i poczekałam w samochodzie, kiedy poszedł odwiedzić Kitty. Wyobrażałam sobie, że już jest na chodzie, ciągle wkurzona, i wszczyna piekło na oddziale. Nie miałam ochoty przyglądać się temu. Chciałam porozmawiać z nią za kilka dni, dać jej czas na ochłonięcie. Włączyłam radio i w rytm muzyki stukałam w kierownicę. Przez parking przeszły dwie pielęgniarki w białych uniformach, białych butach i pończochach i w granatowych pelerynach przywodzących wyglądem na myśl czasy pierwszej wojny światowej. Po pewnym czasie Bobby wynurzył się z budynku i zamyślony pokuśtykał wzdłuż parkingu. Wsiadł do auta. Wyłączyłam radio i zapaliłam silnik, cofnęłam samochód.

– Czy wszystko w porządku?

– Jasne.

Milczał, kiedy przejeżdżałam przez miasto i skręcałam w lewo, w podrzędną drogę, która objeżdża Santa Teresa blisko podnóża gór. Żadna chmura nie naruszała spokoju błękitnego nieba, jakby pociągnięto je płaskim wałkiem zanurzonym w farbie. Słońce prażyło, góry były bure i suche, ułożone niczym stos drewna na opał. Długa trawa przy drodze wyblakła na blade złoto; co jakiś czas dostrzegałam jaszczurki wygrzewające się na dużych kamieniach, szare i nieruchome niczym gałązki.

Droga wiła się, dwie linie asfaltu skręcały to w lewo, to w prawo, wspinając się zboczem góry. Dwukrotnie zredukowałam bieg, ale mój volkswagen nadal narzekał na stromy podjazd.

– Myślałem, że coś sobie przypomniałem – rzekł Bobby po chwili. – Ale nie mogłem tego wyraźnie zdefiniować. Dlatego musiałem zobaczyć się z Kitty.

– Co to było?

– Miałem notes. Zwykły, oprawny w skórę, o rozmiarach karty do gry. Tani. Czerwony. Dałem go komuś na przechowanie i teraz nie mogę sobie przypomnieć komu. – Zamilkł, potrząsając głową w zakłopotaniu.

– I nie pamiętasz, dlaczego to było takie ważne?

– Nie. Pamiętam tylko, że był ważny i nie chciałem go nosić przy sobie, bo wiązało się z tym niebezpieczeństwo. Więc przekazałem go komuś. W owym czasie – a to pamiętam wyraźnie – sądziłem, że do mnie wróci. – Wzruszył ramionami, parszkając drwiąco. – To by było tyle.

– Czy zdarzyło się to przed wypadkiem, czy po?

– Nie wiem. Pamiętam tylko, że go komuś dałem.

– A nie było to niebezpieczne dla tego kogoś?

– Chyba nie. Boże. – Zsunął się niżej, by móc złożyć głowę na oparciu. Zerknął przez przednią

szybę, powiódł wzrokiem wzdłuż linii szarych wzniesień na lewo, gdzie na grzbiecie wyrzynała się przełęcz. – Nie znoszę tego uczucia. Nie znoszę świadomości, że kiedyś coś wiedziałem, a teraz nie mogę sobie przypomnieć. To tak jak obraz, z którym nic się nie wiąże. W pamięci brakuje informacji, by umiejscowić go w czasie. Jakby część ułożonych puzzli spadła na podłogę.

– Ale jak to się naprawdę dzieje z tym zapominaniem? Czy można w końcu odzyskać te informacje, czy też są na zawsze stracone?

– Och, czasami wracają, lecz zwykle jest pustka. Jakby dziura w dnie pudełka. Cokolwiek się w nim znajdowało, wysypało się już po drodze.

– Co sprawiło, że pomyślałeś o tym?

– Sam nie wiem. Przeglądając szufladę w biurku, natrafiłem na notatnik oprawiony w czerwoną skórę, który należał do tego samego kompletu. I nagle mnie oświeciło. – Znów umilkł.

Spojrzałam na niego i zobaczyłam, jaki jest spięty. Masował chorą dłoń ruchem, który od razu skojarzył mi się z dojeniem.

– Kitty nie wiedziała nic na ten temat?

Zaprzeczył.

– Jak się czuje?

– Wstała już z łóżka. Derek chyba wpadnie do niej później... – Przerwał. Wjeżdżaliśmy już na grzbiet górski i mięsień pod jego lewym okiem zaczął drgać nerwowo.

– Jesteś pewny, że chcesz tam jechać? – zapytałam.

Wpatrywał się uważnie w pobocze.

– Jeszcze trochę wyżej. Zwolnij i zjedź na bok, jeśli możesz.

Spojrzałam w lusterko wsteczne. Miałam za sobą dwa samochody, lecz droga zwężała się z trzech pasów do dwóch. Zjechałam i trafiłam na żwirowe pobocze, gdzie mogłam zaparkować. Most obrzeżony niskimi betonowymi barierkami znajdował się nie więcej niż dziesięć jardów przed nami. Bobby tam usiadł i popatrzył na prawo.

Tam gdzie droga schodzi z wierzchołka, otwiera się cała dolina, wzgórza cofają się półkuliście, jak okiem sięgnąć, przechodząc w lawendowe góry wpasowane w błękit nieba. W sierpniowym skwarze bezgłośnie drgało powietrze. Ta rozległa i prymitywna kraina musiała tak wyglądać od tysiąca lat. W oddali dęby wirginijskie urozmaicały krajobraz, ciemne, włochate i przygarbione, niczym bizony. Od miesięcy nie padało i kolory były pastelowe, blade, rozmyte.

Blżej nas droga spadała do zdradzieckiego kanionu, który mógł stać się miejscem śmierci Bobby'ego dziewięć miesięcy temu. Wymieniono całą metalową barierę, ale tam, gdzie zaczynał się

most, wciąż brakowało kawałka betonu.

– Ten drugi samochód zaczął w nas walić, gdy tylko minęliśmy grzbiet góry – powiedział.

Sądziłam, że będzie mówił dalej, zatem czekałam.

Gdy spacerował, żwir zgrzytał pod jego butami. Kiedy spoglądał w dół zbocza, był wyraźnie roztrzęsiony. Zerknęłam przez ramię na kilka przejeżdżających samochodów. Nikt na nas nie zwracał najmniejszej uwagi.

Obserwowałam całą scenę, aż mój wzrok spoczął na jednym z porysowanych gładów, które widziałam na zdjęciu, a potem na smutnym, poszarpanym kikucie w miejscu, gdzie ścięte zostało karłowate drzewo. Wiedziałam, że policja z Santa Teresa oczyściła teren z wszelkich szczątków, więc nie było potrzeby wyciągania lupy czy myszkowania na czworakach w poszukiwaniu nitek pozostawionych gdzieś pod krzakami.

– Czy otarłaś się już kiedyś o śmierć? – Bobby zwrócił się do mnie.

– Tak.

– Pamiętam, jak myślałem: To koniec, już po mnie. Potem straciłem przytomność. Czułem się jak roślina, którą wrywają z korzeniami. Frunąłem. – Na chwilę przerwał. – A potem przeniknął mnie chłód i wszystko mnie bolało, ludzie coś mówili, ale nie rozumiałem ani słowa. Tak przez dwa tygodnie było w szpitalu. Od tamtej pory zastanawiam się, czy tak właśnie czują się noworodki. Czy są podobnie oszołomione i dezorientowane. Bezbronne. Tak ciężko musiałem walczyć, by nie tracić kontaktu ze światem. By zapuścić nowe korzenie. Wiedziałem, że mam wybór. Byłem słabo zakotwiczony, słabo uwiązany, czułem lekkość, z jaką mógłbym się puścić, poszybować jak balon, pożeglować w dal.

– Ale się trzymasz.

– A jakże, tak chciała moja matka. Za każdym razem, gdy otwierałem oczy, widziałem jej twarz. A gdy zamykałem oczy, słyszałem jej głos. Mówiła: „Uda się nam, Bobby. Uda się nam, tobie i mnie”.

Powtórnie się zamyślił. Jezu, jak dobrze jest mieć matkę, która kocha w ten sposób, przeleciało mi przez głowę. Moi rodzice zginęli, kiedy miałam pięć lat, w koszmarnym wypadku drogowym. Wybraliśmy się na niedzielną wycieczkę i jechaliśmy w stronę Lompoc, gdy olbrzymi gład stoczył się z góry i rąbnął w przednią szybę. Ojciec zginął na miejscu i rozbiliśmy się. Ja siedziałam z tyłu i przy zderzeniu poleciałam na podłogę, przygniotła mnie pogięta karoseria. Matka nie straciła przytomności, jęczała i płakała, ostatecznie zamilkła na chwilę tak długą, że wydawało mi się, iż trwała wiecznie. Uplłynęły godziny, nim wydobyli mnie z wraku, gdzie leżałam uwięziona wraz z zabitymi, których kochałam, a którzy odeszli na zawsze. Potem wychowywała mnie kochająca bez reszty poważna ciotka, która starała się ze wszystkich sił, lecz z powodu swej rzeczowości nie zdołała wykarmić jakiegokolwiek mojej części.

W Bobby’ego wlano tyle miłości, że zdołał wydostać się z grobu. Czułam się nieswojo, bo kiedy

on był taki pokiereszowany, ja mu zazdrościłam, przez co łzy napłynęły mi do oczu. Wydałam z siebie zduszony śmiech, a on spojrzał na mnie zdziwiony.

Wyciągnęłam chusteczkę i wytarłam nos.

– Właśnie zdałam sobie sprawę, jak bardzo ci zazdrozczę – powiedziałam.

Uśmiechnął się żałośnie.

– A to dobre.

Wróciliśmy do samochodu. Nie nastąpiło żadne olśnienie, żadne nagłe przypomnienie zapomnianych faktów, ale ujrzałam wąwóz, do którego wpadł, i zacieśniła się więź między nami.

– Czy przyjeżdżałeś tu od czasu wypadku?

– Nie. Brakowało mi odwagi, a nikt mi tego nie doradzał. Na samą myśl o tym oblewał mnie zimny pot.

Ruszyłam.

– Masz ochotę na piwo?

– Masz ochotę na burbona na skałach? Pojechaliśmy do „Stage Coach Tavern”, tuż przy zjeździe z głównej drogi, gdzie przegadaliśmy resztę popołudnia.



## ROZDZIAŁ 8

Gdy o piątej podrzuciłam go pod dom, zawahał się zaraz po wyjściu z samochodu, podobnie jak niegdyś: z ręką na klamce, spoglądając na mnie siedzącą w środku.

– Wiesz, co mi się w tobie podoba? – spytał.

– Co?

– Kiedy jestem z tobą, nie czuję się taki skrępowany, połamany czy brzydki. Nie wiem, jak ty to robisz, ale to miłe.

Patrzyłam na niego przez chwilę, sama czując się dziwnie skrępowana.

– Powiem ci. Przypominasz mi prezent urodzinowy, który ktoś mi przysłał pocztą. Papier rozerwano, a pudełko uszkodzono, lecz i tak w środku znajduje się coś niesamowitego. Świetnie się czuję w twoim towarzystwie.

Uśmiech pojawił się na jego ustach i szybko zniknął. Zerknął na dom, a potem znowu na mnie. Miał jeszcze coś na końcu języka, ale czuł się zbyt zażenowany, aby to wyjawić.

– Co tam? – chciałam go ośmielić.

Przekrzywił głowę i dostrzegłam w jego spojrzeniu znajomą iskrę.

– Gdybym był okay... Gdybym był w jednym kawałku, czy nie zastanowiłabyś się nad związkiem ze mną? Mam na myśli układ męsko-damski.

– Chcesz poznać prawdę?

– Jeśli będzie mi schlebiać.

Zaśmiałam się.

– Prawda jest taka, że gdybym natknęła się na ciebie przed wypadkiem, byłabym onieśmielona. Jesteś nazbyt przystojny, zbyt bogaty, no i zbyt młody. Więc muszę przyznać, że nie. Gdybyś był w jednym kawałku, jak sam to ująłeś, prawdopodobnie w ogóle bym cię nie poznała. Tak naprawdę nie jesteś w moim typie, wiesz?

– A jaki jest twój typ?

– Jeszcze go nie określiłam.

Patrzył na mnie przez minutę z żartobliwym uśmiechem na ustach.

– Nie powiesz mi po prostu, co ci chodzi po głowie? – spytałam.

– Jak ty to robisz, że odwracasz kota ogonem i sprawiasz, że czuję się dobrze z moją deformacją?

– O Boże, ty nie jesteś zdeformowany. Ale teraz dajmy temu spokój! Pogadam z tobą później.

Uśmiechnął się i zatrzasnął drzwi auta, odsuwając się, bym mogła wykręcić i wyjechać drugą stroną podjazdu.

Wróciłam do siebie kwadrans po piątej. Nie było jeszcze późno na krótką przebieżkę, choć zastanawiałam się, czy to mądry pomysł. Bobby i ja spędziliśmy większą część dnia na picu piwa, burbona i kiepskiego chablis, na zuciu beźmięsnych żeberek z grilla i chleba tak twardego, że niejedna sztuczna szczeka padłaby w konfrontacji z jego skórka. Tak naprawdę miałam większą ochotę na drzemkę niż na jogging, pomyślałam jednak, że trochę samodyscypliny dobrze mi zrobi.

Przebrałam się więc w strój do biegania i pokonałam trzy mile, w tym samym czasie gimnastykując umysł poprzez rozmyślanie nad wszystkimi faktami dotyczącymi obecnej sprawy. Wydawała mi się nieco zagmatwana i nie bardzo wiedziałam, z której strony się do niej zabrać. Pomyślałam, że dobrze będzie zajrzeć do doktora Frakera na oddział patologii u Świętego Terry'ego, może przy okazji odwiedzić Kitty, potem zagłębić się w rubryki zgonów miejscowych gazet i przekopać z mozołem przez lokalne wiadomości poprzedzające wypadek, by sprawdzić, co się w owym czasie działo. Może jakieś wydarzenie, głośne wówczas, uzasadni twierdzenie Bobby'ego, że ktoś chciał go zamordować.

O siódmej wpadłam do Rosie na kieliszek wina. Odczuwałam niepokój i trapiła mnie myśl, że Bobby mógł poruszyć tryby jakiejś nieznannej maszyny. Fajnie jest z kimś się kolegować, spędzić popołudnie w dobrym towarzystwie, mieć kogoś, którego twarz pragnie się zobaczyć. Miałam wątpliwości, do jakiej kategorii zaliczyć nasz związek. Moje uczucie do niego nie było w żadnym wypadku macierzyńskie. Może siostrzane. Wydawał się dobrym przyjacielem i miał w sobie wiele uroku. Był zabawny, a przebywanie z nim przynosiło ukojenie. Od tak dawna czułam się samotna, że urzekał mnie związek jakiegokolwiek typu.

Odebrałam z kontuaru kieliszek wina i usiadłam w boksie z tyłu, skąd miałam oko na wszystko. Jak na wtorkowy wieczór zebrał się ożywiony tłumek, to znaczy dwóch facetów spierających się cicho przy barze i starsza para z sąsiedztwa, dzieląca się wielką paterą naleśników nadziewanych szynką. Rosie opierała się o bar, trzymając papierosa w ustach, a dym dryfował wokół jej głowy, tworząc halo z nikotyny i sprayu do włosów. To apodyktyczna Węgierka po sześćdziesiątce, uwielbiająca hawajskie kwieciste sukienki i ufarbowane na kasztan loki, które rozdziela pośrodku i układa we właściwym miejscu za pomocą sprayów, dostępnych w każdym sklepie, odkąd ule na głowach wyszły z mody w 1966 roku. Rosie ma długi nos, słabo zarysowaną górną wargę i oczy, które zwiężą do cienkich, podejrzliwych kresek. Jest niska, korpulentna i uparta. Lubi wydymać wargi, co w jej wieku jest nieco śmieszne, lecz skuteczne. Aż tak bardzo nie przepadam za nią, ale nigdy nie przestaje mnie fascynować.

Jej lokal cechuje ten sam surowy, a jednocześnie dziwaczny wystrój. Barek rozciąga się wzdłuż lewej ściany, rozpięto nad nim wypchanego marlina, co do którego mam wątpliwości, czy kiedykolwiek był żywy. Na drugim końcu barku ustawiono wielki kolorowy odbiornik telewizyjny, z wyłączonym dźwiękiem: obrazy płasają niczym transmisje z innej planety, gdzie życie jest bardziej

rozedrgane i szalone. W pomieszczeniu zawsze czuć piwo, dym papierosów i tłuszcz do smażenia, który należało wylać tydzień wcześniej. Pośrodku znajduje się sześć lub siedem stolików, otoczonych chromowanymi krzesłami z plastikowymi oparciami, pochodzącymi zapewne z czyjejś jadalni z lat czterdziestych. Osiem boksów wzdłuż prawej ściany zbudowano ze sklejki polakierowanej na orzechowe i zdobionej niegustownymi nacięciami, których prymitywni autorzy musieli popisywać się również w damskich ubikacjach. Możliwe, że Rosie nie zna wystarczająco dobrze angielskiego, by wyłuskać prawdziwe znaczenie z tych przy głupich sloganów. Z drugiej strony niewykluczone, że odzwierciedlają jej sentymenty. Ciężko wyczuć.

Spojrzawszy na nią, odkryłam, że siedzi nieruchomo wyprostowana jak strzała i zezuje w stronę wejścia. Podążyłam za jej wzrokiem. Właśnie wszedł Henry wraz ze swą nową partnerką, Lilą Sams. Najwidoczniej antenki Rosie wysunęły się automatycznie, co upodobiło ją do Mojego Ulubionego Marsjanina w kobiecym przebraniu. Henry znalazł stolik sprawiający wrażenie umiarkowanie czystego i wysunął krzesło. Lila usiadła i swą wielką, plastikową torebkę położyła na biodrze, jak pieska. Nosiła jaskrawą, bawełnianą sukienkę z chwytliwym nadrukiem przedstawiającym szkarłatne maki na niebieskim tle, jej fryzura wyglądała, jakby tego popołudnia opuściła salon piękności. Henry usiadł, zezując do tyłu na boks, o którym wiedział, że ja go zwykle zajmuję. Pokiwałam mu małym palcem, na co on odpowiedział podobnie. Lila przekręciła głowę w moim kierunku i obdarzyła mnie uśmiechem tyle czarującym, ile fałszywym.

Rosie tymczasem odłożyła popołudniówkę, wstała ze stołka i prześlizgnęła się za barem niczym rekin. Mogłam jedynie przypuszczać, że spotkała Lilę już wcześniej. Patrzyłam z zaciekawieniem. To może okazać się równie zajmujące, jak „Godzilla kontra Bambi” w lokalnym kinie. Z mojego punktu widokowego całe zajście przypominało pantomimę.

Rosie wyciągnęła bloczek, by wypisać na nim zamówienie. Stała i gapiała się na Henry’ego; zupełnie tak samo traktuje mnie, gdy przychodzę z przyjacielem. Rosie nie rozmawia z nieznanymi. Nie patrzy w oczy nikomu, kto nie przebywał z nią już od jakiegoś czasu. Tym bardziej dotyczy to kobiet. Lila była niezmiernie podekscytowana. Henry po naradzie zamówił dla obojga. Doszło z tego powodu do jakiejś scysji. Wywnioskowałam, że Lila zażyczyła sobie czegoś, co nie pasuje do wyobrażenia Rosie o wyszukanej węgierskiej kuchni. Może Lila chciała, żeby nie dodawano papryki albo żeby coś upieczono, a nie usmażono. Lila sprawiała wrażenie tego typu kobiety, która przestrzega wielu żywieniowych tabu. Rosie przestrzegała tylko jednego. Jesz to, co podają, albo idziesz gdzie indziej. Lila najwidoczniej nie mogła uwierzyć, że nie chcą jej obsłużyć. Rozległy się piskliwe i kłótniwe głosy, wszystkie należące do Lili. Rosie nie odezwała się ani słowem. To był jej lokal. Mogła zrobić wszystko, na co miała ochotę. Dwóch mężczyzn, sprzecających się przy barze na temat polityki, odwróciło głowy, by przypatrywać się widowisku. Para spożywająca sonkas palacsintas znieruchomiła równocześnie z widelcami uniesionymi do ust.

Lila odepchnęła z hałasem krzesło. Przez chwilę myślałam, że zamierza uderzyć Rosie torebką. Zamiast tego wygłosiła coś, co wyglądało na uszczypliwą uwagę, i razem z Henrym uczeptionym do pleców pomaszerowała w stronę drzwi. Rosie pozostała niewzruszona, uśmiechała się tajemniczo jak kot, gdy śni o myszach. Pięcioro klientów uciszyło się natychmiast, pograżając się we własnych myślach, bo mogła dobrać się do każdego.

Upłynęło dwadzieścia minut, zanim Rosie znalazła wymówkę, by ruszyć w moją stronę. Mój

kieliszek stał pusty i z niesłychaną gracją szła, by mi go napełnić. Postawiła na blacie drugi kieliszek, po czym zgrabnie wślizgnęła się na miejsce i splotła przed sobą dłonie. Zachowuje się w ten sposób, gdy zależy jej na czyjejs uwadze lub gdy się ją niedostatecznie pochwaliło za jakieś kulinarne osiągnięcie.

– Widzę, że sobie z nią poradziłaś – zauważyłam.

– To wredna baba. Potwór. Raz już tu wpadła i nie przypadła mi do gustu. Henry musiał zwariować, że przyprowadził tu tę lafiryndę. Co to za jedna?

Wzruszyłam ramionami.

– Posłuchaj, wiem jedynie, że nazywa się Lila Sams. Wynajmuje pokój u pani Lowenstein. Zauroczyła czymś Henry’ego.

– Już ja ją zauroczę, jeśli tu jeszcze zajrzy! Robi śmieszne miny. – Rosie skrzywiła twarz, imitując uśmiech Lili, co mnie bardzo rozweseliło. Rosie na ogół nie grzeszy poczuciem humoru i nie miałam pojęcia, że jej zmysł obserwacji jest tak wyczulony, nie wspominając o mimicznym talencie. Oczywiście, była śmiertelnie poważna. Przybrała na powrót swą zwyczajną minę.

– Czego w ogóle ona od niego chce?

– Skąd to przypuszczenie, że chce czegokolwiek? Może interesuje ich wzajemne towarzystwo? Henry jest bardzo przystojny, jeśli już o to pytasz.

– Wcale nie pytam! Henry jest przystojny. To także fajny kumpel. Dlaczego więc szuka towarzystwa tej żmii?

– Jak mówią, Rosie, są gusta i guściki. Może ma zalety, których nie widać na pierwszy rzut oka?

– O, nie. Nie ona. Porozmawiam z panią Lowenstein. Co ją napadło, żeby wynajmować mieszkanie kobiecie tego pokroju?

Sama się nad tym głowię w drodze do domu. Pani Lowenstein jest wdową, zarządzającą znaczną posiadłością w sąsiedztwie. Trudno uwierzyć, by potrzebowała pieniędzy, i zżerała mnie ciekawość, w jaki sposób Lila Sams zawitała w jej progi.

Po dotarciu do domu spostrzegłam, że w kuchni Henry’ego pali się światło, doleciał mnie też stłumiony głos Lili, piskliwy i udręczony. Konfrontacja z Rosie najwyraźniej wytrąciła ją z równowagi i na nic się zdawały wszelkie słowa pociechy Henry’ego. Otworzyłam drzwi i weszłam do środka, skutecznie odgradzając się od hałasu.

Przez pół godziny czytałam – sześć podniecających rozdziałów z książki o włamaniu i kradzieży – po czym wcześniej położyłam się spać, naciągając kołdrę pod szyję. Zgasiałam światło i przez jakiś czas leżałam w ciemności. Mogłabym przysiąc, że słyszę odległy, wznoszący się i opadający pisk Lili, krążący wokół mego ucha niczym natrętny komar. Nie potrafiłam rozróżnić słów, lecz ton mówił sam za siebie... Swarliwy i rozdrażniony. Może Henry zrozumie, że nie jest taka miła, na jaką

wygląda. A może nie. Zawsze mnie dziwi, jakich głupców robią z siebie mężczyźni i kobiety w poszukiwaniu seksu.

Zbudziłam się o siódmej. Czytając gazetę, wypiłam filiżankę kawy, po czym wybrałam się do Santa Teresa Fitness na środowy wycisk. Czułam, że mam krzepę, a dwa dni joggingu sprawiły, że nogi przyjemnie mnie bolały. Ranek był przejrzysty, jeszcze nie upalny, niebo czyste niczym świeże płótno rozpięte na sztalugach. Parking przy sali gimnastycznej niemal się wypełnił, a ja wcisnęłam się na ostatnie wolne miejsce. Zauważyłam samochód Bobby'ego dwa miejsca dalej i uśmiechnęłam się; niecierpliwiłam się, by go zobaczyć.

Sala była zadziwiająco pełna, jak na środek tygodnia, dostrzegłam pięciu czy sześciu facetów wążących zapewne po dwieście osiemdziesiąt sześć funtów, podnosili ciężary, dwie kobiety w trykotach na sprzęcie Nautilusa, prócz nich trenera instruującego młodą aktorkę, której tyłek rozlewał się niczym wolno topiąca się parafina. Wypatrzyłam Bobby'ego, wykonywał podciągnięcia na ławce na maszynie Universala, blisko przeciwległej ściany. Musiał już być tam od jakiegoś czasu, gdyż jego podkoszulek ociekał potem, a jasne włosy zebrały się w mokre kosmyki. Nie chciałam mu przeszkadzać, więc włożyłam swoją torbę do skrytki i sama przeszłam do rzeczy.

Rozpoczęłam ćwiczenia kilkoma zgięciami bicepsa, używając hantli niemal o zerowej wadze, zaczynałam koncentrować się w trakcie rozgrzewki. Znałam już swój cykl ćwiczeń i musiałam zwalczyć pewną narastającą niecierpliwość. Nie należę do osób dobrze znoszących żmudną pracę. Lubię, gdy cel jest blisko, gdy do niego docieram, ale nie wędrówkę. Powtarzające się czynności kazały mi się buntować. Sama nie wiem, dlaczego wytrzymuję ten codzienny jogging. Przeszłam następnie do ćwiczeń nadgarstka, w myślach przeskakując do następnych punktów programu, pragnąc być już u jego końca, a nie dopiero po dwóch ćwiczeniach. Może zjem z Bobbym lunch o trzeciej, jeśli będzie miał wolną chwilę?

Usłyszałam brzęk, potem uderzenie i dostrzegłam, że Bobby stracił równowagę i potknął się o stertę pięciofuntowych talerzy. Nie pokaleczył się rzecz jasna, lecz chyba po raz pierwszy spostrzegł mój wzrok i się zawstydził. Płonął rumieńcem, próbując wstać. Jeden z facetów z sąsiedniego przyrządu przechylił się niedbale i mu pomógł. Z zażenowaniem odzyskał równowagę, machnięciem dłoni rezygnując z dalszej pomocy. Z zawziętą miną pokuśtykał do urządzenia, gdzie mógł ćwiczyć nogi. Ja ćwiczyłam swoje, jakbym niczego nie zauważyła, lecz dyskretnie obserwowałam jego zachowanie. Nawet z tej odległości widziałam, że jest w kiepskim nastroju i twarz ma posępną. Niektórzy obrzucili go spojrzeniami, które pod zasłoną ciekawości chciały ukryć litość. Wytarł podbródek i skoncentrował się na własnej osobie. Nagle jego lewą nogę ogarnęły jakieś skurcze i sfrustrowany zacisnął rękę na kolanie. Noga wydawała się żywym stworzeniem, podskakującym wytrwale, nie dającym się okiełznać. Bobby stękał, okładając w złości własne ciało, jakby chciał je poskromić pięścią. Walczyłam z impulsem, kładącym mi doń podejść; wiedziałam, że to by tylko pogorszyło sprawę. Nadwerężył mięśnie i jego ciało drżało z przemęczenia. Zupełnie nagle, tak jak się pojawił, skurcz zaczął ustępować. Bobby przetarł oczy i nisko zwiesił głowę. Gdy tylko poczuł, że może już iść, chwycił ręcznik i ruszył w stronę szatni, pomijając resztę programu.

Pędem zaliczyłam ćwiczenia, które mi zostały, i wzięłam szybki prysznic. Spodziewałam się, że nie spotkam już jego auta, lecz wciąż stało zaparkowane w miejscu, gdzie je uprzednio wypatrzyłam. Bobby siedział z dłońmi zarzuconymi na kierownicę, głowę opuszczył na ręce, ramiona mu drgały, gdy

szlochał sucho i spazmatycznie. Wahałam się przez chwilę, potem jednak zbliżyłam się do samochodu po stronie pasażera. Wsiadłam, zamknęłam drzwi i siedziałam, póki nie ochłonał. Nie miałam dla niego żadnych słów pociechy. Nic nie mogłam zrobić. Nie wiedziałam, jak podejść do jego bólu, do jego rozpacz. Miałam jedynie nadzieję, że dzięki mojej obecności zrozumie, że nie jest mi obojętny.

Jego stan ulegał stopniowej poprawie, a kiedy było już po wszystkim, osuszył oczy ręcznikiem i wytarł nos, odwracając twarz w drugą stronę.

– Masz ochotę na kawę?

Potrząsnął głową.

– Zostaw mnie w spokoju, zgoda? – powiedział.

– Mam czas – nalegałam.

– Może później zadzwonię.

– W porządku. Załatwię kilka spraw i może zadzwonimy się po południu. Czy potrzeba ci czegoś?

– Nie – odparł przygnębionym tonem, popadł w apatię.

– Bobby...

– Nie! Kurwa, nie możesz odejść i zostawić mnie w spokoju? Nie potrzebuję twojej pomocy!

Otworzyłam drzwi.

– Skontaktuję się z tobą później – powiedziałam. – Trzymaj się.

Sięgnął do klamki i zatrzasnął drzwi. Zapalił z rykiem silnik, a ja się odsunęłam. Wycofał z piskiem opon i jak rakieta wystrzelił z parkingu, nie patrząc za siebie.

Więcej go nie widziałam.

Oddział Patologii Świętego Terry’ego mieści się w piwnicach, w sercu labiryntu niewielkich gabinetów. We wszystkie strony odchodzą mile korytarzy, łączących oddziały niemedyczne, którym powierzono dozór nad funkcjonowaniem całej instytucji: brygady remontujące, sprzątające, inżynierskie, operatorów urządzeń. Podczas gdy wyższe piętra noszą ślady renowacji i gustownego wykończenia, podziemna dekoracja ogranicza się do brązowych, winylowych płytek i olejnej farby koloru politurowanych kości. Powietrze jest tu gorące i zatęchłe, niektóre z uchylonych drzwi ukazują przebłyski jakiejś złowieszczej maszynerii i przewodów elektrycznych, wielkich niczym rury kanalizacyjne.

Tego dnia strumień ludzi przesuwiał się monotonie, złożony z osobników w szpitalnych uniformach, bladych, obojętnych i – jak przystało na mieszkańców podziemnego miasta – spragnionych światła słonecznego. Sam oddział patologii stanowił przyjemny kontrast: obszerny, dobrze oświetlony, w kolorach granatowym i szarym, z pięćdziesięcioma lub sześćdziesięcioma laborantami, pracującymi nad uporządkowaniem próbek krwi, kości i tkanki, które donoszono z góry. Aparatura komputerowa zdawała się klekotać, brzęczeć i buczeć: jej wydajność poprawiała armia ekspertów. Hałas wytłumiono, pikanie telefonów nie brzmiało natarczywie. Nawet maszyny do pisania pracowały cicho, dyskretnie uwieczniając sekrety ludzkiego zdrowia. Wszędzie panował ład, profesjonalizm i spokój, dlatego odnosiło się wrażenie, że przynajmniej tutaj kontrolowano ból i napór choroby. Śmierć trzymano na wodzy, mierzono ją, kalibrowano i analizowano. A jeśli odnosiła zwycięstwo, ten sam pluton specjalistów dokonywał sekcji i wynikami karmił aparaturę. Papier wylewał się szerokim chodnikiem, wykładanym hieroglifami. Przez chwilę stałam w drzwiach, oszołomiona całą tą scenarią. Napotkałam tu mikroskopowych detektywów, ścigających zabójców innej kategorii niż ci, którymi ja się zajmuję.

– W czym mogę pomóc?

Spojrzałam na recepcjonistkę, która mnie obserwowała.

– Szukam doktora Frakera. Czy go zastałam?

– Chyba tak. W dół tą alejką do pierwszego zakrętu w lewo, potem znowu w lewo, a tam się już pani zapyta.

Znalazłam go w pomieszczeniu modułowym, zastawionym półkami pełnymi książek, wyposażonym w biurko, krzesło na kółkach, rośliny i grafikę. Przechylał się na krześle, stopy opierając na skraju biurka i kartkując podręcznik medycyny o rozmiarach „Oxford English Dictionary”. W dłoni ścisnął okulary bez oprawek, żując jeden ich koniec. Był pięknie zbudowany – szerokie barki, potężne uda. Włosy miał gęste, srebrzystobiałe, skórę w ciepłym odcieniu kredki o kolorze ciała. Wiek nadał jego twarzy lekko zmarszczony wygląd, wygląd świeżo wypranego, bawełnianego prześcieradła, któremu potrzeba krochmalu i żelazka. Ubrany był w chirurgiczną zieleń i buty w tym samym kolorze.

– Doktor Fraker?

Spojrzał na mnie i po iskrze w jego oczach poznałam, że mnie pamięta. Skierował na mnie palec.

– Przyjaciółka Bobby'ego Callahana.

– To prawda. Zastanawiałam się, czy nie mogłabym z panem porozmawiać.

– Jasne, nie ma sprawy. Proszę wejść.

Wstał i uścisnęliśmy sobie dłonie. Wskazał na krzesło przy biurku, na którym usiadłam.

– Możemy się umówić na późniejszą rozmowę, jeśli panu przeszkadzam – powiedziałam.

– Wcale nie. Co mogę dla pani zrobić? Glen mówiła, że Bobby wynajął kogoś, by zbadał okoliczności tego wypadku.

– Jest przekonany, że to była próba zabójstwa. Ktoś zepchnął go i zwiął. Czy rozmawiał o tym z panem?

Doktor Fraker potrząsnął głową.

– Nie widziałem go od miesiący, z wyjątkiem tego wieczoru w poniedziałek. Morderstwo. Czy policja się zgadza?

– Jeszcze nie wiem. Mam kopię raportu policyjnego i o ile zdążyłam się zorientować, nie mają czym się podeprzeć. Nie było żadnych świadków i nie sądzę, żeby na miejscu wypadku zebrano wiele dowodów.

– To trochę niezwykle, no nie?

– No cóż, zazwyczaj jest jakiś punkt zaczepienia. Potłuczone szkło, znaki opon na asfalcie, ślady drugiego wozu na samochodzie ofiary. Może gość wyskoczył z auta i starł wszelkie ślady i plamy farby, nie wiem. Ufam w intuicję Bobby'ego. Mówi, że był w niebezpieczeństwie. Nie pamięta tylko dlaczego.

Doktor Fraker analizował przez chwilę moje słowa, potem przekręcił się na krześle.

– Sam byłbym skłonny mu wierzyć. To bystry dzieciak. Był też utalentowany. Cholerna szkoda, że tak niewiele z tego zostało. Ma jakąś teorię?

– Na razie nie, lecz – jak twierdzi – z każdą nowo odzyskaną informacją przekonuje się o większym zagrożeniu. Podejrzewa, że ktoś go ciągle ściga.

Przechrząknął szkła chusteczką, rozważając całą sprawę. Był człowiekiem najwyraźniej przywykłym do radzenia sobie z zagadkami, lecz moim zdaniem rozwiązania opierał zwykle na symptomach, a nie na okolicznościach. Chorób nie cechuje motyw działania, odwrotnie jest przy zabójstwach.

Potrząsnął lekko głową, patrząc mi prosto w oczy.

– Dziwne. Cała sprawa wykracza trochę poza moje kompetencje. – Założył na nos okulary,



przybierając urzędową minę. – No cóż. Lepiej określmy, co się dzieje. Czego pani ode mnie oczekuje?

Wzruszyłam ramionami.

– Wszystko, co mam w planie, sprowadza się do rozpoczęcia śledztwa od początku, chcę określić, w jaki rodzaj tarapatów popadł. Jak długo dla pana pracował? Dwa miesiące?

– Coś koło tego. O ile mnie pamięć nie myli, zaczął we wrześniu. Jeśli zależy pani na dokładnych datach, mogę kazać Marcy to sprawdzić.

– Z tego, co wiem, zatrudniono go tu z powodu pańskiej znajomości z jego matką.

– Hm, i tak, i nie. Zazwyczaj dysponujemy wolnym miejscem dla tych, którzy przygotowują się na studia medyczne. Tak się po prostu złożyło, że Bobby idealnie się nadawał. Glen Callahan to u nas nie byle kto, ale nie zatrudnilibyśmy jej syna, gdyby był nieudacznikiem. Napije się pani kawy? Bo ja tak.

– Czemu nie? Pewnie.

Przechylił się lekko na bok, wołając do sekretarki, której biurko znajdowało się w jego polu widzenia.

– Marcy? Czy możemy prosić o kawę?

Do mnie powiedział:

– Ze śmietanką i cukrem?

– Może być czarna.

– Obie czarne! – krzyknął.

Nie było odpowiedzi, ale przypuszczałam, że kawa jest już przygotowywana. Swoją uwagę znów skierował na mnie.

– Przepraszam za ten przerywnik.

– Nic nie szkodzi. Czy miał tu na dole swoje biurko?

– Miał biurko bliżej wejścia, lecz uprzątnięto je, hm, następnego dnia po wypadku. Nikt nie sądził, że przeżyje, wie pani, no i szybko musieliśmy zatrudnić kogoś na jego miejsce. Ta instytucja zazwyczaj przypomina dom wariatów.

– Co się stało z jego rzeczami?

– Odwiozłem je do jego domu. Nie było tego wiele, lecz wszystko, na co się natknęliśmy,

wpakowaliśmy do kartonowego pudła, które przekazałem Derekowi. Nie wiem, co on z tym zrobił, jeśli w ogóle coś zrobił. W tamtym czasie Glen przebywała w szpitalu dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Czy pamięta pan, co znajdowało się w środku?

– W biurku? Takie tam drobiazgi. Biurowe rzeczy.

Zapisałam w pamięci, że mam sprawdzić pudełko. Sądziłam, że z dużym prawdopodobieństwem znajduje się ono jeszcze gdzieś w domu.

– Czy może mi pan opisać zwyczajny dzień Bobby’ego i wyjaśnić, czym się naprawdę zajmował?

– Jasne. Właściwie dzielił swój czas między laboratorium i kostnicę w starym okręgowym szpitalu na Frontage Road. I tak muszę tam zajrzeć; jeśli pani chce, możemy pojechać razem. Albo weźmie pani swój samochód, jak pani woli.

– Myślałam, że kostnica znajduje się tutaj.

– Mamy tu taką kieszonkową, zwykle pomieszczenie przy sali sekcji zwłok. Tam mamy drugą kostnicę.

– Nie wiedziałam, że jest więcej niż jedna.

– Potrzebowaliśmy dodatkowej przestrzeni do zadań, jakie nam zlecają. Święty Terry dysponuje tam też kilkoma gabinetami.

– Naprawdę? Nie przypuszczałam, że stary budynek okręgowy wciąż jest wykorzystywany.

– O, tak. Ulokowano tam prywatny zespół radiologiczny, ponadto są magazyny przeznaczone do przechowywania kartotek medycznych. Przypomina to trochę groch z kapustą, lecz nie wiem, jak byśmy sobie bez tego poradzili.

Spojrzał w bok, w stronę Marcy nadchodzącej z dwoma kubkami, wzrok miała przykuty do powierzchni kawy, która w każdej chwili mogła się przelać przez krawędzie. Była młoda, ciemnowłosa, bez cienia makijażu. Chciałbyś, żeby tego typu osoba trzymała twoją dłoń w chwili, gdy technicy z laboratorium spowodują jakąś katastrofę.

– Dziękuję, Marcy. Postaw na biurku.

Zostawiła kubki i zanim odeszła, obdarzyła mnie przelotnym uśmiechem.

Dyskutowaliśmy z doktorem Frakerem na temat procedur gabinetowych, dopijając kawę, potem oprowadził mnie po laboratorium, wyjaśniając przeróżne powinności Bobby’ego, z których każda zdawała się rutynowa i niespecjalnie ważna. Zanotowałam nazwiska kilku jego współpracowników, chciałam z nimi porozmawiać w jakimś późniejszym terminie.

Czekałam, podczas gdy on załatwiał ostatnie sprawy i wpisywał do książki swe wyjście, informując Marcy, gdzie będzie.

Pojechałam za nim w stronę dawnego szpitala okręgowego. Kompleks widoczny był już z daleka: rozrośnięty labirynt żółtawego stiuku i czerwonych dachówek, które z wiekiem zmieniły barwę na rdzawobrazową. Minęliśmy go, skręciliśmy na pierwszym zjeździe i wjechaliśmy na Frontage Road, by po chwili skręcić w lewo na właściwy podjazd.

Główny Szpital Okręgowy był niegdyś kwitnącą placówką medyczną, wzniesioną, by służyć całej społeczności Santa Teresa. W następnej kolejności przekształcono tę placówkę w centrum opieki nad biednymi, wspierane funduszami różnych instytucji charytatywnych. Z upływem lat zaczęto ją kojarzyć z wyrzutkami społeczeństwa. Stopniowo Szpitala Okręgowego zaczęto unikać, dotyczyło to przede wszystkim klasy średniej i zamożnej. A kiedy upowszechnił się MediCal i Medicare, nawet biedni wybierali Świętego Terry'ego i inne prywatne kliniki w okolicy, na skutek czego miejsce to zamieniło się w miasto widmo.

Na parkingu stało kilka samochodów. Prowizoryczne, drewniane drogowskazy w kształcie strzałek kierowały gości do archiwum medycznego, gabinetów opieki, na radiologię, do kostnicy, działów reprezentujących mroczne gałęzie medycyny.

Doktor Fraker zaparkował swój samochód, a ja zajęłam miejsce obok niego. Wysiadł z auta, zamknął drzwi i poczekał, aż zrobię to samo. Przyległe grunty próbowano utrzymać skromnymi środkami, lecz sam podjazd popękał, a z asfaltu zaczynały kiełkować paskudne chwasty. Niewiele mówiąc, ruszyliśmy w stronę głównego wejścia. Doktor Fraker zdawał się nie przejmować wyglądem tego miejsca, lecz we mnie budziło ono mieszane uczucia. Jego architekturę, oczywiście, wzorowano na stylu hiszpańskim: szerokie ganki wzdłuż fasady budynku, okna w głębokich wnękach z kutymi kratami.

Weszliśmy do środka, zatrzymując się w przestronnym holu. Nie ulegało wątpliwości, że z biegiem lat usiłowano „zmodernizować” to miejsce. Wysoko pod sufitami umieszczono lampy fluorescencyjne, będące źródłem światła zbyt rozproszonego, by mogło być zadowalające. Wspaniałe niegdyś przedsionki rozdzielono. Między dwoma wewnętrznymi łukami powstały okienka, lecz w całej poczekalni nie było mebli ani nikogo czekającego na przyjęcie. W powietrzu unosił się zaduch świadczący o zaniedbaniu i opuszczeniu. Gdzieś z głębi przyciemnionego korytarza dochodził stukot maszyny do pisania, chyba starej i ręcznej, obsługiwanej przez amatora. Prócz tego nie było żadnej oznaki ludzkiej bytności.

Doktor Fraker oprowadził mnie pobieżnie. Zgodnie z tym, co mówił, Bobby robił za gońca między Świętym Terryem a tym miejscem, wygrzebując nieaktualne kartoteki pacjentów ponownie przyjętych do szpitala po wieloletniej przerwie, osobiście doręczając zdjęcia rentgenowskie i sprawozdania z autopsji. Stare kartoteki odsyłało automatycznie do tutejszego archiwum. Oczywiście, większość danych przechowywano obecnie w komputerze, lecz i tak istniała cała sarta papierzysk, które trzeba było gdzieś ulokować. Bobby najwyraźniej brał nadgodziny i pracował na cmentarnej zmianie za członków personelu kostnicy, którzy zachorowali lub wyjechali na wakacje. Doktor Fraker zaznaczył, że głównym zajęciem Bobby'ego było opiekowanie się tym całym bałaganem, choć robił także różne inne rzeczy.

Tymczasem schodziliśmy w dół szerokimi schodami z czerwonych, hiszpańskich płytek, odgłos naszych kroków odbijał się głuchym, niemiarowym echem. Jako że szpital wzniesiono na zboczu wzgórza, tylna część budynku znajduje się pod ziemią, podczas gdy część frontowa wychodzi na ścieżki gdzieś porośnięte chaszczami. Było tu ciemniej, jakby z powodów oszczędności odcięto od zasilania urządzenia powszechnej użyteczności. Panowała niska temperatura i w powietrzu unosiła się woń formaldehydu, cierpkiego dezodorantu zmarłych. Strzałka na ścianie wskazała nam drogę do pomieszczeń autopsji. W duchu zaczęłam przygotowywać się na obrazy, które podsuwały moje zmysły.

Doktor Fraker otworzył drzwi z szybką z mlecznego szkła. Nie wahałam się przed wejściem i w ułamku sekundy rozejrzałam się po pomieszczeniu, by upewnić się, że nie przeszkadzamy jakiemuś facetowi z rzeźnickim nożem patroszyć nieboszczyka. Doktor Fraker musiał wyczuwać mój strach, bo dotknął mojego łokcia.

– Chwilowo nie ma nic w harmonogramie – powiedział i poprowadził mnie dalej.

Uśmiechnęłam się bez przekonania i podażyłam za nim. Na pierwszy rzut oka miejsce zdawało się opuszczone. Zauważyłam ściany wykładane płytkami ceramicznymi o jabłkowiezielonym zabarwieniu, długie szafki z nierdzewnej stali z dużymi szufladami. Przypominało mi to kuchnię dwudziestego pierwszego wieku z czasopisma poświęconego wystrojonom wewnątrz, wyposażoną w nierdzewną wysepkę pośrodku, z własnym szerokim zlewem, wysokimi szponiastymi kurkami, wiszącą wagą i suszarką. Wykrzywiłam usta ze wstrętem. Wiedziałam, co tu się przygotowuje, żadne tam jedzenie.

Pchnięto drzwi obrotowe po przeciwnej stronie sali i młody człowiek w chirurgicznej zieleni wszedł tyłem, ciągnąc nosze na kółkach. Ciało na wózku owinięto grubym, ciemnym plastikiem, ukrywającym płeć i wiek. Widziałam jedynie etykietkę na stopie i kosmyk ciemnych włosów; twarz trupa owinięto plastikiem, niczym mumię. Mgliście przypominałam sobie ostrzeżenia wypisane na folii z pralni chemicznej: „UWAGA: Aby uniknąć niebezpieczeństwa uduszenia, trzymać z daleka od dzieci. Nie używać w łóżeczkach, wózkach i kojcach. Ta torebka nie jest zabawką”. Odwróciłam wzrok, biorąc głęboki oddech po to tylko, by udowodnić sobie, że jeszcze mogę to zrobić.

Doktor Fraker przedstawił mnie dyżurnemu, który nazywał się Kelly Borden. Był po trzydziestce, wielki i oklapły, z kędzierzawymi, przedwcześnie siwiejącymi włosami, związanymi w tłustą kitkę, która spadała do połowy pleców. Miał bródkę, podkreślone wąsiki, łagodne oczy i zegarek na rękę, który mierzyłby czas chyba nawet na dnie oceanu.

– Kinsey jest prywatnym detektywem, interesuje się wypadkiem Bobby’ego Callahana – oznajmił doktor Fraker.

Kelly skinął głową, wyraz jego twarzy się nie zmienił. Podjechał z wózkiem do czegoś, co wyglądało na obudowę wielkiej lodówki, i popchnął go do środka, obok innego wózka, także zajętego. Współlokatorzy, pomyślałam.

Doktor Fraker spojrzał na mnie przez ramię.

– Mam na górze pewne sprawy do załatwienia. Może zostawię was tutaj, a pani go wypyta, o co tylko zechce? Pracował razem z Bobbym. Będzie kompetentnym rozmówcą, a potem pogadamy, gdy już się pani wszystkiego dowie.

– Wspaniale – powiedziałam.

Po wyjściu doktora Frakera Kelly Borden wyciągnął butelkę ze środkiem dezynfekującym w aerozolu, którym zaczął spryskiwać nierdzewne szafki, wszystko metodycznie wycierając. Nie byłam pewna, czy naprawdę musi to robić, lecz to pozwalało mu nie patrzeć na mnie. Był to grzeczny sposób ignorowania mnie, ale nie oponowałam. Spokojnie okrążyłam pomieszczenie, zerkając na oszklone gablotki wypełnione skalpelami, kleszczami i piłami.

– Myślałam, że będzie więcej ciał – zagadnęłam.

– Są tam.

Spojrzałam w stronę drzwi, którymi wszedł.

– Mogę rzucić okiem?

Wzruszył ramionami.

Przemierzyłam pomieszczenie i otworzyłam drzwi, przy których wisiał termometr wskazujący cztery stopnie Celsjusza. Salę mniej więcej wielkości mojego mieszkania wypełniały prycze z włókna szklanego, ułożone piętrowo, niczym w więzieniu. W ewidencji widniało osiem ciał, większość owinięto podobnym, żółtawym plastikiem, przez który mogłam czasem rozpoznać ramiona, nogi i otwarte rany; krew i płyny ustrojowe zbierały się na powierzchni plastikowego opakowania. Dwa ciała przykryto prześcieradłami. Starsza kobieta, leżąca na najbliższym łóżku, była naga, nieruchoma niby kłoda drewna, wyglądała na nieco odwodnioną. Pośrodku jej ciała wycięto dramatyczne „Y”, potem zszyto grubymi, niezgrabnymi szwami. Przywodziła na myśl kurczaka, nadzianego farszem i związanego. Jej piersi rozplaszczyły się jak paczki z fasolą, a łono było niemal bezwłose, jak u małej dziewczynki. Chciałam ją przykryć, ale po co? Zimno, ból, skrępowanie czy seks nie miały już na nią wpływu. Obserwowałam jej klatkę piersiową, ale nie dostrzegłam wznoszenia się i opadania. Śmierć zaczęła przypominać salonową sztuczkę – jak długo wstrzymasz oddech? Zauważyłam, że znowu głęboko oddycham, nie miałam ochoty na uczestniczenie w tej sztuczce. Zamknęłam drzwi, wracając do przytulnego pomieszczenia autopsji.

– Ilu możecie pomieścić?

– Pięćdziesięciu chyba dałoby się upchać. Nigdy nie widziałem więcej niż ośmiu.

– Myślałam, że większość ludzi idzie prosto do prosektorium.

– To prawda, jeśli zmarli z przyczyn naturalnych. My dostajemy całą resztę, ofiary zabójstw, samobójstw, wypadków, wszystkich umarłych w podejrzany bądź nienormalny sposób. Większości poddaje się autopsji i odsyła do kostnicy stosunkowo szybko. Z dziesięciu, jakich mamy pod ręką, kilku to biedacy. Dwóch z nich nie znamy z nazwiska i trzymamy w nadziei na potwierdzenie ich tożsamości. Czasem zdarzają się kłopoty z zorganizowaniem pochówku, więc trzymamy ciało, aż odbiorą je krewni. Dwóch mamy tu od lat. Franklin i Eleanor. Są jak maskotki.

Skrzyżowałam ramiona, czując przenikliwy chłód; pośpiesznie skierowałam temat z powrotem w

stronę żywych.

– Czy zna pan dobrze Bobby’ego? – zapytałam. Odwróciłam się i oparłam o ścianę, obserwując, jak poleruje kurki od kranu nad nierdzewnym zlewem.

– Znam go tylko pobieżnie. Pracowaliśmy na różnych zmianach.

– Jak długo pan tu pracuje?

– Pięć lat.

– Co pan robi poza tym?

Milczał, spoglądając na mnie. Chyba nie lubił osobistych pytań, lecz był zbyt uprzejmy, by uchylić się od odpowiedzi.

– Jestem muzykiem. Gram na gitarze jazzowej.

Wpatrywałam się w niego przez chwilę, wahając się.

– Czy słyszał pan kiedyś o Danielu Wade?

– Pewnie. Był miejscowym pianistą jazzowym. Każdy o nim słyszał. Choć już od wielu lat nie było go w okolicy. To pani przyjaciel?

Odsunęłam się od ściany i podjęłam na nowo swój obchód.

– Byłam kiedyś jego żoną.

– Jego żoną?

– Właśnie. – Zauważyłam kilka słoików wypełnionych brejowatą cieczą, w których marynowały się ludzkie organy. Zastanawiałam się, czy jest tu gdzieś piklowane serce, wciśnięte między wątroby, nerki i śledziony.

Kelly zajął się swoją pracą.

– Niezwykły muzyk – mruknął tonem, w którym zawierała się po części ostrożność, po części respekt.

– Tym właśnie jest – powiedziałam, uśmiechając się z własnej ironii. Nigdy nie rozmawiałam o tym i wydało mi się dziwne, że robię to w sali autopsji z pracownikiem kostnicy, ubranym w chirurgiczną zielen.

– Co się z nim stało? – zapytał Kelly.

– Nic. Z tego, co wiem, mieszkał ostatnio w Nowym Jorku. Nadal grywa, nadal ćpa.

Potrząsnął głową.

– Boże, ma facet talent. Nigdy go dobrze nie znałem, ale wykorzystywałem każdą okazję, by go zobaczyć. Nie rozumiem, dlaczego jeszcze do niczego nie doszedł.

– Świat jest pełen utalentowanych ludzi.

– No tak, ale on jest ponadprzeciętnie bystry. Przynajmniej z tego, co słyszałem.

– Szkoda, że nie byłam tak bystra jak on. Oszczędziłabym sobie wielu przykrości – powiedziałam. Tak naprawdę to małżeństwo, choć krótkotrwałe, stanowiło najlepsze kilka miesięcy mojego życia. Wówczas Daniel miał twarz anioła... Czyste, niebieskie oczy, chmurę żółtych loków. Zawsze przypominał mi podobiznę katolickiego świętego autorstwa pewnego artysty – smukłą i piękną, o ascetycznym wyglądzie, z eleganckimi dłońmi i skromną miną. Tryskał niewinnością. Po prostu nie umiał pozostać wierny, nie umiał odłożyć narkotyków, nie umiał utrzymać się na jednym miejscu. Był dziki, zabawny i zepsuty, ale gdyby dzisiaj wrócił, chyba nie odmówiłabym mu niczego.

Pozwoliłam, by rozmowa ucichła, i Kelly w końcu przerwał milczenie:

– Gdzie obecnie przebywa Bobby?

Spojrzałam na niego. Usadowił się na wysokim, drewnianym stołku, odkładając ścierkę i środek dezynfekujący.

– Wciąż próbuje poskładać życie do kupy – odparłam. – Ćwiczy codziennie na siłowni. Nie wiem, co prócz tego robi w wolnym czasie. Nie przypuszczam, by miał pan jakieś pojęcie, co się wtedy działo, no nie?

– A jaka to dzisiaj różnica?

– Twierdzi, że groziło mu jakieś niebezpieczeństwo, lecz jego pamięć wysiadła. Dopóki nie wypełnię luk, wciąż będzie w opałach.

– Jak to?

– Jeśli ktoś już chciał go zabić, spróbuje ponownie.

– Dlaczego jeszcze zwleka?

– Nie wiem. Może myśli, że jest bezpieczny.

Popatrzył na mnie.

– To dziwne.

– Nigdy się panu nie zwierzał?



Kelly wzruszył ramionami, znów nieznacznie uniósł gardę.

– Tylko kilka razy pracowaliśmy razem. Przez kawałek czasu, jaki tu spędził, byłem na wakacjach. A potem brał cmentarne zmiany, gdy ja miałem dzieńne.

– Czy jest szansa, że mógł tu zostawić mały czerwony notes w skórzanej okładce?

– Wątpię. Żaden z nas nawet nie trzymał rzeczy w zamkniętej szafce.

Wyciągnęłam z portfela wizytówkę.

– Proszę do mnie zadzwonić, jeśli coś przyjdzie panu do głowy. Chciałabym wiedzieć, co się wtedy działo, i jestem pewna, że Bobby'emu zależy na pomocy.

– Jasne.

Poszłam szukać doktora Frakera, mijając gabinet medycyny nuklearnej, gabinety opieki, pomieszczenia grupy tutejszych radiologów, wszystkie w piwnicach. Wpadłam na doktora Frakera, kiedy ten schodził na dół.

– Już po wszystkim? – zapytał.

– Tak, a u pana?

– W południe muszę stawić się na „posterunku”, ale możemy znaleźć jakiś pusty lokal i pogadać, jeżeli ma pani ochotę.

Potrząsnęłam głową.

– Na razie nie mam więcej pytań. Może później zechcę się spotkać z panem.

– Bardzo dobrze. Proszę tylko zadzwonić.

– Dzięki. Nie omieszkam.

Siedziałam w aucie stojącym na parkingu, robiąc notatki na kilku kartkach z notesu, które trzymam w skrytce: data, czas, nazwiska dwóch ludzi, z którymi rozmawiałam. Sądziłam, że doktor Fraker to dobre źródło informacji, nawet jeśli wywiad z nim nie był zbyt owocny. Także Kelly Borden nie pomógł mi szczególnie, ale przynajmniej tę alejkę miałam już zbadaną. Czasami zaprzeczenia są równie przyteczne jak potwierdzenia, gdyż eliminują ślepe uliczki i pozwalają zawęzić pole badań, aż trafi się do serca labiryntu. W tym wypadku nie miałam pojęcia, gdzie może się ono znajdować i co może się tam kryć. Sprawdziłam zegarek. Była jedenasta czterdzieści pięć i pomyślałam o lunchu. Nieczęsto zdarza mi się jeść posiłek o należytnej porze. Albo nie jestem głodna, kiedy powinnam, albo jestem głodna, lecz nie ma gdzie zjeść. Staje się to środkiem w walce z otyłością, ale nie mam pewności, czy dobrze na tym wychodzi moje zdrowie. Włączyłam silnik i ruszyłam w stronę miasta.

Podjechałam do restauracji ze zdrową żywnością, gdzie razem z Bobbym jedliśmy lunch w

poniedziałek. Miałam nadzieję, że się z nim spotkam, lecz nie pojawiał się na horyzoncie. Zamówiłam sałatkę, która miała zadbać o sto procent składników odżywczych potrzebnych mi do przetrwania. Kelnerka przyniosła talerz ze stertą chwastów i nasion, udekorowaną smakowitym, różowym nadzieniem z ziarnami. Nie równało się to smakiem z quarter pounderem z serem, ale poczułam się lepiej, gdyż miałam świadomość całego tego chlorofilu krążącego w moich żyłach.

Po powrocie do samochodu obejrzałam zęby w lusterku, by upewnić się, że nie są pocętkowane kielkami lucerny. Nie chciałam rozmawiać z ludźmi, wyglądając, jakbym przed momentem pasła się na łące. Przewertowałam notes w poszukiwaniu adresu rodziców Ricka Bergena, potem rozłożyłam mapę miasta. Nie miałam pojęcia, gdzie biegnie Turquesa Road. W końcu wypatrzyłam ją, uliczkę rozmiarów włosa, odchodzącą w bok równie niewyraźnej alejki u stóp pogórza, które podchodzi pod tylną część miasta.

Dom był solidny i prosty, bez żadnych łuków i wygięć, z tak stromym podjazdem, że oszczędziłam autu wspinaczki i wcisnęłam go pod krzew przypołudnika, rosnący poniżej. Łysy mur z prasowanego żużlu zapobiegał zwałeniu się wzgórza na drogę i sprawiał wrażenie serii barykad, pnących się zygzakami aż pod budynek. Gdy dotarłam na werandę, ujrzałam wspaniały widok, szeroką panoramę Santa Teresa od jednego końca do drugiego, z oceanem za plecami. Po mojej prawej ręce, wysoko, szybowiała lotnia; zataczając leniwie kręgi, zbliżała się do plaży. Dzień kąpał się w słońcu, małe obłoki przypominały białą mgiełkę, zaczynającą parować. Panowała cisza jak makiem zasiał. Żadnego ruchu ulicznego, żadnej oznaki bytności sąsiadów. Dostrzegałam jeden, dwa czubki dachów, ale nikogo żywego. Zagospodarowanie terenu zielonego było oszczędne, składało się z roślin odpornych na suszę: ognika, wistarii i sukulentów.

Zadzwoiłam. Mężczyzna, który wyszedł do drzwi, był niski, spięty i nieogolony.

– Pan Bergen?

– Zgadza się.

Wręczyłam mu swoją wizytówkę.

– Nazywam się Kinsey Millhone. Bobby Callahan wynajął mnie, bym przyjrzała się wypadkowi...

– Po co?

Napotkałam jego wzrok. Oczy miał małe i niebieskie, otoczone czerwoną obwódką. Jego policzki kłuły dwudniowym zarostem, który upodabniał go do kaktusa. Mógł być po pięćdziesiątce, czułam zapach piwa i potu. Rzedły mu włosy, które usiłował zaczesywać do tyłu. Nosił spodnie, rzekłbyś, wyszarpane z paczki Armii Miłosierdzia, oraz podkoszulek z napisem „Życie to dziwka. A potem umierasz”. Ręce miał miękkie i bezkształtne, lecz brzuszysko wypinał niczym piłkę do kosza, maksymalnie napompowaną. Chciałam odpowiedzieć tym samym szorstkim tonem, jakim zwracał się do mnie, ale ugryzłam się w język. Ten człowiek stracił syna. Kto powiedział, że powinien być grzeczny?

– Sądzi, że tamten wypadek to było zabójstwo – powiedziałam.

– Gówno prawda. Nie chcę być niegrzeczny, paniusiu, ale muszę cię oświecić. Bobby Callahan to nadziany dzieciak. Jest zepsuty, nieodpowiedzialny i samowolny. Do cholery, wypił za dużo i zjechał z drogi, zabijając mojego syna, który przypadkowo był jego najlepszym przyjacielem. Wszystko inne, co słyszałaś, to pieprzone gówno.

– Nie jestem tego taka całkiem pewna – powiedziałam.

– Cóż, ja jestem i mówię to otwarcie. Sprawdź raporty policyjne. Wszystko tam jest. Przeglądałaś je?

– Wczoraj otrzymałam kopie od prawnika Bobby’ego.

– Żadnych namacalnych dowodów, mam rację? Masz zapewnienie Bobby’ego, że ktoś zepchnął go z drogi, ale nie masz nic, by potwierdzić jego słowa, co w moim przekonaniu czyni z jego opowieści stek bzdur.

– Policja chyba mu wierzy.

– A myślisz, że nie można ich kupić? Myślisz, że nie można ich przekonać kilkoma dolcami?

– Nie w tym mieście – stwierdziłam.

Ten człowiek naprawdę zepchnął mnie do defensywy i nie byłam zadowolona z obranej przez siebie taktyki.

– Kto tak powiedział?

– Panie Bergen, znam większość miejscowych policjantów. Pracowałam dla nich... – Brzmiało to wykrętnie, ale byłam szczerą.

Znowu przerwał, mówiąc:

– Pieprzenie! – Wykonał gest zniecierpliwienia, odwracając głowę ze wstrętem. – Nie mam na to czasu. Może żona z tobą porozmawia.

– Wolalabym raczej porozmawiać z panem – nalegałam. Wydał się tym zaskoczony, jakby nigdy nikt nie wolał z nim rozmawiać.

– Zapomnij o tym. Ricky nie żyje. Wszystko skończone.

– A jeśli nie? Załóżmy, że Bobby mówi prawdę i to nie jego wina.

– A co to ma ze mną wspólnego? Tak naprawdę mam to głęboko gdzieś.

Już miałam odpowiedzieć, lecz zamiast tego milczałam, zdając się na jakiś wewnętrzny instykt. Nie chciałam wplątać się w jakąś nieskończoną, małostkową sprzeczkę, której jedynym efektem byłoby dalsze rozjuszenie tego człowieka. Jego wzburzenie było wielkie, ale przypuszczałam, że

znajduje jakieś ujście.

– Czy może mi pan poświęcić dziesięć minut?

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym przystał na to ze zniecierpliwioną miną.

– Chryste, pośpiesz się z tym. Jem właśnie lunch. Revy i tak nie ma. – Odszedł od drzwi, pozostawiając mi ich zamknięcie i podążenie za nim w głąb domu, wyłożonego jednolitymi dywanami i cuchnącego, jakby go nigdy nie wietrzono. Zasłony zsunięto, by obronić się przed naporem popołudniowego słońca, a światło w mieszkaniu miało bursztynowy odcień. Ujrzałam komplet dwóch kanap obitych zielonym skajem, ośmiostopową dzieloną sofę z dywanikiem na jednym końcu, okupowanym przez wielkiego, czarnego psa.

Kuchnię wyłożono trzydziestoletnim linoleum, szafki kredensu pomalowano na intensywny odcień różu. Wyposażenie przywodziło na myśl ilustrację ze starego numeru „Ladies Home Journal”. Znajdował się tu mały, wbudowany blacik śniadaniowy z gazetami złożonymi na jednej z ławek, wąski drewniany stół, dekorowany nigdy niezmienną kompozycją cukierniczki, papierowych serwetek, solniczki i pieprzniczki w kształcie kaczki; był też słoiczek z musztardą, butelka keczupu i sosu A-1. Zauważyłam, co przygotował na kanapki: stosik plasterków sera żółtego i mielonki z dodatkiem oliwek i złowieszczo wyglądających kawałków zwierzęcego ryja.

Usiadł i ruchem dłoni wskazał mi ławkę po drugiej stronie. Odsunęłam kilka gazet. Rozsmarowywał właśnie miracle whip na miękkim, białym chlebie, mogącym zastąpić gąbkę. Odwracałam dyskretnie wzrok, jakby zajęty był jakąś pornograficzną praktyką. Położył na chlebie cienki plasterzek cebuli, po czym odarł ser z celofanowej otuliny, wykańczając wszystko liśćmi sałaty, koperkowymi piklami, musztardą i mięsem.

Wreszcie raczył na mnie spojrzeć.

– Jesteś głodna?

– Umieram z głodu – odrzekłam.

Jadłam zaledwie pół godziny temu i nie z mojej winy byłam znowu głodna. Na pierwszy rzut oka kanapka była nafaszerowana środkami konserwującymi, które mogły okazać się dokładnie tym, czego domagał się mój organizm. Przeciął po przekątnej swe pierwsze arcydzieło, podsuwając mi połowę, potem przyrządził drugą kanapkę, jeszcze obfitszą niż ta pierwsza, i też ją przedzielił. Obserwowałam go cierpliwie jak wytresowany pies, aż dał sygnał do jedzenia.

Przez trzy minuty siedzieliśmy w milczeniu, pożerając lunch. Otworzył dla nas po piwie. Nie cierpię miracle whip, lecz tym razem smakował mi niczym marcepan. Chleb był tak delikatny, że opuszkami palców pozostawialiśmy przy skórce wgłębienia.

Między kęsami przetałam kąciki ust papierową serwetką.

– Nie znam pana imienia – powiedziałam.

– Phil. A co to za imię Kinsey?

– Nazwisko panięskie mojej matki.

I na tym skończyły się towarzyskie uprzejmości, nim z westchnieniem ulgi odstawiliśmy na bok talerzyki.

Po lunchu usiedliśmy na werandzie, na pomalowanych, metalowych krzesłach, poznaczonych tu i ówdzie rdzą. Weranda opierała się na półce z wylanego betonu, stanowiącej równocześnie dach garażu wciśniętego w zbocze. Drewniane donice z jednorocznymi roślinami tworzyły niską barierę ochronną na całym obwodzie. Zerwał się lekki wietrzyk i schłodził moje ramiona wystawione na działanie promieni słonecznych. Drażliwość Phila została uśmierzona. Może dzięki licznym związkom chemicznym, które spożył z lunchem, choć możliwe, że stało się to za sprawą dwóch piw i perspektywy zapalenia cygara, które przyciął kieszonkową gilotynką. Wyciągnął wielką, drewnianą zapałkę kuchenną z puszki przy krześle i schyliwszy się, potarł nią o beton, aż rozbłysła ogniem. Zbliżył ją do cygara, by się zajęło, po czym potrząsnął nią i wrzucił do płaskiej, cynowej popielniczki.

Przez chwilę siedzieliśmy, gapiąc się na ocean.

Panorama przypominała ścienne malowidło na niebieskim tle. Z odległości dwudziestu sześciu mil wyspy na kanale wyglądały na opuszczone i ponure. Na stałym lądzie małe plaże były ledwo dostrzegalne, fala pieniała się jak biały, koronkowy mankiecik. Palmy sprawiały wrażenie nie większych niż młode asparagusy. Rozpoznałam kilka punktów orientacyjnych: gmach sądu, szkołę średnią, wielki kościół katolicki, teatr i jedyny biurowiec w mieście wysokości trzech pięter. Z tego miejsca widokowego nie dostrzegało się śladu wiktoriańskich wpływów ani żadnych późniejszych stylów architektonicznych, które obecnie mieszały się z hiszpańskimi.

Dom ten, jak mnie poinformował, wzniesiono latem 1950 roku. Wraz z żoną kupił go, gdy wybuchła wojna w Korei. Został powołany i wyjechał po dwóch dniach od przeprowadzki, zostawiając Reve ze stertami kartonowych pudełek do rozpakowania, by powrócić czternaście miesięcy później z kalectwem nabytym podczas służby. Nie precyzował, na czym ono polega, toteż nie pytałam, ale najwidoczniej po wyjściu ze szpitala pracował jedynie dorywczo. Mieli pięcioro dzieci, z których Rick był najmłodszy. Pozostali rozjechali się po całym południowym zachodzie.

– Jaki on był? – zapytałam. Nie byłam pewna, czy odpowie. Cisza przeciągała się i zaczęłam się zastanawiać, czy zadałam właściwe pytanie. Za wszelką cenę nie chciałam psuć komitywy, jaka się między nami zawiązała.

Ostatecznie potrząsnął głową.

– Nie wiem, jak na to odpowiedzieć – powiedział. – Był jednym z tych dzieciaków, o których myślisz, że nie przysporzą ci najmniejszego kłopotu. Zawsze rozpromieniony, nie trzeba go było dwa razy prosić, żeby coś zrobił, zbierał dobre stopnie w szkole. Ale kiedy skończył szesnaście lat – to był jego ostatni rok w szkole średniej – jakby zaczął tracić grunt pod nogami. Zdał co prawda egzaminy, ale nie bardzo wiedział, co ma dalej z sobą począć. Dryfował. Nadawał się do college i Bóg jeden wie, że wytrzasnąłbym skądś forszę, ale to go nie interesowało. Nic go nie interesowało. No tak, pracował, ale nie miał z tego fury pieniędzy.

– Brał narkotyki?

– Chyba nie. A przynajmniej nigdy czegoś podobnego nie zauważyłem. Dużo pił. Reva myślała, że to o to chodzi, ale ja nie wiem. Lubił się zabawić. Późno wracał do domu, przesypiał weekendy, włóczył się z dziećmi pokroju Bobby’ego Callahana, stojącymi znacznie wyżej od nas na drabinie społecznej. Potem zaczął umawiać się z kuzynką Bobby’ego, Kitty. Chryste, ta dziewczucha od dnia narodzin sprawiała kłopoty. Nie mogłem już go wtedy znieść. Jeśli nie chcesz być częścią rodziny, fajnie. Idź sobie w świat, zapracuj na siebie. I nie myśl o tym domu jak o miejscu, gdzie można zjeść posiłek i wyprać ciuchy. – Przerwał, spoglądając na mnie bacznie. – Czy nie mam racji? Pytam się.

– Nie wiem – odparłam. – W ogóle jak można odpowiedzieć na takie pytanie? Dzieciaki błędzą, lecz później wszystko wraca do normy. Często nie ma to nic wspólnego z rodzicami. Kto wie, jak do tego podejść?

Milczał, gapiąc się na horyzont, otaczając wargami cygaro, jak łącznik do węża strażackiego. Zassał nieco nikotyny, potem wydmuchnął chmurę dymu.

– Czasami myślę, że był bardzo inteligentny. Może powinien spotkać się z lekarzem, ale skąd mogłem wiedzieć? W czym psychiatra pomoże dzieciakowi, któremu brak ambicji? Tak przynajmniej mówi Reva.

Nie znalazłam na to żadnej odpowiedzi, więc ograniczyłam się do współczujących westchnień.

Po krótkiej ciszy powiedział:

– Podobno Bobby’ego nieźle pocharatało?

Ostrożne pytanie dotyczące zniechęconego rywala zadał niepewnym tonem. Życzył chyba Bobby’emu śmierci ze sto razy i przeklinał fakt, że szczęśliwie przeżył.

– Nie jestem pewna, czy z chęcią nie zamieniłby się z Rickiem miejscami – powiedziałam, stąpając z wycuciem. Nie chciałam wywoływać nowej lawiny złości, ale nie chciałam też, by żywił przekonanie, jakoby Bobby był w jakimś stopniu „szczęśliwszy” niż Rick. Bobby wypruwał z siebie flaki, by wrócić do życia, ale była to wyczerpująca walka.

Pod nami w polu widzenia pojawił się stary rozklekotany ciemnoniebieski ford, ziejąc spalinami. Kierowca szerokim łukiem ominął mój samochód i zatrzymał się, najwidoczniej uaktywniając automatyczne drzwi do garażu. Auto znikło nam z oczu i sekundę później usłyszałam stłumiony dźwięk zatraskiwanych drzwi.

– To moja żona – oznajmił Phil, gdy mechanizm zamykający drzwi warczał pod naszymi stopami.

Reva Bergen wspięła się mozolnie stromym podejściem, objuczona sprawunkami. Zauważyłam zdziwiona, że Phil nie rusza się, żeby jej pomóc. Spozregła nas, gdy dotarła do werandy. Zawahała się, jej oblicze nic nie wyrażało. Nawet z tej odległości dawała się rozpoznać pewna nieostrość jej spojrzenia, wyraźniejsza, gdy w chwilę potem wynurzyła się tylnymi drzwiami, by do nas dołączyć. Była blondynką o pozbawionym wyrazu spojrzeniu, charakterystycznym dla niektórych kobiet po

pięćdziesiątce. Oczy miała małe i niemal pozbawione rzęs. Brwi blade, skórę również. Była krucha i koścista, jej dłonie wyglądały niezgrabnie, niby rękawice ogrodnicze obciągające wąskie nadgarstki. Oboje tak całkowicie różnili się od siebie, że szybko wyrzuciłam z wyobraźni obraz ich małżeńskiego łoża, który mi się mimowolnie nasunął.

Phil przedstawił mnie i wyjaśnił, że badam sprawę wypadku, w którym zginął Rick.

Uśmiechnęła się złośliwie.

– Bobby’ego dręczą wyrzuty sumienia?

Phil wmieszał się, nim zdołałam sformułować odpowiedź.

– Przestań, Reva. Przecież nic złego z tego nie wyniknie. Sama mówiłaś, że policja...

Odwróciła się gwałtownie i wróciła do środka. Phil, zażenowany, wepchnął ręce do kieszeni.

– A niech to. Zachowuje się w ten sposób od wypadku. Życie tak ją nakręciło. Sam nie byłem zbyt elastyczny we współżyciu, lecz ta sprawa zламаła jej serce.

– Muszę już lecieć – oznajmiłam. – Ale chciałabym, żeby pan zrobił jeszcze jedno, jeśli łaska. Usiłuję dowiedzieć się, co się wtedy mogło dziać, jak na razie bez rezultatu. Czy Rick dał wam do zrozumienia, że Bobby ma kłopoty lub coś go gryzie? Albo że sam ma jakiś problem?

Phil potrząsnął głową.

– Całe życie Ricka było dla mnie problemem, ale to nie miało nic wspólnego z wypadkiem. Mimo to zapytam Revę i dowiem się, czy coś wie.

– Dzięki – powiedziałam.

Uścisnęłam mu rękę i wyłowiłam z torebki wizytówkę, by wiedział, jak się ze mną skontaktować.

Odprowadził mnie do drogi, gdzie powtórnie podziękowałam za lunch. Wsiadając do auta, spojrzałam w górę. Reva stała na werandzie, gapiąc się na nas.

Ruszyłam z powrotem w stronę miasta. Wpadłam do biura, by sprawdzić automatyczną sekretarkę – żadnych wiadomości i pocztę – same śmieci. Zaparzyłam filiżankę świeżej kawy i wysunęłam przenośną maszynę do pisania, aby zapisać aktualne szczegóły, dotyczące prowadzonego śledztwa. Była to żmudna praca, zważywszy na mizerne efekty moich poczynań. Mimo to Bobby miał prawo wiedzieć, jak spędzam czas opłacany trzydziestoma dolarami za godzinę. Miał prawo wiedzieć, na co idą jego pieniądze.

O trzeciej zamknęłam biuro i przespacerowałam się do biblioteki publicznej, zmuszona po drodze minąć dwie przecznice, skręcić i przejść kolejne dwie. Zeszłam na dół do czytelni czasopism i poprosiłam o gazety z zeszłego września, teraz umieszczone na mikrofilmie. Znalazłam wolną maszynę i usiadłam, nawlekając pierwszą rolkę. Druk był biały na czarnym tle, wszystkie fotografie



wyglądały jak negatywy. Nie miałam pojęcia, na co mogę się natknąć, więc z musu wertowałam strona po stronie. Bieżące wydarzenia, wiadomości, polityczne komentarze, pożary, zbrodnie, fronty burzowe, ludzie rodzący się, umierający i wstępujący w związki małżeńskie. Czytałam kolumny poświęcone osobom zaginionym i odnalezionym, sprawy osobiste, towarzyskie, sportowe. Mechanizm przewijający film był trochę uszkodzony, więc artykuły lądowały na piętnastocalowym ekranie z lekko rozregulowaną ostrością, wywołując chorobę lokomocyjną o słabym nasileniu. Wokół mnie ludzie zonglowali czasopismami lub siedzieli w niskich fotelach, czytając gazety przytwierdzone do pionowych, drewnianych lanc. Jedynym dźwiękiem w pomieszczeniu było buczenie mojego urządzenia, okazyjne kasznięcie, szelest przewracanych stronic.

Zdołałam przejrzeć gazety z pierwszych sześciu dni września, nim moje zdecydowanie osłabło. Powinnam robić to w mniejszych dawkach. Szyja mi ścierpła i zaczęła boleć głowa. Przelotne spojrzenie na zegarek uświadomiło mi, że zbliża się piąta, a ja jestem kompletnie znudzona. Zanotowałam datę, na której się zatrzymałam, po czym wybiegłam na późnopołudniowe słońce. Wróciłam pod biuro i nie wchodząc do środka, wsiadłam do samochodu.

W drodze do domu wpadłam do supermarketu po mleko, chleb i papier toaletowy, pośpiesznie objeżdżając wózkiem wszystkie stoiska. Tyle pięknej, lirycznej muzyki płynęło z głośników, że poczułam się jak heroina z komedii romantycznej. Gdy już znalazłam wszystko, czego potrzebowałam, podeszłam do ekspresowej kasy, gdzie można skasować najwyżej dwanaście towarów naraz. Stało nas pięcioro w kolejce, wszyscy liczyliśmy ukradkiem zawartość koszyków sąsiadów. Mężczyzna przede mną miał zbyt małą głowę w porównaniu z ogromem twarzy, jak niedopompowany balon. Towarzyszyła mu mała dziewczynka w wieku jakichś czterech lat, w nowiutkiej sukience, za dużej o kilka rozmiarów. Sukienka wyglądała jakoś ubogo, ale nie wiem dlaczego. W tym stroju dziewczynka wydawała się karlicą: talia na wysokości bioder, dolny rąbek sukienki sięgający kostek. Trzymała dłoń mężczyzny z pełnym zaufaniem, uśmiechając się do mnie nieśmiało z taką dumą, że też musiałam się uśmiechnąć.

Po powrocie do domu czułam dojmujące zmęczenie i bolała mnie lewa ręka. Są dni, gdy niewiele myślę o tej ranie, są też inne, kiedy męczy mnie nieustający, tępy ból. Postanowiłam zrezygnować dziś z biegania. Do diabła z tym. Zażyłam tylenol z kodeiną, zzułam obuwie i wtuliłam się w objęcia kołdry. Wciąż leżałam, gdy zadzwonił telefon. Obudziłam się raptownie, automatycznie sięgając po słuchawkę. W moim pokoju było ciemno. Niespodziewana, przenikliwa fala dźwięku uwolniła we mnie sporo adrenaliny, moje serce waliło. Z niepokojem spojrzałam na zegarek. Jedenasta trzydzieści.

Wymamrotałam „Halo”, dłonią przecierając twarz i odgarniając włosy.

– Kinsey, tu Derek Wenner. Czy już słyszałaś?

– Derek, jestem pogrążona we śnie.

– Bobby nie żyje.

– Co?

– Zdaje się, że pił co nieco, ale jak na razie nie mamy pewności nawet co do tego. Jego samochód wypadł z drogi i roztrzaskał się o drzewo przy West Glen. Sądziłem, że zechcesz to wiedzieć.

– Co? – powtórzyłam, ale nie potrafiłam zrozumieć, o co mu chodzi.

– Bobby zginął w wypadku samochodowym.

– Ale kiedy? – spytałam, chociaż co to za różnica. Zadawałam pytania po prostu dlatego, że w żaden inny sposób nie umiałam zareagować na tę informację.

– Trochę po dziesiątej. Nie żył już, jak przywieźli go do Świętego Terry’ego. Muszę zejść na dół i go zidentyfikować, lecz nie ma wątpliwości.

– Czy mogę w czymś pomóc?

Zdawał się wahać.

– No cóż, tak naprawdę, mogłabyś. Staralem się złapać Sufi, ale chyba gdzieś wyszła. Służba doktora Metcalfa już go poszukuje, prawdopodobnie będzie tu niedługo. Może byś tymczasem posiedziała z Glen? Ja pojedę prosto do szpitala i zbadam, jak przedstawia się sytuacja.

– Już jadę – powiedziałam i odłożyłam słuchawkę.

Umyłam twarz i wyszorowałam zęby. Przez cały czas mówiłam sama do siebie, ale niczego nie czułam. Wszystkie moje wewnętrzne procesy były tymczasowo zawieszony, podczas gdy mózg zmagał się z faktami. Fatalna informacja nie znajdowała dostępu do mojego umysłu. To niemożliwe. Nie. Bobby nie żyje? To nieprawda.

Pochwyciłam kurtkę, torebkę i kluczyki. Wszystko pozamykałam, zapaliłam silnik i ruszyłam. Czułam się jak dobrze zaprogramowany robot. Kiedy skręciłam w West Glen Road, spostrzegłam kilka samochodów i poczułam chłodny dreszcz u podstawy kręgosłupa. Stało się to na dużym zakręcie, ślepym zaułku tuż przy „slumsach”. Ambulans zdążył już odjechać, lecz wozy patrolowe wciąż były, ich radia charczały w nocnej ciszy. Gapie stali po zaciemnionej stronie drogi, podczas gdy uderzone drzewo kapało się w blasku reflektorów, poszarpany pień sam wyglądał na śmiertelnie ranego. Ciężarówka holownicza odciągała właśnie bmw Bobby’ego. Cała sceneria przypominała w dziwny sposób plan zdjęciowy kręconego filmu. Zwolniłam i skręciłam, by popatrzeć na to miejsce z dziwnym uczuciem bezstronności. Nie chciałam powiększać zamieszania i martwiłam się o Glen, więc pojechałam dalej. Jakiś głos szeptał: „Bobby nie żyje”. Natomiast drugi głos szeptał: „O, nie, niech tak nie będzie. Nie chcę, żeby to była prawda, okay?”

Zjechałam na wąski podjazd, który doprowadził mnie na szeroki dziedziniec. Cała rezydencja płonęła światłami, jakby odbywało się jakieś ogromne przyjęcie, lecz nie wydobywał się żaden dźwięk i nie pokazywała żadna postać, żaden samochód. Zaparkowałam i podeszłam pod drzwi. Jedna ze służących, niby elektroniczne urządzenie z sensorami, otworzyła mi drzwi, gdy tylko się zbliżyłam. Odsunęła się na bok, wpuszczając mnie bez słowa.

– Gdzie jest pani Callahan?

Zamknęła drzwi i ruszyła korytarzem. Poszłam za nią. Zapukała do drzwi buduaru Glen, po czym przekręciła gałkę i usunęła się na bok, pozwalając mi wejść.

Glen siedziała w bladuróżowej sukience, wtulona w jeden z głębokich, luksusowych foteli, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Uniosła twarz, nabrzmiała i rozmiękła. Jakby pękła cała instalacja odpowiedzialna za przepływ uczuć: oczy wypełniły się łzami, policzki wilgocią, a nos czerwienią. Nawet włosy miała mokre. Przez chwilę, wciąż z niedowierzaniem, stałam i patrzyłam na nią, a ona spoglądała na mnie. Na koniec ponownie pochyliła głowę, wyciągając rękę. Podeszłam i uklękłam przy jej fotelu. Ujęłam jej dłoń – małą i chłodną – i przycisnęłam do mojego policzka.

– Och, Glen, przykro mi, tak mi przykro – szeptałam.

Kiwała głową w podzięcie, dobywając z siebie jakiś głuchy odgłos, niewyraźnie wyartykułowany krzyk. Był to odgłos o wiele prymitywniejszy. Zaczęła mówić, zdołała jednak wydusić tylko jakąś przeciągłą, jękliwą frazę, w języku nie całkiem angielskim, pozbawioną sensu. Jaka to różnica, co mówiła? Co się stało, to się nie odstanie. Zaczęła płakać jak dziecko, głęboko, spazmatycznie, nieprzerwanie. Przywarłam do jej ręki, oferując jej cumę na wzburzonym morzu rozpacz.

Ostatecznie poczułam, że wstrząsy mijają, jakby chmura burzowa przesunęła się dalej. Spazmy złagodniały. Puściła mnie i odchyliła się do tyłu, oddychając głęboko. Wyciągnęła chusteczkę i przyłożyła ją do oczu, potem wytarła nos. Milczała, najwyraźniej starając się dojść do siebie.

Westchnęła.

– O Boże, jak ja to zniosę? – powiedziała i łzy natychmiast napłynęły do jej oczu, by spłynąć po twarzy. Po krótkim czasie odzyskała równowagę i ponownie zajęła się ich wycieraniem, cały czas potrząsając głową. – Cholera. Nie sądzę, abym to zniosła, Kinsey. Wiesz, jest mi zbyt ciężko, a czuję się taka bezsilna.

– Chcesz, żebym do kogoś zadzwoniła?

– Nie, nie teraz. Jest bardzo późno, a poza tym po co? Rano każę Derekowi zadzwonić do Sufi. Ona przyjdzie.

– A co z Kleinertem? Czy mam go powiadomić?

Zaprzeczyła.

– Bobby go nie znosił. Niech już tak zostanie. I tak wkrótce się dowie. Czy Derek wrócił? – Niepokój w jej głosie był wyczuwalny, na twarzy malowało się napięcie.

– Chyba nie. Napijesz się?

– Ja nie, ale ty się nie krępuj. Trunki są tam.

– Może później. – Chciałam czegoś, ale nie byłam pewna czego. Na pewno nie drinka. Bałam się,

że pod wpływem alkoholu stracę kontrolę nad sobą. Tego tylko brakowało, żeby musiała uspokajać mnie i pocieszać.

Usiadłam na krześle naprzeciwko niej i pewien obraz stanął mi przed oczami. Przypomniałam sobie, jak Bobby pochylał się nad nią dwie noce temu, by powiedzieć dobranoc. Jak odwrócił się automatycznie, by zaoferować jej dobrą stronę twarzy. Miał wówczas pogрузić się w jednym ze swych ostatnich snów na tej ziemi, ale żadne z nich nie miało o tym wtedy pojęcia. Ja też. Zerknęłam na nią i okazało się, że patrzy mnie, jakby wiedziała, co się dzieje w mojej głowie. Odwróciłam wzrok, jednak nie dość szybko. Coś z jej twarzy skoczyło na mnie, jak światło poprzez uchylone drzwi. Smutek wystrzelił poprzez szczelinę – nim zdołałam wznieść gardę – i zaniósłam się płaczem.

Wszystko dzieje się z jakiegoś powodu, ale to nie oznacza, że musi mieć sens. Następne kilka dni były koszmarem, zwłaszcza dlatego, że przyszło mi odgrywać ledwie drugorzędną rolę w widowisku śmierci Bobby'ego. Jako że pojawiłam się w pierwszych chwilach jej rozpacz, Glen Callahan przyłgnęła do mnie, jakbym mogła zapewnić jej spokój ducha.

Doktor Kleinert zgodził się wypuścić Kitty na czas uroczystości pogrzebowych, spróbowano też skontaktować się z naturalnym ojcem Bobby'ego, przebywającym za oceanem, lecz nie dał znaku życia i nikt też się tym specjalnie nie przejmował. Tymczasem setki ludzi odwiedzały kaplicę: przyjaciele Bobby'ego, kumple ze szkoły średniej, znajomi rodziny i znajomi od interesów, wszyscy miejscy dygnitarze, członkowie przeróżnych zarządów, w których działała też Glen. Wszystkie szyszki Santa Teresa. Po pierwszej nocy Glen wzięła się w garść – stała się spokojna, łaskawa, doglądała każdego detalu związanego z pochówkiem Bobby'ego. Wszystko miało odbyć się jak należy, w najlepszym guście. A ja zawsze musiałam być pod ręką.

Sądziłam, że Derek i Kitty oburzą się na moją ciągłą obecność, ale oboje wydawali się odprężeni. Prostolinijność Glen musiała stanowić dla nich przerażającą perspektywę.

Glen zarządziła, by trumna Bobby'ego pozostała zamknięta, ale zobaczyłam go przelotnie w kaplicy po tym, jak „przygotowano” jego ciało. Do pewnego stopnia potrzebowałam tego widoku, by przekonać się, że naprawdę nie żyje. Boże, straszna jest nieruchomość ciała, gdy opuści je życie! Glen stała wtedy przy mnie, wpatrzona w oblicze Bobby'ego, wyraz jej twarzy był równie pusty i nieożywiony jak jego. Wraz ze śmiercią syna coś z niej uleciało. Nie drgnęła, lecz jej uścisk na moje ramię zwielokrotnił się, kiedy zatrzaskiwano wieko trumny.

– Żegnaj, kochanie – wyszeptała. – Kocham cię.

Odwróciłam się szybko.

Derek zbliżył się od tyłu i zauważyłam, że chce jej dotknąć. Nie odwróciła głowy, lecz emanowała taką nieokiełznaną wściekłością, że zatrzymał się w bezpiecznej odległości, onieśmielony siłą tej nienawiści.

Kitty stała z tyłu przy ścianie, niczym posąg, z twarzą czerwoną od łez wypłakanych w samotności. Podejrzewałam, że ona i jej ojciec nie zabawią już długo w życiu Glen. Śmierć Bobby'ego przyspieszyła rozkład rodziny. Glen chyba z niecierpliwością oczekiwała chwili, kiedy zostanie sama; nie tolerowała wymogów zwykłego związku. Oboje umieli tylko brać. Nic jej nie zostało, co mogłaby dać. Słabo znałam tę kobietę, ale wyraźnie dostrzegłam, że zmieniła nagle szablony swego życia. Derek obserwował ją niespokojnie, wyczuwając, być może, że nie wchodzi w skład tego nowego schematu.

Bobby'ego pochowano w sobotę. Obrzędy w kościele na szczęście trwały krótko. Glen wybrała muzykę i kilka cytatów z różnych pozabiblijnych źródeł. Idąc za jej przykładem, przebrnęłam przez wszystkie przemowy, nawet nie rozumiejąc ich treści. Nie miałam zamiaru rozczulać się nad śmiercią Bobby'ego. Nie miałam zamiaru na tym publicznym zgromadzeniu tracić kontroli nad sobą. Mimo to

były momenty, że czułam gorąco na twarzy i mgła zasnuwała mi oczy. Nie tylko o tę stratę chodziło, ale w ogóle o śmierć, każdą stratę – moich rodziców, ciotki.

Orszak pogrzebowy był długi na dziesięć przecznic, wolno krążył po mieście. Na każdym skrzyżowaniu blokowali ruch pojazdów, myśli znajdowały odzwierciedlenie na twarzach kierowców: „O, pogrzeb. Ciekawe czy”, „Wspaniały mają dzień”, „Boże, patrzcie na te samochody”, „No dalej, dalej. Z drogi!”

Wreszcie dotarliśmy na cmentarz, zielony i starannie utrzymany, niby przydomowy ogródek. Nagrobki sterczały naokoło jak na podwórku u kamieniarza, wypełnionym próbkami jego możliwości. Sporadycznie rosły tu wiecznie zielone rośliny, kępy eukaliptusów i platanów. Cmentarne parcele porozdzielano niskimi murkami z krzewów, pewnie nosiły na mapie takie nazwy jak Odpoczynek czy Niebiańskie Łąki.

Przemaszerowaliśmy wszyscy po świeżo przystrzyżonej trawie. Czułam się trochę jak na wycieczce w szkole podstawowej: każdy zachowywał się nad wyraz grzecznie, nikt nie wiedział do końca, co należy za chwilę zrobić. Rzadko słyszało się szepty, na ogół panowała cisza. Personel domu pogrzebowego ubrany w ciemne garnitury odprowadzał nas na miejsce, jak mistrzowie ceremonii na weselu.

Dzień był upalny, popołudniowe słońce piekło intensywnie. Wietrzyk szeleścił w wierzchołkach drzew i filuternie unosił brezentowe kłapy namiotu. Siedzieliśmy w skupieniu, podczas gdy ksiądz odprawiał ceremonię pogrzebową. Poczułam się lepiej i uzmysłowiłam sobie, że to przez nieobecność organów na uroczystości pogrzebowej nie panuje tak podniosły nastrój. W podobnych chwilach nawet najbanalniejszy hymn kościelny potrafi rozerwać serce na strzępy. Preferowałam muzykę wiatru.

Masywna trumna Bobby’ego błyszczała orzechem i mosiądzem, niby pękaty kufer na koce, za wielki, jak na przeznaczoną mu przestrzeń. Najwidoczniej trumna pasowała do specjalnie wymierzonego grobowca. Nad grobem zamontowano jakiś skomplikowany mechanizm, który miał posłużyć do opuszczenia trumny, i sądziłam, że zrobi to za chwilę.

Pogrzebowa moda ewoluowała, odkąd pochowano moich rodziców, i zastanawiałam się, co dyktuje te zmiany. Bez wątplenia technika. Może śmierć jest dzisiaj bardziej uporządkowana i łatwiejsza do kontrolowania? Maszyny kopią groby, wygrzebują zgrabny dołek, otoczony, jak ten tutaj, nisko zawieszonym urządzeniem, na którym spoczywa trumna. Żadnego absurdu rzucającego się kochających bliskich do grobu. Gdyby ten nowy aparat znajdował się na swym miejscu, trzeba by położyć się na brzuchu i przykładem pantery wczołgać do dołu, przez co teatralny gest straciłby wiele ze swego uroku.

Wśród jednej z grup żałobników dostrzegłam Phila i Revę Bergen. On zdawał się zasepiony, ona spokojna. Jej wzrok błędził od twarzy pastora do mojej, w którą wpatrywała się wnikliwie. Za nimi dojrzałam chyba Kelly’ego Bordena, ale nie jestem pewna. Poruszyłam się na krześle w nadziei, że spojrzy mi w oczy, lecz jego twarz znikła. Tłum zaczął się rozchodzić i zrozumiałam, że jest już po wszystkim. Ubrany na czarno pastor spojrzał na Glen poważnie, ale ta zignorowała go i udała się w stronę limuzyny. Derek, popisując się dobrymi manierami, pozostał na tyle długo, by wymienić kilka

uwag.

Kiedy dotarliśmy do limuzyny, Kitty czekała już na tylnym siedzeniu. Postawiłabym głowę w zastaw, że coś zażyła. Jej policzki płonęły, a oczy świeciły jak w gorączce, nerwowo szarpała swą czarną, bawełnianą sukienkę. Strój, jaki wybrała na tę okazję, miał w sobie coś cygańskiego, górę czarnej sukienki ułożono w zakładki w kolorze turkusowym i czerwonym. Glen zmrużyła leniwie oczy, kiedy po raz pierwszy jej wzrok spoczął na Kitty, i prawie niezauważalny uśmiech wykrzywił jej wargi, nim się odwróciła. Chyba postanowiła nie robić z tego wielkiego zamieszania. Postawa dziewczyny była trochę wyzywająca, ale wobec braku oporu ze strony Glen sztuka się skończyła, zanim jeszcze podniesiono kurtynę.

Stałam przy limuzynie, gdy zauważyłam podchodzącego Dereka. Usadowił się na tylnym siedzeniu i rozłożył jeden ze składanych stołków obozowych, sięgając równocześnie do klamki drzwi.

– Zostaw otwarte – mruknęła Glen.

Kierowca limuzyny wciąż się nie pojawiał. Nastąpiła przerwa, niektórzy zajmowali miejsca w swoich samochodach, inni dreptali po trawie bez żadnego widocznego celu.

Derek starał się spojrzeć Glen prosto w oczy.

– No cóż, chyba poszło bardzo dobrze.

Glen odwróciła się złośliwie i wyjrzała przez okno. Gdy umiera twoje jedyne dziecko, kogo to naprawdę obchodzi?

Kitty wyciągnęła papierosa i zapaliła. Jej ręce wyglądały jak ptasie łapy, skóra natomiast, jakby pokrywała ją łuski. Elastyczny ściągacz bluzki uwydatniał klatkę piersiową tak szczupłą, że mostek i żebra rysowały się wyraźnie, niczym na podkoszulku przedstawiającym kościotrupa.

Derek skrzywił się, gdy smród dymu wypełnił tył samochodu.

– Jezu, Kitty, zgaś go, na miłość boską!

– Och, zostaw ją w spokoju – rzekła Glen beznamiętnie.

Kitty zdumiała się tym nieoczekiwanym wsparciem, ale tak czy inaczej zdusiła papierosa.

Pojawił się szofer, który zamknął drzwi po stronie Dereka, potem okrążył od tyłu limuzynę i usiadł za kierownicę. Kiedy ruszył, wróciłam do swego samochodu.

Gdy dotarliśmy do domu, nastrój uległ znaczącej poprawie. Ludzie zdążyli otrząsnąć się ze śmierci, udobruchani świetnym winem i sutymi przystawkami. Nie wiem, dlaczego śmierć wywołuje w ludziach ochotę do pogawędek. Cała reszta uległa modernizacji, lecz stypa pozostaje stypą. W holu i salonie musiały tłoczyć się jakieś dwie setki ludzi, ale wszystko odbywało się w należytym porządku. Taki „wypełniacz”, po prostu coś, by złagodzić trudne przejście z pochówku do

zżerającego kości snu, który po nim następuje.

Zauważyłam, że większość ludzi, którzy byli na urodzinach Dereka, zebrała się tego poniedziałkowego wieczora: doktor Fraker i jego żona, Nola; doktor Kleinert i dość pospolita kobieta, przypuszczam, że pani Kleinert; ten drugi lekarz, Metcalf, również wtedy obecny, rozmawiał z Marcy, która krótko pracowała z Bobbym na oddziale patologii. Złapałam kieliszek wina i żmudnie przeciskałam się w kierunku doktora Frakera. Wraz z doktorem Kleinertem pochylali ku sobie głowy, przerwali, gdy się zbliżyłam.

– Witam – powiedziałam, nagle onieśmielona. Może to nie był najlepszy pomysł? Napiałam się wina i dostrzegłam spojrzenie, jakie wymienili. Chyba doszli do wniosku, że można mnie wtajemniczyć w rozmowę, bo doktor Fraker kontynuował pogawędkę.

– I tak przed poniedziałkiem nie będę robił badań mikroskopowych, ale na pierwszy rzut oka wygląda na to, że bezpośrednią przyczyną śmierci było pęknięcie zastawki tętnicy.

– Przy uderzeniu o kierownicę?

Fraker skinął głową, popijając wino. Raport z tego, co odkrył, włókł się nieskończenie długo.

– Mostek i żebra uległy złamaniu, a aorta wstępująca została kompletnie rozerwana tuż nad górną granicą zastawek półksiężycowatych. Dodatkowo nastąpił lewostronny krwiak opłucnej o objętości ośmiuset mililitrów i masywny krwotok rozwarstwiający ścianę aorty.

Wyraz twarzy Kleinerta wskazywał, że nadaża. Cała wypowiedź przyprawiała mnie o mdłości i nawet nie wiedziałam, co oznacza.

– A co ze stężeniem alkoholu we krwi? – zapytał Kleinert.

Fraker wzruszył ramionami.

– Wynik negatywny. Nie był pijany. Resztę wyników powinniśmy otrzymać po południu, ale nie sądzę, byśmy na coś trafili. Oczywiście, mogę się mylić.

– No tak, jeśli masz rację co do zatoru płynu mózgowo-rdzeniowego, atak był nieunikniony. Bernie ostrzegał go, by obserwował symptomy – mówił Kleinert. Jego pociągłą twarz trawił permanentny smutek.

Gdybym miała problemy natury emocjonalnej i potrzebowała psychiatry, niewiele by mi chyba pomogło patrzeć każdego tygodnia na to oblicze. Potrzebowałabym kogoś energicznego, z nerwem, kogoś z odrobiną nadziei.

– Bobby miał atak? – zapytałam.

Stało się jasne, że omawiają rezultaty autopsji. Fraker musiał zdać sobie sprawę, że nie mam pojęcia, o czym toczy się rozmowa, gdyż zaofiarował się przetłumaczyć mi wszystko.



– Jesteśmy zdania, że Bobby cierpiał na powikłania związane z poprzednim urazem głowy. Czasami w normalnym przepływie płynu mózgowo-rdzeniowego następuje zator. Narasta ciśnienie wewnątrzczaszkowe i część mózgu ulega atrofii, co w efekcie prowadzi do pourazowej epilepsji.

– I dlatego właśnie zjechał z drogi?

– Moim zdaniem, tak – rzekł Fraker. – Nie mogę stwierdzić tego kategorycznie, ale prawdopodobnie dokuczały mu bóle głowy, niepokój, mógł też odczuwać depresję.

Kleinert wtrącił się ponownie:

– Widziałem się z nim o siódmej, siódmej piętnaście, coś koło tego. Był strasznie przygnębiony.

– Może podejrzewał, co się dzieje – powiedział Fraker.

– Szkoda, że krył się z tym, jeśli to prawda.

Mruczeli do siebie, podczas gdy ja starałam się przetrwać nasuwające się wnioski.

– Czy istnieje możliwość, że podobny zator może zostać spowodowany lekami? – zapytałam.

– Jasne, że to możliwe. Raporty toksykologiczne nie są wszechstronne, a analizy zależą od tego, czego się szuka. Jest kilkaset leków, które mogą zaszkodzić osobie podatnej na atak. Prawda jest taka, że nie można ich wszystkich wyśledzić – odpowiedział Fraker.

Kleinert poruszył się niecierpliwie.

– Tak naprawdę po tym wszystkim, przez co przeszedł, to cud, że przeżył tak długo. Nie chcieliśmy przysparzać Glen zmartwień, ale chyba każdy z nas obawiał się, że tak się to może skończyć.

Wyglądało na to, że wszystko zostało już powiedziane.

Ostatecznie Kleinert zwrócił się do Frakera:

– Jadłeś już coś? Ann i ja wychodzimy na kolację, możesz przyłączyć się do nas z Nolą?

Fraker nie przyjął zaproszenia, ale chciał napęlić kieliszek i spoglądał na tłum w poszukiwaniu żony.

Obaj lekarze pożegnali się grzecznie.

Stałam chwiejnie, przeglądając w myślach fakty. Teoretycznie Bobby Callahan zmarł z przyczyn naturalnych, ale, mówiąc szczerze, jego zgon nastąpił w konsekwencji urazów doznanych dziewięć miesięcy temu w wypadku, o którym przynajmniej on sądził, że był próbą zabójstwa. O ile sobie przypominałam, prawo Kalifornii powiada, że „zabicie jest morderstwem, jeśli ofiara umrze w ciągu trzech lat i jednego dnia od chwili, kiedy zadano cios albo wywołano okoliczność prowadzącą do śmierci”. A więc zamordowano go i co za różnica, czy stało się to tej nocy, czy tydzień temu?

Oczywiście na razie nie dysponowałam żadnymi dowodami. Wciąż rozporządzałam pokaźną kwotą pieniędzy, jaką mi Bobby wypłacił, i przejrzystym zestawem instrukcji od niego, zatem ciągle mogłam pracować, jeśli tylko chciałam.

Otrząsnęłam się z marazmu. Nadszedł czas, by odłożyć smutek na bok i wziąć się do roboty. Odstawiłam kieliszek i wymieniłam kilka słów z Glen, dając jej znać, gdzie będę, po czym poszłam na górę i przeszukałam skrupulatnie pokój Bobby'ego. Brakowało mi tego czerwonego notesu.

Miałam nadzieję, że notes z adresami Bobby schował gdzieś na terenie domu. Mówił, że pamięta, iż przekazywał go komuś, ale to niekoniecznie musi być prawda. Nie byłam w stanie przetrząsnąć całego domu, ale z pewnością mogłam pomyszkować w niektórych kątach. W buduarze Glen, może w pokoju Kitty. Na górze panował spokój i z przyjemnością odetchnęłam samotnością. Szukałam przez półtorej godziny, ale na nic nie natrafiłam. Nie zrażałam się. W pewien przedziwny sposób poczułam się zahartowana. Może pamięć Bobby'ego nie płatała mu figli?

O szóstej wyszłam na korytarz. Oparłam łokcie o balustradę na półpiętrze i wsłuchałam się w odgłosy dobiegające z dołu. Najwidoczniej liczba gości znacznie zmalała. Doszły mnie strzępy śmiechów i rozmów, czasem głośniejszych, czasem cichszych, ale wyglądało na to, że pozostali już tylko nieliczni. Wróciłam i zapukałam do pokoju Kitty.

– Kto tam? – doszła mnie jej zduszona odpowiedź.

– To ja, Kinsey – odparłam do pustych drzwi. Po chwili usłyszałam trzask otwieranego zamka, ale wciąż nie zostałam wpuszczona do środka.

Zamiast tego rozległo się:

– Wejść!

Wielkie nieba, to zaczynało mnie nużyć. Weszłam.

Pokój był posprzątanym, a łóżko zasłane, jestem pewna, że bez jej pomocy. Wyglądała, jakby niedawno płakała. Nos miała zaczerwieniony, makijaż rozmazany. Oczywiście, brała jakieś proszki. Wyciągnęła lusterko, żyłkę i podzieliła kokę na działki. Na nocnym stoliku stał niedopity kieliszek wina.

– Czuję się parszywie – powiedziała.

Zamieniła swe cygańskie wdzianko na jedwabne kimono w bujnych odcieniach zieleni, z motylami zdobiącymi rękawy i plecy. Ręce miała tak szczupłe, że przywodziła na myśl modlącą się modliszkę, jej zielone oczy błyszczały.

– Kiedy wracasz do Świętego Terry'ego? – spytałam.

W milczeniu wytarła nos, nie chcąc popsuć stanu, w jakim się znajdowała.

– Kto wie? – odpowiedziała posepnie. – Chyba dziś wieczór. Przynajmniej będę mogła spakować kilka swoich ubrań i wziąć je z sobą. Cholera, trafiłam na oddział psycholi bez niczego!

– Dlaczego to robisz, Kitty? Kleinertowi to na rękę.

– Wspaniale. Nie wiedziałam, że przyjdiesz mnie tu pouczać.

– Przyszłam, by przeszukać pokój Bobby’ego. Rozglądam się za niewielkim, czerwonym notesem z adresami, o który pytał cię w zeszły wtorek. Nie wiesz, gdzie się znajduje?

– Nie. – Pochyliła się. Zamiast słomki wykorzystwała zwinięty w trąbkę banknot dolarowy, a jej nozdrza uformowały się w niewielki odkurzacz.

Patrzyłam, jak proszek frunie do nosa, niczym w magicznej sztuczce.

– A nie wiesz, komu mógł go dać?

– Nie. – Usiadła na łóżku i zacisnęła nos. Mokrym palcem wyczyściła powierzchnię lusterka, potem pocierała dziąsła, jakby tym sposobem chciała zażegnać ból zębów. Sięgnęła po kieliszek z winem i oparła się o poduszki, zapalając papierosa.

– Boże, cudownie – powiedziałam. – Dzisiaj to już przeginasz. Działka koki, łyk wina, papierosy. Nim dotrzesz na „trzecie południowe”, skierują cię na oddział ostrych zatruc. – Wiedziałam, że ją drażnię, ale ona działała mi na nerwy, a ja rwałam się do kłótni, co zgodnie z moim przypuszczeniem miało skutecznie zdusić smutek.

– Pieprz się – rzekła znudzona.

– Mogę usiąść? – zapytałam.

Gestem wyraziła zgodę i usadowiłam się na skraju łóżka, rozglądając się z ciekawością.

– Co się stało z twoim zapasem? – zainteresowałam się.

– Jakim zapasem?

– Tym, który tam trzymałaś. – Wskazałam szufladkę w stoliku.

Wybałuszyła oczy.

– Nigdy nie trzymałam tam żadnych zapasów.

Spodobał mi się ten ton słusznego oburzenia.

– To śmieszne – mówiłam. – Widziałam, jak doktor Kleinert wyciąga stamtąd całego ziploca wypełnionego tabletkami.

– Kiedy? – zapytała z niedowierzaniem.

– W poniedziałek wieczór, kiedy cię odwieźli. Quaalude, placidyl, tuinals, wszystkiego od groma. – Tak naprawdę nie wierzyłam, by te tabletki były jej własnością, ale z niecierpliwością czekałam, co mi odpowie.

Patrzyła na mnie jeszcze przez chwilę, potem wypuściła kłęb dymu, który następnie z wprawą

wciągnęła do nosa.

– Nie biorę nic z tego – powiedziała.

– A co wzięłaś w poniedziałek wieczór?

– Valium. Na receptę.

– Doktor Kleinert wystawił ci receptę na valium? – zapytałam.

Wstała zniecierpliwiona i zaczęła przemierzać pokój.

– Nie potrzeba mi twojego pieprzenia, Kinsey. Pochowano dziś mojego przyrodniego brata, może ci pamięć nie dopisuje? Mam inne sprawy na głowie.

– Czy byłaś związana z Bobbym?

– Nie, nie byłam „związana” z Bobbym. Co to ma znaczyć? Czy uprawialiśmy razem seks? Czy miałam z nim romans?

– Coś w tym stylu.

– Boże, ale ty masz wyobraźnię. Tak dla twojej wiadomości: nawet nie pomyślałam o nim w ten sposób.

– Ale może on myślał o tobie w ten sposób?

Zatrzymała się.

– Kto tak twierdzi?

– To taka moja teoria. Wiesz, że cię kochał. Dlaczego nie miałby chcieć uprawiać z tobą seksu?

– Och, daj spokój. Czy Bobby powiedział ci coś podobnego?

– Nie, ale obserwowałam jego zachowanie tej nocy, kiedy cię hospitalizowano. Nie byłam przekonana, czy przyglądam się czysto braterskiej miłości. Pytałam wtedy o to Glen, ale powiedziała, że nie sądzi, aby coś między wami zaszło.

– No i nie zaszło.

– A szkoda. Bo mogliście uratować się nawzajem.

Przewróciła oczami, obrzucając mnie spojrzeniem mówiącym: Boże, ale z tych dorosłych palanty! Była niespokojna i rozkojarzona. Sięgnęła do popielniczki stojącej na sekretarzyku i zgasiła papierosa. Uniosła przykrywkę pozytywki, uwalniając kilka taktów z „Lara’s Theme”, potem ją zatrzaskała. Kiedy powtórnie spojrzała na mnie, miała w oczach łzy, i to ją zawstydzało.

Odsunęła się od sekretarzyka.

– Muszę się spakować.

Poszła do garderoby, skąd wyjęła płócienny wór. Wysunęła najwyższą szufladę szafy i wyciągnęła z niej kilka par majtek. Zatrzasnęła szufladę z hukiem i otworzyła następną, wydobyła z niej koszulki, dzinsy i skarpetki.

Wstałam i podeszłam do drzwi, odwróciłam się, trzymając rękę na gałce.

– Wiesz, nic nie trwa wiecznie. Nawet rozpacz.

– No tak, pewnie. Szczególnie moja. A myślisz, że dlaczego biorę prochy? Dla zdrowia?

– Jesteś twarda, no nie?

– Cholera, czemu nie pracujesz w Czerwonym Krzyżu?

– Pewnego dnia odnajdzie cię szczęście. Musisz więc żyć, żeby móc się tym cieszyć.

– Przykro mi. Nie dobijemy targu. Nie jestem zainteresowana.

Wzruszyłam ramionami.

– No to umieraj. Nic się takiego znowu nie stanie. Z pewnością nie będzie to tego typu strata, co śmierć Bobby'ego. Jak dotąd nic światu nie dałaś.

Otworzyłam drzwi.

Usłyszałam, jak z trzaskiem zamyka szufladę.

– Hej, Kinsey!

Obejrzałam się. Uśmiechała się ironicznie.

– Chcesz działkę? Ja funduję.

Opuściłam pokój, zamykając cicho drzwi. Miałam ochotę zatrzasać je z hukiem, ale co by to dało?

Zeszłam do salonu. Byłam głodna i polowałam na kieliszek wina. Pozostało pięć, może sześć osób. Na jednej z sof siedziała Sufi wraz z Glen. Nie rozpoznałam pozostałych gości. Podeszłam do stołu bufetowego, który ustawiono po przeciwnej stronie sali. Meksykańska służąca, Alicia, poprawiała tackę z krewetkami i łączyła zawartości talerzy z przekąskami, by nie sprawiały wrażenia niechlujnych i na pół opróżnionych. Boże, bycie bogatym to nie taka prosta sprawa. Nigdy nie przyszło mi to do głowy. Myślałam, że zaprasza się po prostu ludzi i spuszcza ich ze smyczy, ale teraz rozumiałam, że podejmowanie gości wymaga dyskretnej obserwacji.

Napełniłam talerzyk i wzięłam kieliszek wina. Wybrałam krzesło na tyle blisko pozostałych, żebym nie sprawiała wrażenia nieokrzesanej, ale dość daleko, bym nie musiała z nikim rozmawiać. Takie sytuacje zawsze mnie trochę krępują. Wolałabym raczej pogawędzić z jakąś dziwką w ciemnym zaułku, niż wymieniać uprzejmości z tą gromadką. Bo o czym mieliśmy dyskutować? Oni rozmawiali o obligacjach długoterminowych. Kosztując galaretki z łososia, starałam się zachować na twarzy wyraz zaciekawienia, jakbym miała mnóstwo takich obligacji.

Poczułam lekkie dotknięcie w ramię i spojrzawszy w bok, zauważyłam Sufi Daniels, opadającą na sąsiednie krzesło.

– Glen mówi, że Bobby bardzo cię lubił – powiedziała.

– Mam nadzieję. Ja też go lubiłam.

Sufi wpatrywała się we mnie. Nie przerywałam jedzenia, nie wiedząc, co powiedzieć. Nosiła dziwny kostium: długą, czarną suknię z jakiegoś jedwabnego materiału i narzucony na nią sweter tego samego koloru. Domyślałam się, że to przebranie ma na celu ukryć jej zniekształconą sylwetkę z lekko zgarbionymi plecami, jednak w rezultacie wyglądała jak przed występem w filharmonii. Jej rzadkie, płowe włosy opadały w nieładzie, jak przy pierwszym naszym spotkaniu, makijaż raził brakiem gustu. Nie mogła bardziej różnić się od Glen Callahan. Zachowywała się trochę protekcyjnie, jakby nosiła się z zamiarem wsunięcia mi do ręki kilku dolców za moje usługi. Mogłam odnieść się do niej oschle, ale zawsze istniała szansa, że to ona ma czerwony notes Bobby'ego.

– Jak poznałaś Glen? – zapytałam, maczając usta w winie. Odstawiłam kieliszek i nabiłam na widelec zimną krewetkę w pikantnym sosie.

Sufi spojrzała na Glen, potem znów na mnie.

– Poznaliśmy się w szkole.

– Więc od dawna jesteście przyjaciółkami.

– To prawda.

Kiwnęłam głową, przełykając.

– Musiałaś być przy tym, kiedy urodził się Bobby – rzuciłam, żeby podtrzymać rozmowę.

– Tak.

Cholera, to zabawne, pomyślałam.

– Byliście sobie bliscy?

– Lubiłam go, ale nie mogę powiedzieć, żebyśmy byli sobie bliscy. Dlaczego pytasz?

Sięgnęłam po wino i napiłam się.

– Dał komuś czerwony notes. Chcę dowiedzieć się komu.

– Co to za notes?

Wzruszyłam ramionami.

– Adresy, numery telefonów. Z tego, co powiedział, jest mały, oprawiony w skórę.

Nagle zaczęła mrużyć oczy.

– Przecież już nie prowadzisz śledztwa. – To nie było pytanie, tylko stwierdzenie ze szczyptą niedowierzania.

– Czemu nie?

– Jak to? Chłopak nie żyje. Jakie to ma teraz znaczenie?

– Jeżeli go zamordowano, ma to znaczenie dla mnie – powiedziałam.

– Jeżeli go zamordowano, to sprawa policji.

Uśmiechnęłam się.

– Tutejsi policjanci uwielbiają moją pomoc.

Sufi zerknęła na Glen, zniżając głos.

– Jestem pewna, że ona nie życzy sobie, by ciągnąć tę sprawę.

– Nie ona mnie wynajęła, tylko Bobby. A w ogóle skąd to twoje zaangażowanie?

Chyba wyczuła niebezpieczeństwo w moim tonie, ale nie okazała zaniepokojenia. Uśmiechnęła się słabo, ciągle z wyniosłą miną.

– Oczywiście. Nie chciałam się wtrącać – burknęła. – Nie wiedziałam tylko, jak wyglądają twoje plany, i wolę, żeby Glen oszczędzono trosk.

Powinam teraz odezwać się pojednawczo, ale siedziałam tylko i się gapiłam. Jej policzki pokryły się słabym pąsem.

– No cóż. Miło było cię znowu zobaczyć. – Wstała i podreptała do jednego z pozostałych gości i – odwróciwszy się do mnie ostentacyjnie plecami – pogrążyła się w rozmowie.

Wzruszyłam ramionami. Nie wiedziałam tylko, co jej chodzi po głowie. Wcale mnie to nie ciekawiło, jeśli nie miało związku ze sprawą. Popatrzyłam na nią, zamyślona.



Wkrótce potem, jak na umówiony sygnał, wszyscy zaczęli zbierać się do wyjścia. Glen stała pod sklepionym przejściem do salonu, gdzie ściskano ją i ujmowano współczująco za ręce. Każdy wygłaszał tę samą formułkę: „Wiesz, że cię kochamy, słodziutka. Daj nam znać, jeśli będziesz czegoś potrzebować”.

Mówiła: „Nie omieszkam”, po czym ściskano ją powtórnie.

Sufi była tą, która odprowadzała ich do drzwi.

Miałam już udać się za ich przykładem, gdy wzrok Glen spoczął na mnie.

– Chciałabym z tobą porozmawiać, jeśli zechcesz zostać jeszcze chwilę.

– Zgoda – powiedziałam. Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że od dobrych kilku godzin nie widziałam Dereka. – A gdzie Derek?

– Odwozi Kitty z powrotem do szpitala. – Usiadła na jednej z kanap, zsuwając się nieco w dół, by móc oprzeć wygodnie głowę. – Może się czegoś napijesz?

– Z przyjemnością. Czy tobie też zrobić drinka, skoro już będę robić dla siebie?

– Boże, nie odmówię. W mojej kryjówce znajduje się barek, jeśli nam tu czegoś zabraknie. Zrób mi szkocką. Z mnóstwem lodu, proszę.

Przemierzyłam całą długość holu w stronę jej apartamenciku, by wrócić ze staroświecką szklanką i butelką cutty sarka. Kiedy powtórnie znalazłam się w salonie, Sufi wróciła, a dom pogrzyżył się w takiej ciszy, jaka następuje po nadmiernej wrzawie.

Przy końcu stołu bufetowego stało wiaderko z lodem i kilka kostek wrzuciłam do szklanki, posługując się parą srebrnych szczyptic, przypominających szpony dinozaura. Poczułam się przez to bardziej bywała, jakbym, grając w przedwojennym filmie, nosiła żakiet z poduszkami na ramionach i pończochy ze szwem.

– Musisz być wyczerpana – mruknęła Sufi. – Może położę cię do łóżka, zanim ruszę do siebie?

Glen uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Nie, nie trzeba. Idź już.

Sufi nie miała innego wyboru, tylko schylić się i pocałować Glen, a potem poszukać torebki. Wręczyłam Glen szklankę z lodem i nalałam do niej szkockiej. W końcu Sufi pożegnała się i opuściła nasze towarzystwo, obdarzając mnie przy tym ostrzegawczym spojrzeniem. Kilka sekund później usłyszałam, jak zamykają się drzwi wejściowe.

Przysunęłam sobie krzesło i usiadłam, opierając stopy na kanapie, rozmyślałam nad moją obecną sytuacją. Bolały mnie plecy i lewa ręka. Dopiłam wino i wlałam na jego miejsce cutty sarka.

Glen pociągnęła solidny łyk.

– Widziałam, że rozmawiasz z Jimem. Co mówił?

– Wierzy, że Bobby miał atak i dlatego zjechał z drogi. Jakaś epilepsja spowodowana urazem głowy z pierwszego wypadku.

– To znaczy?

– Cóż, moim zdaniem to znaczy, że jeśli tamten wypadek naprawdę był próbą zabójstwa, nareszcie wypłacono dywidendę.

Jej twarz poszarzała. Spuściła wzrok.

– Co teraz zamierzasz?

– Posłuchaj. Wciąż mam pieniądze, jakie zostały mi z zaliczki Bobby'ego. Będę pracować, aż dowiem się, kto go zabił.

Popatrzyła mi w oczy, a spojrzenie to było badawcze.

– Dlaczego to robisz?

– By uregulować rachunki. Bilans musi wyjść na zero.

– O, tak – odparła.

Przez jakiś czas wpatrywałyśmy się w siebie, po czym ona uniosła swą szklankę, ja swoją i wypiliśmy.

Kiedy zjawił się Derek, poszli razem na górę i – za przyzwoleniem Glen – następne trzy godziny spędziłam na bezowocnym przeszukiwaniu jej buduaru i pokoju Kitty. Potem wróciłam do domu.

W poniedziałek o ósmej rano byłam znowu na sali ćwiczeń. Czułam się jak po podróży na Księżyc. Bezwiednie rozejrzałam się za Bobbym, uzmysławiając sobie milisekundę później, że odszedł, by już nigdy nie wrócić. Poczułam smutek. Tęsknota za kimś to nieokreślone, nieprzyjemne doznanie, niby nurtujący niepokój. Nie jest tak konkretne jak rozpacz, ale równie przekonujące i nie ma od niego ucieczki. Ruszałam się, wyciskałam siódme poty, jakby ból fizyczny mógł przesłonić swego emocjonalnego odpowiednika. Każdą minutę wypełniałam aktywnie i chyba pomagało. W pewien sposób przypomina to wcieranie ben-gayu w bolące plecy. Chcesz wierzyć, że w jakimś stopniu to pomaga, ale nie wiesz dlaczego. Lepsze to niż nic, choć nie leczy.

Wzięłam prysznic, ubrałam się i pojechałam do biura. Nie odwiedzałam go od środowego popołudnia. Zebrał się już spory stos listów i rzuciłam wszystkie na biurko. Światelko na mojej automatycznej sekretarce mrugało, ale musiałam najpierw zadbać o inne sprawy. Otwarłam drzwi balkonowe i wpuściłam trochę świeżego powietrza, potem zaparzyłam dzbanek kawy. Zbadałam półkwaśną śmietanę w mojej lodóweczce, węsząc przy rozerwanym dzióbku kartonowego pudełka. Na granicy. Muszę ją wkrótce wymienić. Gdy kawa była gotowa, znalazłam czysty kubek i napełniłam go. Śmietanka ułożyła się na powierzchni w złowieszczy wzór, ale smakowała dobrze. Czasami piję kawę czarną jak smoła, czasami dodaję śmietanki. Usiadłam wygodnie na krześle obrotowym i wcisnęłam guzik automatycznej sekretarki.

Taśma przewinęła się do tyłu i usłyszałam Bobby'ego. Gdy zdałam sobie sprawę, kto mówi, poczułam, jak chłodny palec dotyka mojego karku.

„Cześć, Kinsey. Tu Bobby. Przepraszam, że przed chwilą zachowałem się jak palant. Wiem, że chciałaś mnie pocieszyć. Coś mi przyszło do głowy. Wiem, że to wygląda nonsensownie, lecz pomyślałem, że i tak ci powiem. Wydaje mi się, że ze sprawą łączy się nazwisko Blackman. Jakiś Blackman. Nie wiem, czy to właśnie jemu dałem czerwony notes, czy też on mnie chce dopaść. A może to tylko mój mózg wymyśla te rzeczy. Tak czy owak możemy później pomyśleć nad tym razem, może coś z tego wyjdzie. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia, potem muszę zobaczyć się z Kleinertem. Postaram się z tobą skontaktować. Może wieczorem napijemy się czegoś? A na razie trzymaj się, słoneczko. Uważaj na tyłeczek”.

Wyłączyłam urządzenie i gapiłam się na nie.

Odszukałam w górnej szufladzie książkę telefoniczną. Znalazłam w spisie jednego Blackmana, samo „S”. Żadnego adresu. Prawdopodobnie kobieta próbująca uniknąć nieprzyzwoitych telefonów. Wierzę w wypróbowywanie najpierw oczywistego. No bo dlaczego nie? Może Sarah albo Susan, albo Sandra Blackman знаła Bobby'ego i miała jego czerwony notes, a może opowiedział jej ze szczegółami, co jest grane, dzięki czemu mogłabym jednym telefonem załatwić wszystkie sprawy. Numer był odłączony. Spróbowałam raz jeszcze, żeby się upewnić. Usłyszałam tę samą śpiewkę. Sporządziłam notatkę. Kto wie, czy ten numer jeszcze się przyda? Może S. Blackman wyjechała z miasta lub zginęła w niewyjaśnionych okolicznościach?

Wcisnęłam guzik odgrywania, po prostu po to, by usłyszeć jeszcze raz głos Bobby'ego. Zaczynałam się niecierpliwic, nie wiedząc, jak rozgryźć tę sprawę. Przeglądałam jego teczkę. Nie

rozmawiałam jak dotąd z jego poprzednią dziewczyną, Carrie St. Cloud, teraz nadarzyła się dogodna okazja. Glen powiedziała mi, że nie widziała jej od pierwszego wypadku, ale Carrie zawsze może coś pamiętać z tamtych czasów.

Wypróbowałam numer, który dostałam od Glen, i pogawędziłam krótko z matką Carrie, wyjaśniając, kim jestem i dlaczego chcę się skontaktować z jej córką. Carrie rok temu wyprowadziła się z rodzinnego domu, by zamieszkać we własnym mieszkanku, dzielonym wraz z przyjaciółką. Pracowała teraz w pełnym wymiarze godzin jako instruktor aerobiku w klubie na Chapel. Zanotowałam dwa adresy, domowy i do pracy, i podziękowałam uprzejmie.

Odstawiłam kubek na bok, wyłączyłam imbryk, zamknęłam biuro i zesłam tylnymi schodami.

Dzień był pochmurny, niebo zasnulo się bielą. Bładoszara mgiełka wypełniała ulice chłodem. Po trudnym do zniesienia skwarze ostatnich tygodni ta odmiana wydawała się czymś nienaturalnym. Ostatnio pogoda w Santa Teresa odbiegała od normy. Zwykle można tu liczyć na czyste, słoneczne niebo oraz w miarę spokojne morze, najwyżej nad górami snulo się kilka obłoków, co dodawało uroku krajobrazowi. Deszcze zawsze padały w styczniu: dwa tygodnie nieustannej ulewy, po której kraina pokrywała się szmaragdową zielenią, bugenwille i kapryfolium zdobiły miasto niczym krzykliwy makijaż. Obecnie w kwietniu i październiku pojawiają się deszcze i chłodne dni, jak ten sierpniowy, kiedy temperatura powinna wynosić trzydzieści stopni. Ta odmienność jest uciążliwa, zmiany klimatu łączy się z erupcjami wulkanów na morzach południowych i pogłoskami o ozonie podziurawionym sprayami do włosów.

Klub aerobiku znajdował się ledwie pół przecznicy dalej, mieścił się w dawnych pomieszczeniach klubu badmintona, który podupadł, kiedy minęła moda na ten sport. Jako że aerobik wyszedł teraz na czoło, nic dziwnego, że przemianowano te proste, wąskie pomieszczenia z parkietami z twardego drewna na spalające tłuszcz piekarniki dla kobiet marzących o smukłej sylwetce. Zapytałam, czy Carrie prowadzi teraz lekcję, na co kobieta za biurkiem wskazała w milczeniu na źródło ogłuszającej muzyki, która wykluczała wszelką rozmowę. Podążyłam za wskazaniem jej palca i skręciłam za narożnik. Na prawo zobaczyłam sięgający do pasa murek, okalający grupę aerobikową, ćwiczącą piętro niżej. Akustyka była straszna. Patrzyłam z galerii dla widzów, podczas gdy muzyka huczała. Carrie wykrzyczała jakieś słowo zachęty i piętnaście najlepiej wyglądających ciał miasta rzuciło się do ćwiczeń z rzadko oglądanym fanatyzmem. Najwidoczniej ćwiczenia osiągały właśnie swoje apogeum. Kobiety wykonywały uniesienia tyłków, które wyglądały obscenicznie; jęczały przy tym na podłodze ubrane w matowe, obcisłe trykoty, wymachując biodrami, jakby obrabiali je niewidzialni partnerzy.

Carrie St. Cloud zaskoczyła mnie. Jej imię sugerowało drugą wicemiss w szkolnych zawodach albo kwitnącą aktorkę, której prawdziwe nazwisko brzmi Wanda Maxine Smith. Wyobrażałam sobie przeciętną, kalifornijską urodę, ciało wprawionej pływaczki, blond włosy, oslepiająco białe zęby, może lekką skłonność do stepowania. Nic z tych rzeczy.

Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia dwa lata, jej długie czarne włosy spływały do pasa, a muskulatura mówiła o ogromie czasu spędzanego na siłowni. Miała wyrazistą twarz, rodem z greckiej rzeźby, pełne usta, zaokrąglony podbródek. Jej trykot, matowożółty spandex, podkreślał szerokie ramiona i smukłe biodra gimnastyczki. Jeśli miała na sobie uncję tłuszczu, to ja jej nie

wyśledziłam. Nie miała dużych piersi, ale i tak sprawiała wrażenie stuprocentowej kobiety. Nie była żadnym plażowym króliczkiem. Traktowała te sprawy poważnie, wiedząc, na czym polega dobra kondycja; ćwiczyła, oddychając miarowo. Każda z pozostałych kobiet odczuwała ból. Dziękowałam opatrności, że ja muszę biegać jedynie trzy mile dziennie. Nigdy nie będę wyglądać równie dobrze jak ona, ale nie narzekam.

Carrie przeprowadziła grupę przez ćwiczenia relaksujące i kilka pozycji jogi, pozwalając kobietom na koniec porozkładać się na parkiecie niczym na pobojuwisku. Wyłączyła muzykę, złapała ręcznik i wtuliła weń twarz, kiedy wychodziła z sali przez drzwi znajdujące się dokładnie przede mną. Znalazłam schody i ruszyłam nimi w dół, złapałam ją przy kranie obok szatni. Jej włosy przelewały się przez ramiona niczym welon zakonnicy i musiała wziąć je w garść, by nie zmoczyć ich pijąc.

– Carrie?

Wyprostowała się, ścierając strumyk potu rękawem swego trykotu. Ręcznik zarzuciła na szyję niczym bokser po zejściu z ringu.

– Zgadza się.

Powiedziałam jej, kim jestem, czym się zajmuję, i zapytałam, czy nie mogłybyśmy porozmawiać o Bobbym Callahanie.

– W porządku, ale pogadamy, gdy się będę zbierać. Jestem umówiona na dwunastą.

Poszłam w ślad za nią do szatni. Pośrodku znajdowała się pusta przestrzeń, obramowana metalowymi szafkami i rzędem wbudowanych w ścianę suszarek do włosów. Kafelki były śnieżnobiałe, a całe pomieszczenie schludne, z ławkami przytwierdzonymi do podłogi i wszechobecnymi lustrami. Gdzieś po mojej lewej stronie rozlegał się stłumiony odgłos prysznic. Kobiety zaczęły się pojawiać i wiedziałam, że śmiech będzie coraz głośniejszy.

Carrie zrzuciła buty i zsunęła trykot jak skórę banana. Rozejrzałam się za miejscem, gdzie można by było przycupnąć. Z reguły nie przeprowadzam wywiadów z nagimi kobietami w pomieszczeniach pełnych szwargoczających nagusek. Zauważyłam, że pachniały tak samo jak bywalcy Santa Teresa Fitness, zrobiło mi się przyjemniej.

Czekałam, kiedy wciskała włosy pod plastikowy czepek i szła pod prysznic. W tym czasie kobiety paradowały tam i z powrotem w różnej fazie nagości. Był to budujący widok: tyle wersji piersi, pośladków, brzuchów i wzgórek łonowych, nieskończone powtórki tych samych kształtów. Te kobiety miały chyba o sobie dobre mniemanie i istniała między nimi komitywa, która mi się podobała.

Carrie wróciła spod prysznic owinięta ręcznikiem. Ściągnęła czepek i wstrząsnęła ciemną grzywą. Zaczęła się suszyć, mówiąc do mnie przez ramię:

– Miałam przyjść na pogrzeb, ale jakoś zabrakło mi siły. A pani?

– Ja poszłam. Nie znałam Bobby’ego długo, ale i tak było mi ciężko. Chodziliście z sobą, kiedy

miał ten pierwszy wypadek, no nie?

– Tak naprawdę właśnie zerwaliśmy. Spotykaliśmy się dwa lata, potem wszystko się popsuło. Między innymi zaszłam w ciążę, to przeważało szalę. Zapłacił za zabieg, ale już nie widywaliśmy się tak często. Czułam się okropnie, gdy spotkało go to nieszczęście, ale zachowałam dystans. Wiem, co ludzie myśleli: zimna jak żelazo. Ale co mogłam zrobić? Wszystko było skończone. Czy miałam fruwać koło niego lojalnie dla dobrego wrażenia?

– Czy słyszała pani jakieś plotki na temat wypadku?

– Tyle tylko, że ktoś zepchnął go z drogi.

– Ma pani jakieś przypuszczenia, kto to mógł być i dlaczego to zrobił?

Usiadła na ławce i podwinęła nogę, by dokładnie wytrzeć wilgoć między palcami.

– Hm, tak i nie. Nie znam sprawcy, ale wiem, że Bobby’ego coś wtedy trapiło. Nie zwierzał się zbyt wiele, ale towarzyszył mi, kiedy miałam zabieg, i został ze mną na noc. – Zmieniła stopę, schylając się do kolejnej inspekcji. – Boję się grzybicy. Przepraszam.

Odrzuciła ręcznik i wstała, podeszła do szafki, by wyciągnąć ubranie. Spojrzała na mnie.

– Chcę, żeby mnie pani dobrze zrozumiała. To nie są żadne fakty. Tylko odczucia. Pamiętam, jak wspominał, że ktoś z jego przyjaciół jest w tarapatach, i zdawało mi się wtedy, że chodzi o szantaż.

– Szantaż?

– Tak, ale chyba nie w zwykłym znaczeniu. To znaczy nie sądzę, żeby jakieś pieniądze miały przechodzić z ręki do ręki ani nic podobnego. Nic też spod znaku płaszcza i szpady. Ktoś miał na kogoś haka i było to dość poważne. Odniosłam wówczas wrażenie, że próbował mu pomóc i po prostu wykombinował, jak to zrobić... – Wciągnęła majtki i włożyła podkoszulek. Chyba doszła do wniosku, że nie ma zbyt dużych piersi, bo nie nosiła biustonosza.

– Kiedy to było? – zapytałam. – Pamięta pani datę?

– No cóż, zabieg miałam szesnastego listopada i został ze mną tamtej nocy. Wypadek zdarzył się następnego dnia, w nocy siedemnastego, a więc wszystko odbyło się w tym samym tygodniu.

– Przeglądałam prasę, począwszy od września, bo myślałam, że wdał się w jakąś publiczną awanturę. Czy nie pamięta pani okoliczności? To znaczy, nie wiem nawet, czego szukać.

Potrząsnęła głową.

– Nie mam pojęcia. Naprawdę. Przykro mi, ale nie umiem zgadnąć.

– Sądzi pani, że to Rick Bergen miał kłopoty?

– Wątpię. Znałam Ricka. Chyba Bobby powiedziałby mi, gdyby chodziło o Ricka.

– A może ktoś z pracy?

– Proszę posłuchać, nie mogę pani pomóc – powiedziała niecierpliwie. – On był bardzo skryty, a ja nie miałam nastroju, żeby go przepytować. Cieszyłam się tylko, że zabieg się udał. I tak brałam wtedy środki przeciwbólowe, więc dużo spałam i cała reszta jest zamazana. Mówił tylko po to, żeby mnie czymś zająć, a może trochę z nerwów.

– Czy nazwisko Blackman mówi coś pani?

– Raczej nie.

Włożyła spodnie i sandały. Zgięła się w pół, przerzuciła włosy przez ramię, przeczesła je kilka razy szczotką, potem chwyciła torebkę i ruszyła w stronę drzwi. Żeby się z nią zrównać, musiałam podbiec dwa kroki. Powątpiewałam, czy na tym kończy się jej ubranie, lecz teraz już wiedziałam, że tak. Spodnie i podkoszulek? Zamarznie zaraz po wyjściu na dwór. Pośpieszyłam za nią, łapiąc drzwi, gdy wychodziła na korytarz.

– Z kim jeszcze się wtedy zadawał? – zapytałam, biegnąc truchtem schodami do góry, w stronę głównego wyjścia. – Proszę mi dać choć ze dwa nazwiska. Muszę mieć jakiś punkt zaczepienia.

Zatrzymała się, spoglądając na mnie.

– Może pani spróbować z dzieciakiem o imieniu GUS. Nie wiem, jak się nazywał, ale pracuje w wypożyczalni wrotek przy plaży. Jest jego kumplem ze szkoły średniej i myślę, że Bobby mu ufał. Może on wie, co to za historia?

– A o co jeszcze chodziło? Powiedziała pani, że zaszła w ciążę między innymi.

Jej uśmiech był sztywny.

– Boże, jaka pani jest natarczywa. Zakochał się w kimś innym. Nie wiem w kim, więc proszę nie pytać. Gdybym wiedziała o tej drugiej kobiecie, zerwałabym dużo wcześniej. Tymczasem nic o niej nie słyszałam, dopóki nie powiedziałam mu, że jestem w ciąży. Z początku myślałam, że może ożeni się ze mną, ale gdy oświecił mnie, że jest poważnie związany z inną, wiedziałam, co muszę zrobić. Na jego korzyść przemawia fakt, że czuł się okropnie z powodu ciężkiej sytuacji, w jakiej się znalazłam, i zrobił wszystko, co mógł. Bobby był chłopakiem na medal, w sercu miał samą słodycz.

Zaczęła odchodzić, więc złapałam ją za ramię, myśląc intensywnie.

– Carrie, czy jest możliwe, by przyjaciel w opałach i kobieta, z którą był związany, stanowiły jedną i tę samą osobę?

– A skąd mogę wiedzieć?

– Wątpię, czy dał pani mały, czerwony notes z adresami?

– Wszystko, co mi dał, to ból serca – odparła i nie oglądając się, odeszła w swoją stronę.



Buda z wypożyczalnią wrotek jest ciemnozielonym kontenerem, postawionym tuż obok parkingu, blisko nabrzeża. Za trzy dolce można wypożyczyć tam wrotki na godzinę, wraz z ochraniaczami na łokcie, kolana oraz nadgarstki, dorzucanymi za darmo, żeby nie można było później skarżyć wypożyczalni o odszkodowania za ewentualne urazy.

Gust Bobby'ego dotyczący przyjaciół był trudny do przewidzenia. GUS wyglądał jak przyjemniaczek stojący na rogu ulicy, na którego widok każdy sprawdza bezwiednie, czy aby drzwi auta są dobrze zamknięte. Był chyba w wieku Bobby'ego, lecz o wiele węższy, z niezdrową cerą. Włosy miał ciemnobraunowe i zapuszczał wąsy, przez co wyglądał na zbiega. Oglądałam już zdjęcia niejednej przestępczej gęby, której zaufałam szybciej niż jemu.

Przedstawiłam się i upewniłam, że to naprawdę przyjaciel Bobby'ego, kiedy blondynka z rozwianymi włosami przysła oddać parę wrotek. Obserwowałam wymianę. Na przekór mojemu pierwszemu złudzeniu, GUS był miły w obejściu. Zachowywał się nieco zalotnie, wykazując skłonność do zerkania w moim kierunku, popisując się, jak przypuszczam. Czekałam, przypatrując się, podczas gdy on obliczał należność. Kiedy zwrócono jej obuwie i legitymację, dziewczyna podbiegła do ławki i włożyła tenisówki. GUS poczekał, dopóki nie wyjdzie.

– Widziałem panią na pogrzebie – powiedział nieśmiało, odwracając się do mnie. – Siedziała pani blisko pani Callahan.

– Nie pamiętam, żebym cię widziała – odparłam. – Czy wpadłeś potem do domu?

Potrząsnął głową, nabierając rumieńców.

– Nie czułem się zbyt dobrze.

– Jak można czuć się dobrze przy takiej okazji?

– Zwłaszcza kiedy umiera kumpel – powiedział. W jego głosie pojawiło się ledwo zauważalne drżenie. Odwrócił się, z rozmachem odkładając wrotki na właściwe miejsce na półce.

– Byłeś chory? – spytałam.

Wahał się przez moment, po czym powiedział:

– Mam chorobę Crohna. Wie pani, co to takiego?

– Nie.

– Zapalenie jelit. Wszystko przeze mnie przechodzi. Nie mogę utrzymać wagi. Co chwilę mam gorączkę. Bóle żołądka. „Pochodzenie nieznane”, a to znaczy, że nie wiedzą, co ją powoduje i skąd się bierze. Cierpię na nią już ze dwa lata i prawie mnie połknęła. Nie mam szansy na prawdziwą pracę, robię więc to.

– Czy z tego się wychodzi?

– Chyba tak. Po pewnym czasie. Tak przynajmniej mówią.

– Cóż, przykro mi, że cierpisz. To brzmi ponuro.

– Nie wie pani nawet połowy. Tak czy owak Bobby mnie pocieszał. Sam był w kiepskim stanie, czasami pośmialiśmy się trochę. Brakuje mi go. Gdy usłyszałem, że nie żyje, niemal się poddałem, ale wtedy ten głos szepnął: „Hej, GUS, rusz no swą martwą dupę i nie daj się złamać... Na tym świat się nie kończy, więc nie bądź kretyńcem”. – Potrząsnął głową. – To był Bobby, przysięgam. To w jego stylu. Więc ruszyłem swą martwą dupę. Czy zajmuje się pani jego śmiercią?

Przytaknęłam, zerkając na dwóch dzieciaków, którzy podeszli, by wypożyczyć wrotki.

GUS zajął się nimi, po czym wrócił do mnie, przepaszając za przerwę. Było lato i na przekór niezwykle chłodnemu powietrzu na plażach roili się turyści. Zapytałam, czy wie, w co wplątał się Bobby. Poruszył się niespokojnie, spoglądając na drugą stronę ulicy.

– Mam swoją teorię, ale nie wiem, co powiedzieć. To znaczy, jeśli Bobby pani nie powiedział, dlaczego ja miałbym to zrobić?

– On nie pamiętał. Dlatego mnie wynajął. Sądził, że grozi mu niebezpieczeństwo i chciał, żebym zorientowała się w sytuacji.

– A może najlepiej zostawić wszystko tak, jak jest?

– Ale jak jest?

– Proszę mnie zrozumieć, ja nie wiem nic na pewno. Tylko to, co Bobby mi powiedział.

– Co cię niepokoi?

Unikał mojego wzroku.

– No, nie wiem. Chcę się jeszcze nad tym zastanowić. Szczerze, nie wiem za dużo, ale nie chcę o tym mówić, dopóki nie poczuję, że tak trzeba. Wie pani, co mam na myśli?

Ustąpiłam. Człowieka zawsze można przycisnąć, ale to nie jest zbyt dobra metoda. Lepiej, gdy z własnej woli wyjawia informacje. W ten sposób zyskuje się więcej.

– Mam nadzieję, że zadzwonisz do mnie – powiedziałam. – Jeśli się jednak nie odezwiesz, będę musiała wpaść tu znowu i zrobić drakę. – Wyciągnęłam wizytówkę i położyłam ją na ladzie.

Uśmiechnął się, najwidoczniej w poczuciu winy za swe niezdecydowanie.

– Może pani pojeździć za darmo, jeśli pani chce. To dobre ćwiczenie.

– Innym razem – odparłam. – Dzięki.

Obserwował mnie, dopóki nie wytoczyłam się z parkingu i nie skręciłam w lewo. We wstecznym lusterku zobaczyłam jeszcze, jak pociera brodę rogiem mojej wizytówki. Miałam nadzieję, że da o sobie znać.

Tymczasem postanowiłam sprawdzić, czy mogę dorwać to kartonowe pudełko, które spakowano w laboratorium po wypadku Bobby’ego.

Przyjechałam do rezydencji. Glen najwyraźniej poleciała na cały dzień do San Francisco, lecz Dereka zastałam w domu i powiedziałam mu, czego potrzebuję.

Spojrzał na mnie sceptycznie.

– Pamiętam to pudełko, ale nie wiem, gdzie jest. Być może wyniesiono je do garażu. Jeśli chcesz na nie rzucić okiem, możemy tam sprawdzić.

Zamknął za sobą frontowe drzwi i przeszliśmy przez dziedziniec do mieszczącego trzy samochody garażu. Na zapleczu pod ścianą stały drewniane skrzynie. Żadnej nie zamknięto, lecz w większości wypełniały je stosy pudełek, które wyglądały, jakby poskładano je tam za czasów króla Ćwieczka.

Jeden z kartonów zwrócił moją uwagę. Wcisnięto go pod stół warsztatowy przy ścianie. Dostrzegłam napis „Strzykawki jednorazowego użytku”, nazwę dostawcy i rozerwaną naklejkę spedycyjną, zaadresowaną do oddziału patologicznego szpitala w Santa Teresa. Wytaszczyliśmy pudełko i zajrzeliśmy do środka. Jego zawartość nie należała do Bobby’ego i rozczarowała nas. Żadnego czerwonego notesu, wzmianki o kimkolwiek noszącym nazwisko Blackman, brak wycinków, krypto-gramów, prywatnej korespondencji. Zaledwie kilka książek medycznych, dwie instrukcje obsługi aparatury radiologicznej oraz drobne przedmioty biurowe. Co miałam począć z paczką spinaczy do papieru i dwoma długopisami?

– Nie wygląda mi to na wiele – zauważył Derek.

– Nie wygląda mi to na cokolwiek – odparłam. – Czy mimo to mogę zabrać te rzeczy? Może będę musiała przejrzeć je jeszcze raz.

– Proszę bardzo. Pozwól, że sam to stąd wezmę.

Odsunęłam się grzecznie na bok, pozwalając mu dźwignąć pudełko i zanieść do mojego samochodu. I ja mogłam sobie z tym poradzić, ale to wydawało się dla niego ważne, więc po co się sprzeczać. Po przrzuceniu kilku klamotów wcisnęliśmy pudełko na tylne siedzenie. Poinformowałam go, że będziemy w kontakcie, po czym odjechałam.

Wróciłam do swego mieszkania, gdzie włożyłam dres do biegania. Właśnie zamykałam drzwi, kiedy zza rogu wyłonił się Henry wraz z Lilą Sams. Spacerowali pod ramię. Był od niej wyższy przynajmniej o stopę i szczupły we wszystkich miejscach, gdzie ona była pulchna. Sprawiał wrażenie wniebowziętego, roztaczał specjalną aurę, charakterystyczną dla ludzi, którzy dopiero co się zakochali. Miał na sobie ciemnoniebieskie dzinsy i koszulę w tym samym kolorze, na której tle jego

niebieskie oczy niemal błyszcząły. Włosy musiał chyba niedawno przystrzyc i zastanawiałam się, czy aby tym razem nie dał ich komuś wymodelować. Uśmiech Lili stężał nieco, gdy mnie spostrzegła, lecz odzyskała spokój ducha i roześmiała się jak dziewczynka.

– Och, Kinsey, patrz, co on narobił – powiedziała i wyciągnęła dłoń. Paradowała z wielkim brylantem o fasetkowym szlifie; miałam nadzieję, że to tylko krzykliwa imitacja.

– Boże, jest wspaniały. Z jakiej to okazji? – zapytałam, przybita. Chyba się nie zaręczyli? Jej fałsz i rozrzepanie nie pasowały do jego prostolinijności.

– Żeby uczcić fakt naszego spotkania – rzekł Henry, zerkając na nią. – Kiedy to było, miesiąc temu? Sześć tygodni?

– Och, ty łobuzie – powiedziała, tupiąc zabawnie małą stopką. – Zaraz sprawię, że wszystko sobie przypomnisz. Spotkaliśmy się dwunastego czerwca. Były urodziny Mozy, a ja się właśnie wprowadziłam. Parzyłeś herbatę, którą ona podawała, czym zepsułeś mnie od samego początku. – Przybrała najbardziej poufny ton. – Czy ten Henry nie jest okropny?

Nie umiem z ludźmi tak się przekomarzać bez celu. Czułam, że uśmiech nie maskuje mojego skrępowania, ale nic na to nie mogłam poradzić.

– Sądzę, że jest wspaniały – powiedziałam, co zabrzmiało trochę nieszczerze i niezręcznie.

– No tak, oczywiście, że jest wspaniały – przyznała rozpromieniona. – Dlaczego by miał nie być? Jest taki niewinny, każdy mógłby go wykorzystać.

Jej ton stał się nagle zgryźliwy, jakbym go obraziła. Wyczuwałam sygnały ostrzegawcze, dzwoniące jak oszalałe, wciąż jednak nie wiedząc, czego się spodziewać. Kiwała palcem pod moim adresem, pomalowane na czerwono paznokcie kłuły powietrze tuż przy moim nosie.

– Na przykład ty, zepsuta dziewczyno. Powiedziałam o tym Henry’emu i powiem ci to prosto w oczy: stawka, jaką płacisz, jest skandalicznie niska i wiesz doskonale, że to rozbój w biały dzień.

– Co?

Zmrużyła oczy, zbliżając swą twarz do mojej.

– Nie strugaj ze mnie wariata. Dwieście dolarów miesięcznie! Wielkie nieba. Czy masz pojęcie, ile w tych stronach kosztują takie mieszkania? Trzysta. Czyli za każdym razem, gdy wypisujesz mu czek, okradasz go ze stu dolarów. Obrzydliwe. Sama obrzydliwość!

– Uspokój się, Lila – wmieszał się Henry. Nie wyglądał na zakłopotanego jej napastliwością, najwyraźniej musieli o tym wcześniej rozmawiać. – Nie poruszajmy tego teraz. Przecież ona wychodzi.

– Jestem pewna, że możesz poświęcić mi kilka minut – powiedziała, patrząc na mnie z błyskiem w oku.

– Jasne – odrzekłam słabo i spojrzałam na niego. – Czy sprawiłam ci kiedyś jakiś kłopot? – Zrobiło mi się gorąco i zimno zarazem, chińskie jedzenie działa czasem podobnie. Czy naprawdę sądził, że go oszukuję?

Lila znów się wtrąciła, odpowiadając, zanim on zdążył otworzyć usta.

– Nie mieszajmy w to od razu Henry’ego – powiedziała. – Ma o tobie jak najlepsze mniemanie, dlatego z litości nie chciał o tym mówić. Mam ochotę dać ci klapsa. Jak mogłaś w ten sposób potraktować człowieka o tak miękkim sercu jak Henry? Jak mogłaś owinać go sobie wokół palca? Powinnaś się wstydzić.

– Za nic w świecie nie wykorzystałabym Henry’ego.

– Ale już to zrobiłaś. Jak długo tu mieszkasz, płacąc tę samą, śmieszłą stawkę? Rok? Piętnaście miesięcy? Tylko mi nie mów, że nigdy nie przyszło ci na myśl, że wynajmujesz ten pokój za darmo! Bo gdy to powiesz, będę musiała prosto w oczy nazwać cię kłamczuchą, co zawstydzi nas obie.

Czułam, że otwierają mi się usta, ale nie mogłam wydusić słowa.

– Później możemy o tym porozmawiać – bąknął Henry, biorąc Lilę pod ramię.

Odciągał ją ode mnie, ale ona wciąż świdrowała mnie oczami, jej policzki i szyja płonęły z wściekłości. Odwróciwszy się, patrzyłam, jak odprowadzał ją w stronę tylnych schodów. Zaczęła protestować w ten sam głupawy sposób co poprzedniego dnia. Czy tej kobiecie odbiło?

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, moje serce łomotało i zdałam sobie sprawę, że jestem mokra od potu. Przywiązałam do sznurówki klucz, po czym wystartowałam, przechodząc w trucht bez uprzedniej rozgrzewki. Biegłam oddalając się od nich.

Pokonałam trzy mile, po czym pomaszerowałam z powrotem. Zasłony u Henry’ego zasunięto, okna pozamykano. Tył domu wyglądał blado i odpychająco, niczym lunapark na plaży po godzinach zamknięcia.

Wzięłam prysznic i włożyłam na siebie jakieś ciuchy, potem uciekłam z tej posiadłości. Ciągle czułam się dotknięta, ale opanowywał mnie też z wolna gniew. Co ją to wszystko w ogóle obchodzi? I dlaczego Henry nie pośpieszył mi z pomocą?

Gdy wpadłam do Rosie, było już dobrze po południu i ani żywej duszy w zasięgu wzroku. W restauracji panowała ponura atmosfera i pachniało dymem papierosowym. Telewizor stojący na barku zionął czernią, krzesła wciąż leżały na stolikach do góry nogami, przypominając trupe ćwiczących akrobatów. Przeszłam na zaplecze i otworzyłam ruchome drzwi do kuchni. Rosie spojrzała na mnie, przestraszona. Siedziała właśnie na wysokim, drewnianym stołku z nożem w dłoni i siekała pory. Nienawidziła, gdy ktoś nachodził ją w kuchni, być może dlatego, że nie przestrzegała przepisów sanitarnych.

– Co się stało? – zapytała, widząc moje oblicze.

– Adoratorka Henry’ego zrobiła mi scenę – odparłam.

– Aha – powiedziała. Dźgnęła pora nożem, aż kawałki pofrunęły w powietrze. – Tutaj nie przyjdzie. Wie, czym to pachnie.

– Rosie, ta kobieta to kretynka. Szkoda, że jej nie słyszałaś tamtego wieczora, po tym, jak z nią zadarłaś. Głędziła i jęczała całymi godzinami. A teraz oskarża mnie, że oszukuję Henry’ego na czynszu.

– Usiądź. Mam tu gdzieś wódkę. – Podeszła do szafeczki nad zlewozmywakiem i wspięła się na palce, sięgając z trudem po butelkę.

Nalała mi do kubka po kawie. Wzruszyła ramionami i nalała również sobie. Piłyśmy, a ja czułam, jak krew napływa mi do twarzy.

Wydałam z siebie bezwiedne „Łuu!”. Zapiękło mnie w przełyku i czułam, jak alkohol rozpływa się po żołądku. Zawsze wyobrażałam sobie, że mam żołądek o wiele niżej. Dziwne. Rosie wsypała pokrojone pory do miseczki i opłukała nóż pod kranem, potem odwróciła się do mnie.

– Masz przy sobie dwadzieścia centów? Daj mi dwie dziesiątki – poprosiła, wyciągając dłoń.

Pogrzebałam chwilkę w torebce, z której wydobyłam nieco drobnych. Rosie wzięła je i podeszła do zawieszzonego na ścianie automatu. Każdy musi używać tego telefonu, nawet ona.

– Do kogo dzwonisz? Chyba nie dzwonisz do Henry’ego? – spytałam wystraszona.

– Cst! – Uniosła dłoń, uciszając mnie; oczy Rosie przybrały wyraz szczególny dla kogoś, kto właśnie usłyszał odgłos słuchawki podnoszonej po drugiej stronie. Jej głos stał się melodyjny i sentymentalny. – Halo, kochanie. Tu Rosie. Co porabiasz? Aha, to może lepiej wpadnij do mnie. Mamy coś do przedyskutowania.

Odłożyła z hałasem słuchawkę, nie czekając na odpowiedź, potem wpatrzyła się we mnie zadowolona.

– Pani Lowenstein wpadnie do nas na pogawędkę.

Moza Lowenstein usiadła na przyniesionym przeze mnie chromowo-plastikowym krześle. Jest pokaźną kobietą z włosami koloru żeliwnego rondla, z warkoczami spiętymi dokoła głowy. Srebrne kosmyki błyszczą tu i ówdzie niczym rondel z taniego żelaza, natomiast jej twarz, posypana jasnym pudrem, ma delikatny odcień prawoślazu. Lubi trzymać coś w ręku, gdy rozmawia z Rosie: pęk ołówków, drewnianą łyżkę, każdy amulet chroniący przed napaścią. Dzisiaj wypadło na ścierkę do naczyń. Najwidoczniej Rosie wyrwała ją w połowie jakiejś domowej pracy, którą ta porzuciła bez wahania, by stawić się na apel. Moza boi się Rosie, jak każdy, kto ma zdrowy rozsądek. Rosie z miejsca przeszła do rzeczy, pomijając wszelkie uprzejmości.

– Kim jest ta Lila Sams? – zapytała. Pochwyciła tasak i zaczęła okładać nim porcję cielęciny, na

widok czego Mozę ogarnęły dreszcze.

Głos, kiedy go wreszcie odzyskała, miała cichy i drżący.

– Tak naprawdę to nie wiem. Zapukała do mych drzwi, podobno w odpowiedzi na ogłoszenie w gazecie, ale to była jakaś pomyłka. Nie miałam pokoju do wynajęcia, dałam jej to wyraźnie do zrozumienia. No cóż, biedaczka wybuchła płaczem i co mogłam zrobić? Musiałam zaprosić ją na filiżankę kawy.

Rosie znieruchomiła, gapiąc się w nią z niedowierzaniem.

– A potem wynajęłaś jej pokój?

Moza złożyła ręcznik, układając go na kształt homara, niczym serwetkę w szykownej restauracji.

– No, nie. Zaproponowałam, by została u mnie, dopóki nie znajdzie sobie mieszkania, ale nalegała, by płacić. Powiedziała, że nie lubi zaciągać długów.

– To się nazywa wynajem mieszkania. Tak i nie inaczej – Rosie warknęła.

– No, tak. Jeśli już chcesz ujmować to w ten sposób.

– Skąd pochodzi ta kobieta?

Moza zatrzepotała ręcznikiem i wytarła nim górną wargę mokrą od potu. Rozpostarła go na udzie i przycisnęła ręką, zwierając palce w żelaznym uścisku. Dostrzegłam nieubłagany wzrok Rosie, podążający za każdym ruchem Mozy, i pomyślałam, że zechce ciachnąć jej rękę tasakiem. Moza musiała pomyśleć to samo, bo przestała bawić się ręcznikiem i spojrzała na Rosie z miną winowajczynie.

– Co?

Rosie cedziła wolno słowa, jakby rozmawiała z przybyszem z kosmosu.

– Skąd pochodzi Lila Sams?

– Z małego miasteczka w Idaho.

– Z którego małego miasteczka?

– No cóż, tego to już nie wiem – odparła Moza nieśmiało.

– Kobieta mieszka w twoim domu i nawet nie wiesz, z jakiego miasta przyjechała?

– A jaka to różnica?

– I nawet nie wiesz, jaka to różnica? – Rosie wpatrywała się w nią, przesadnie zdziwiona. Moza

spuściła wzrok i złożyła ręcznik, nadając mu kształt biskupiej infuły. – Zrób mi przysługę i dowiedz się – powiedziała Rosie. – Czy dasz sobie radę?

– Spróbuję – odpowiedziała Moza. – Ale ona nie znosi, jak się ją wypytuje. Dała mi to jasno do zrozumienia.

– Ja też ci daję jasno do zrozumienia, że nie znoszę tej kobiety i chcę wiedzieć, do czego zmierza. Sprawdź, skąd przyjechała, a Kinsey już zadba o resztę. I nie muszę ci mówić, Moza, że Lila Sams nie może się niczego domyślić. Rozumiemy się?

Możę przyparto do muru. Zauważyłam, że się waha, próbując zdecydować, który wariant jest gorszy: doprowadzenie Rosie do furii czy wpadka na szpiegowaniu Lili Sams. Choć wynik tych zmagień mógł być różny, ja już obstawiłam swój typ.



## ROZDZIAŁ 16

Wróciłam późno do biura i wstukałam na maszynie wszystkie moje notatki. Nie było ich wiele, ale nie lubię tych spraw odkładać. Mimo że Bobby nie żył, zamierzałam pisać regularne sprawozdania i przedkładać co jakiś czas rachunki, choćby tylko dla siebie. Włożyłam jego teczkę z powrotem do szuflady i porządkowałam właśnie biurko, kiedy usłyszałam stukanie do drzwi i Derek Wenner zajrzał do środka.

– Ach, jak się masz? – powiedział. – Miałem nadzieję, że cię tu zastanę.

– Cześć, Derek, wejdź, proszę.

Stał przez chwilę niezdecydowany, omiatając spojrzeniem zawartość mojego niewielkiego biura.

– Jakoś nie mogłem sobie tego wyobrazić – powiedział. – Fajne. To znaczy małe, ale wystarczające. Co tam z pudełkiem Bobby’ego? Dopisało ci szczęście?

– Jeszcze nie miałam okazji przyjrzeć mu się z bliska. Zajmowałam się czymś innym. Czemu nie usiądziesz?

Przysunął sobie krzesło i usiadł, rozglądając się wokół. Miał na sobie koszulę do golfa, białe spodnie i dwukolorowe buty.

– A więc tak tu jest.

Była to jego wersja lakonicznej pogawędki. Usiadłam i pozwoliłam mu pomruczeć przez chwilę. Wyglądał na niespokojnego i nie wyobrażałam sobie, co go do mnie sprowadziło. Pomrukiwaliśmy do siebie, demonstrując dobrą znajomość. Widziałam się z nim nie dalej niż kilka godzin wcześniej i nie mieliśmy za bardzo o czym z sobą mówić.

– Jak się czuje Glen? – zapytałam.

– Dobrze. – Skinął głową. – Całkiem dobrze. Boże, wolę nie myśleć, przez co przeszła, ale wiesz, że twarda z niej sztuka. – Mówił tonem powątpiewania, jakby nie był absolutnie pewny, czy to prawda.

Przełknął ślinę, zmieniając ton.

– Powiem ci, po co wpadłem – powiedział. – Prawnik Bobby’ego zadzwonił do mnie niedawno, by porozmawiać w sprawie jego testamentu. Czy znasz Vardena Talbota?

– Nigdy się nie spotkaliśmy. Przysłał mi kopię raportów na temat wypadku Bobby’ego, ale na tym się skończyło.

– Bystry gość – powiedział Derek.

Grzął w temacie. Pomyślałam, że trzeba go ponaglić, bo w przeciwnym razie zabierze to cały

dzień.

– No i co miał do powiedzenia?

Mina Dereka stanowiła przedziwną kombinację niepokoju i niedowierzania.

– Cóż, to rzecz zdumiewająca – mówił. – Z tego, co powiedział, moja córka odziedziczyła większą część pieniędzy Bobby’ego.

W ciągu sekundy obliczyłam, że córką, o której wspomniał, jest Kitty Wenner, ćpunka, obecnie przebywająca na oddziale dla psychicznie chorych u Świętego Terry’ego.

– Kitty? – zapytałam.

Poruszył się na krześle.

– Oczywiście, sam byłem zaskoczony. Z tego, co mówi Varden, Bobby sporządził testament. Kiedy trzy lata temu otrzymał majątek, już wtedy zapisał wszystko Kitty. W jakiś czas po wypadku dodał kodycył, by pewną część sumy dostali także rodzice Ricka.

Miałam zamiar wykrzyknąć „Rodzice Ricka?!”, jakbym cierpiała na echolalię, ale trzymałam buzię na kłódkę i pozwoliłam mu kontynuować.

– Glen wróci bardzo późno, więc jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy. Chyba rano będzie chciała porozmawiać z Vardenem. Powiedział, że sporządzi kopię testamentu i prześle ją do domu. Ma zamiar poświadczyć jego prawomocność.

– Czy powiadamiano o tym kogoś wcześniej?

– O ile mi wiadomo, tak. – Gadał i gadał, podczas gdy ja starałam się wydumać, co to wszystko znaczy. Pieniądze jako motyw zawsze wydają się oczywiste. Dowiedzieć się, kto skorzysta finansowo i zacząć z tego punktu. Kitty Wenner. Phil i Reva Bergen.

– Przepraszam – powiedziałam, ucinając mu w pół słowa. – A w ogóle to o jakiej sumie mówimy?

Derek przerwał, by pogłaskać się dłonią po brodzie, jakby zastanawiał się, czy nie pora się już ogolić.

– Hm, ze sto tysięcy dla rodziców Ricka i, do diaska, sam nie wiem. Kitty chyba dostanie ze dwie bańki. No ale z tego trzeba odliczyć podatek od spadków...

Wszystkie zera zaczęły tańczyć w mojej głowie jak śliwki w cukrze. „Sto tysięcy” i „dwie bańki”, jak sto tysięcy dolarów i dwa miliony. Siedziałam i mrugałam. Dlaczego przyszedł, żeby mi o tym opowiedzieć?

– Jest w tym jakiś haczyk? – zapytałam.

– Co?

– Po prostu zastanawiam się, dlaczego mi o tym mówisz. Czy są jakieś problemy?

– Obawiam się trochę o reakcję Glen. Sama wiesz, co myśli o Kitty.

Wzruszyłam ramionami.

– To były pieniądze Bobby’ego, mógł z nimi zrobić, co chciał. Jak Glen może to kwestionować?

– Chyba nie sądzisz, że podważy wiarygodność testamentu?

– Derek, ja nie mogę spekulować, jak może zachować się Glen. Sam z nią porozmawiaj.

– Zrobię tak, kiedy przyjedzie.

– Zakładam, że pieniądze ulokowano w jakimś funduszu powierniczym, skoro Kitty ma dopiero siedemnaście lat. Kogo wyznaczono na wykonawcę? Ciebie?

– Nie, nie. Bank. Wątpię, czy Bobby miał o mnie tak wygórowane mniemanie. Niepokoję się trochę, jak to wszystko może wyglądać. Bobby twierdzi, że ktoś usiłuje go zabić, a potem okazuje się, że Kitty dziedziczy wszystkie pieniądze, kiedy ten umiera.

– Jestem pewna, że policja zechce z nią pogadać.

– Ale ty nie wierzysz, że miała coś wspólnego z wypadkiem Bobby’ego, nieprawdaż?

Ach, cały podtekst tej wizyty. Powiedziałam:

– Tak szczerze? Nie bardzo w to wierzę, ale wydział zabójstw może mieć na to odmienny pogląd. Przy okazji mogą przyjrzeć się tobie.

– Mnie?! – Był co najmniej zdziwiony.

– A jeśli coś przydarzy się Kitty? Kto wtedy otrzyma pieniądze? Szczerze mówiąc, dziewczyna nie tryska zdrowiem.

Spojrzał na mnie niechętnie, prawdopodobnie żałując, że w ogóle przychodził. Musiał mieć słabą nadzieję, że mogę go pocieszyć. Zamiast tego wzmocniłam jedynie fundament jego niepokojów. Zakończył rozmowę i wstał, mówiąc, że pozostanie w kontakcie. Kiedy zmierzał do wyjścia, zauważyłam, że koszula lepi mu się do pleców; w jego pocie wyczułam napięcie.

– Ach, Derek! – zawołałam za nim. – Czy mówi ci coś nazwisko Blackman?

– Pierwsze słyszę. A co?

– Tak z ciekawości. Jestem wdzięczna, że wpadłeś – powiedziałam. – Jeśli czegoś się dowiesz,

proszę, daj mi znać.

– Z pewnością.

Skoro tylko wyszedł, zadzwoniłam bezzwłocznie do swojego przyjaciela w firmie telekomunikacyjnej, pytając o S. Blackman. Zapewnił, że zajmie się tym i oddzwoni. Zeszłam na parking i wywlokłam pudło, które zabrałam z garażu Bobby'ego. Gdy wróciłam do biura, sprawdziłam zawartość, wyjmując po kolei poszczególne przedmioty: dwa podręczniki do radiologii, jakieś druki medyczne, spinacze do papieru, długopisy, notatniki. Nie dostrzegłam nic godnego uwagi. Odniosłam więc karton z powrotem do samochodu z przekonaniem, że przy najbliższej sposobności podrzucę go do domu Bobby'ego.

Do czego się teraz zabrać? Nic nie przychodziło mi do głowy.

Pojechałam do domu.

Zajeżdżając na parking, przyłapałam się na lustrowaniu chodnika w poszukiwaniu Lili Sams. Jak na kobietę, z którą widziałam się trzy, cztery razy w życiu, napawała mnie dużym lękiem, burząc wszelkie poczucie bezpieczeństwa, jakie przywykłam łączyć z pojęciem „dom”. Po zamknięciu auta przeszłam na tylne podwórko, zerkając na okna Henry'ego, by przekonać się, czy jest w domu. Tylne drzwi były otwarte i wyczułam ostrą woń drożdży i cynamonu, dobiegającą zza przesłony. Zerknąwszy do środka, zauważyłam Henry'ego, siedzącego przy stole, na którym znajdowała się filiżanka kawy i popołudniowe wydanie gazety.

– Henry?

Spojrzał na mnie.

– No cóż, Kinsey, nareszcie jesteś. – Podeszedł i odsunął przesłonę, przytrzymując ją dla mnie. – Wejdz, wejdz. Napijesz się kawy? Za moment pojawią się słodkie bułeczki.

Weszłam z obawą, ciągle spodziewając się, że Lila Sams wyskoczy niczym tarantula.

– Nie chciałabym przeszkadzać. Czy zastałam Lilę?

– Nie, nie. Musiała zająć się jakimiś sprawami, ale o szóstej powinna wrócić. Zabieram ją dzisiaj na obiad. Mamy rezerwację w Crystal Palace.

– Och, to robi wrażenie – powiedziałam.

Henry podsunął mi krzesło i kiedy się rozglądałam, nalał mi kawy. Lila najwidoczniej wtrąciła tu swoje trzy grosze. Zasłony były nowe: bawełniane w kolorze awokado, z nadrukiem solniczek i pieprzniczek, pęczków warzyw, drewnianych łyżek – spięte zielonymi wstążkami. Wystrój uzupełniały serwetki i obrusik pod kolor oraz dodatki w kontrastującym odcieniu dyni. Obok na stole stał nowy, metalowy trójnóg z miłym sloganem ułożonym z kwiecistych esów-floresów. Wydawało mi się, że napis głosi: „Boże, błogosław nasze biszkopty”, ale musiałam się mylić.

– Widzę, że urządziłaś sobie kuchnię – zaczęłam rozmowę.

Rozpromienił się i rozejrzał.

– Podoba ci się? To pomysł Lili. Mówię ci, ta kobieta odmieniła moje życie.

– To dobrze. Miło słyszeć – powiedziałam.

– Przez nią czuję się... Sam nie wiem, witalnie to chyba dobre określenie. Chciałbym zacząć wszystko od nowa.

Zastanawiałam się, czy ma zamiar pominąć milczeniem fakt, że oskarżyła mnie o oszustwo. Wstał i otworzył drzwiczki do piekarnika, sprawdzając stan słodkich bułeczek i dochodząc do wniosku, że muszą się jeszcze trochę podpiec. Wsunął je z powrotem i zatrzasnął piekarnik, nie zdejmując pomarańczowej rękawicy, kojarzącej się z boksem.

Wierciłam się niespokojnie na stołku.

– Myślałam, że może powinniśmy porozmawiać na temat oskarżeń Lili dotyczących czynszu.

– Och, tym się nie przejmuj – pocieszył. – Coś ją wtedy napadło.

– Ale Henry, nie chciałabym, żebyś myślał, że cię oszukuję. Nie sądzisz, że powinniśmy załatwić tę sprawę?

– Nie. To bzdury. Nie sądzę, żebyś mnie oszukiwała.

– Ale ona tak sądzi.

– Nie, nie, wcale nie. Źle zrozumiałaś.

– Źle zrozumiałam?

– Wiesz, to wszystko moja wina i przykro mi, że nie wyjaśniłem tego na poczekaniu. Lilę poniosło i sama o tym wie. Tak naprawdę jestem przekonany, że zamierza cię przeprosić. Rozmawialiśmy o tym później długo i wiem, że czuła się źle. To nie ma z tobą osobiście nic wspólnego. Jest trochę drażliwa, ale jest też najmiłą kobietą, jaką można spotkać. Kiedy już do niej przywykniesz, zrozumiesz, jaka to cudowna osoba.

– Mam nadzieję – zauważyłam. – Zaniepokoiło mnie, że posprzeczały się z Rosie i potem się na mnie wyżyła. Nie wiedziałam, co się dzieje.

Henry zaśmiał się.

– No cóż, nie brałbym tego na poważnie. Znasz Rosie. Sprzecza się z każdym. Lila jest w porządku. Ma serce ze złota i jest tak lojalna jak szczeniaczek.

– Po prostu nie chcę, abyś popadł w jakieś tarapaty – oświadczyłam. Jedno z tych powiedzeń, które właściwie nic nie znaczą, ale jakoś wydają się pasować.

– Już ty się o to nie kłopotcz – odrzekł łagodnie. – Bywałem tu i ówdzie, no wiesz, a jeszcze nigdy nie popadłem w tarapaty.

Ponownie obejrzał słodkie bułeczki, tym razem wykładając je z piekarnika na trójnog, by ostygły. Popatrzył na mnie.

– Nie było okazji, by ci powiedzieć. Mamy zamiar zawrzeć transakcję dotyczącą nieruchomości.

– Naprawdę?

– Oto dlaczego poruszony został temat twojego czynszu. Przychody z wynajmu wpływają na całościową wartość nieruchomości i to był główny powód. Powiedziała, że nie ma najmniejszego zamiaru wtrącać się w układy między nami. Jest nieubłagana, kiedy chodzi o interesy, ale nie chciała się mieszać.

– Jaki rodzaj transakcji?

– Jest właścicielem pewnych nieruchomości, które chce zastawić, a po dorzuceniu mojego domu wystarczy na zaliczkę na nieruchomość, którą sobie wybierzemy.

– Coś w mieście?

– Nie powinienem wyjawiać. Kazała mi przysiąc, że będę milczał. Ale to jeszcze nic pewnego i wszystko ci opowiem, gdy podpiszemy umowę. Jeszcze jakieś dwa dni. Musiałem przysiąc, że nie puszcę pary z ust.

– Nie rozumiem – powiedziałam. – Sprzedajesz dom?

– Nie jestem w stanie ogarnąć szczegółów. Jak dla mnie, są zbyt skomplikowane – wyznał.

– Nie sądziłam, że Lila zajmuje się handlem nieruchomościami.

– Och, para się tym od lat. Była żoną jakiejś grubej ryby w Nowym Meksyku, a kiedy jej mąż umarł, odziedziczyła spory majątek. Ma z czego żyć. Mówi, że inwestycje w nieruchomości traktuje prawie jak hobby.

– Więc pochodzi z Nowego Meksyku? Bo ktoś mi mówił, że przyjechała z Idaho.

– Ona mieszkała wszędzie. Z natury jest cyganką. Nawet mnie w to wciąga. No wiesz, chce, żebym odjechał w kierunku zachodzącego słońca. Z Biblią i mapą Stanów. Żebym podążył tam, gdzie szlak mnie zaprowadzi. Czuję się, jakby dodała mi dwadzieścia lat życia.

Chciałam wypytać go bardziej szczegółowo, ale usłyszałam „Ju-huu” Lili przy drzwiach i ukazała się jej twarz ozdobiona girlandami eleganckich loków. Gdy mnie spostrzegła, przyłożyła dłoń do

policzka, udając skrępowanie.

– Och, Kinsey, założę się, że wiem, co tu robisz – powiedziała. Weszła do kuchni i znieruchomiła na moment, splatając przed sobą dłonie, jakby chciała paść na kolana i odmówić modlitwę. – Ani słowa, nim dokończę – ciągnęła. Powstrzymała się jednak, spoglądając na Henry’ego. – Och, Henry, powiedziałeś jej chyba, jak mi było przykro, że tak na nią naskoczyłam. – Używała specjalnego „głosiku”.

Henry objął ją ramieniem i uściskał.

– Wyjaśniłem już wszystko i jestem pewny, że zrozumiała – powiedział. – Nie chcę, żeby cię to dłużej gryzło.

– Ale mnie to gryzie, Puddy, i nie poczuję się dobrze, dopóki sama jej tego nie powiem.

Puddy?

Podeszła do mnie i ujęła moją prawą dłoń, ściskając ją mocno.

– Tak mi przykro. Przyjmij moje przeprosiny za to, co powiedziałam. Proszę o wybaczenie. – Jej głos był pełen skruchy i przypuszczałam, że Puddy wszystko łyknie.

Przeszywała mnie baczным spojrzeniem i kilka z jej pierścieni wżarło się w moje palce dość boleśnie. Przekręciła je najwidoczniej, by kamienie skierowane były do wnętrza dłoni, wywołując maksymalny efekt przy zaciśnięciu ręki.

Powiedziałam:

– Och, nie ma sprawy. Nie myśl już o tym. Bo ja nie będę.

Aby jej pokazać, jaka ze mnie cegła, wstałam i objęłam ją lewym ramieniem, podobnie jak przed chwilą Henry. I podobnie jak on uścisnęłam Lilę delikatnie, przydeptując palec jej lewej stopy i przechylając się lekko do przodu. Odsunęła się ode mnie, lecz zdołałam utrzymać stopę w tym samym miejscu, tak że stałyśmy biodro w biodro. Przez moment zwarłyśmy się spojrzeniami. Obdarzyła mnie słodkim uśmiechem, po czym rozluźniła uchwyt. Uwolniłam jej stopę, ale dopiero wtedy, gdy dwa nieduże rumieńce, niczym płatki róży, wykwitły na jej policzkach.

Puddy wyglądał na zadowolonego, że doszło między nami do porozumienia, ja też się cieszyłam. Po chwili pożegnałam się i wyszłam. Lila przestała na mnie patrzeć i dostrzegłam, jak siada gwałtownie i zsuwa but.

Po powrocie do mieszkania nalałam sobie kieliszek wina, potem zrobiłam kanapkę z ciemnego pieczywa, na białym serze układając plasterki cebuli i ogórka. Przekroiłam ją na dwie części i używając papierowego ręcznika, służącego za ścierkę i talerz zarazem, zaniosiłam ją wraz z winem do łazienki. Uchyliłam okienko i jadłam, stojąc w wannie, od czasu do czasu wyglądając na zewnątrz, by zobaczyć, czy Henry i Lila wychodzą na swój umówiony obiad. O szóstej czterdzieści pięć wysunęli się zza narożnika budynku i Henry otworzył samochód, uchylając dla niej drzwi po stronie pasażera. Z ulgą powróciłam do pozycji wyprostowanej – schyliłam głowę, aby mnie nie dostrzegli – gdy usłyszałam, że samochód odjeżdża.

Po chwili byłam już po obiedzie, a ze zmywaniem talerzy nie miałam problemu, zwinęłam jedynie papierowy ręcznik i wrzuciłam do śmieci. Rozpierała mnie przy tym duma. Wymieniłam sandały na tenisówki, zabrałam pęk wytrychów, druciki, scyzoryk i latarkę, a w jakiś czas potem zjawiłam się pod drzwiami domu Mozy Lowenstein, gdzie nacisnęłam dzwonek. Zmieszana wyjrzała na mnie przez boczne okno, następnie otworzyła drzwi.

– Nie miałam pojęcia, kto to może być o tej porze – powiedziała. – Myślałam, że to Lila wraca po jakąś zapomnianą rzecz.

Nieczęsto odwiedzam Moze i byłam pewna, że łamała sobie głowę, co też ja mogę robić pod jej drzwiami. Odsunęła się i wpuściła mnie do środka, uśmiechając się nieśmiało. Telewizor nastawiono na powtórkę „M.A.S.H.”, helikoptery wzniecały kłęby kurzu.

– Pomyślałam, że przeprowadzę drobny wywiad środowiskowy na temat Lili Sams – powiedziałam, a „Suicide Is Painless” brzmiało wesoło w tle.

– Ach, ale ona dopiero co wyszła. – Moza rzekła pośpiesznie. Zaświtało jej właśnie, że przybyłam w jakimś złym zamiarze, i miała nadzieję, że się mnie pozbędzie.

– Czy to jej pokój? – zapytałam, przesuwając się do korytarza.

Wiedziałam, że sypialnia Mozy znajduje się na końcu holu po lewej stronie. Przypuszczałam, że Lila rezyduje w dawnym „zapasowym” pokoju.

Moza ruszyła ociężale w ślad za mną. To duża kobieta, cierpi na jakiś uraz, przez który puchną jej stopy. Wyraz jej twarzy był wypadkową bólu i oszołomienia.

Chwyciłam za gałkę. Drzwi Lili były zamknięte.

– Nie można tam wejść.

– Naprawdę?

Teraz przestraszyła się nie na żarty. Wcale nie pocieszył jej widok wytrycha wędrującego do dziurki od klucza. Zamek był zwyczajny, wymagał jedynie prostego, uniwersalnego klucza, których kilka uwiązałam na kółku.



– Nie rozumiesz – znowu podjęła. – Są zamknięte.

– Wcale nie, widzisz? – otworzyłam drzwi i Moza położyła rękę na sercu.

– A jeśli przyjdzie? – zapytała łamiącym się głosem.

– Moza, ja nie zamierzam niczego zabierać – oświadczyłam. – Będę pracować z wielką ostrożnością i nigdy nie połapie się, że tu byłam. Może byś usiadła w salonie i miała oczy otwarte, tak na wszelki wypadek? Okay?

– Będzie się pieklić, gdy się dowie, że cię wpuściłam – nie ustępowała. Jej oczy wyglądały teraz żałośniej niż oczy jamnika.

– Ale ona się nie dowie, zatem nie ma się czego obawiać. A tak przy okazji, dowiedziałaś się, z jakiego miasteczka w Idaho pochodzi?

– Powiedziała mi, że z Dickey.

– Świetnie. Doceniam to. Nigdy nie wspomniała, że mieszkała w Nowym Meksyku?

Moza potrząsnęła głową i zaczęła uderzać się w klatkę piersiową, jakby wyznawała grzechy.

– Tylko proszę, pośpiesz się – powiedziała. – Bo nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nadeszła.

Sama nie wiedziałam.

Wkradłam się do pokoju i zamknęłam drzwi, włączając światło. Po drugiej stronie usłyszałam, jak Moza idzie, powłócząc nogami, w stronę wyjścia i mamrocze coś do siebie.

Pokój wyposażono w stary komplet sypialniany, wyłożony drewnopodobną okleiną, raczej nie zaliczyłabym go do antyków. Meble przypominały te wystawiane na chodniki przed sklepami z tandetą w śródmieściu Los Angeles: skrzypiące, wykoślawione, dziwnie pachnące świeżym jesionem. Stała tam bielizniarka, nocne stoliki, toaletka z okrągłym lustrem wciśniętym między piętra szufladek. Łóżko było rozpięte na metalowej ramie, pomalowanej na śnieżnobiały kolor. Narzucono na nie kordonkową kapę w kolorze przybrudzonego różu, z frędzelkami po bokach. Tapety pokrywały roje kwiecistych bukietów, purpurowych i czerwonych na szarym tle. Zauważyłam kilka sepiowych fotografii jakiegoś mężczyzny, chyba pana Lowensteina; w każdym razie kogoś, kto lubił skrapiać wodą swe włosy i nosić okulary w okrągłych, złotych oprawkach. Wyglądał na dwadzieścia kilka lat, ogolony, przystojny, poważny, nie ukazywał w uśmiechu lekko wystających zębów. W atelier przyprószono jego policzki różem, co dziwnie komponowało się z resztą zdjęcia, ale efekt był miły. Podobno Moza owdowiała w 1945 roku. Z przyjemnością zobaczyłabym jej zdjęcie z tamtych czasów. Niechętnie przystąpiłam do pracy.

Trzy małe okienka zamknięto od wewnątrz, zasunięto też zasłony. Przysunęłam się i wyjrzałam zza jednej z nich, poprzez siatkę na owady, rozpiętą na pordzewiałej ramce i przytwierdzoną do starej drewnianej okiennicy. Rzuciłam okiem na podwórko za domem. Sprawdziłam godzinę. Dopiero dochodziła siódma. Zgodnie z moim wyliczeniem została mi przynajmniej godzina. Wątpiłam, czy

będzie mi potrzebne wyjście awaryjne, ale przeczony zawsze ubezpieczony. Wróciłam do drzwi i uchyliłam je. Moza wyłączyła telewizor i wyobrażałam sobie, jak zerka zza zasłony frontowego okna, z duszą na ramieniu, czyli mniej więcej tam, gdzie znajdowała się moja.

Na zewnątrz wciąż było widno, jednak pokój tonął w półmroku, pomimo latarni ulicznej.

Zaczęłam od bieliźniarki. Przeprowadziłam wstępne badanie, używając latarki do ewentualnego wychwycenia prymitywnych prób zabezpieczeń. No jasne, Lila podminowała kilka szufladek, chytrze wciskając włos w niektóre szczeliny. Usunęłam te cudeńka i położyłam ostrożnie na ręcznie wyszywanej serwetce.

Pierwsza z szufladek zawierała zbiór świecidełek, kilka pasków zwiniętych razem, ozdobne chusteczki, oprawkę do zegarka, trochę guzików, spinki do włosów, dwie pary białych, bawełnianych rękawiczek. Przez dłuższą chwilę wpatrywałam się tylko, niczego nie dotykając, zastanawiałam się, dlaczego cokolwiek z tego zestawu wymaga zabezpieczenia włosom. Tak naprawdę każdy buszujący w rzeczach Lili zacząłby tutaj i posuwałby się w dół, a więc może włos stanowił miernik stanu całości, który sprawdzała po każdorazowym wejściu do pokoju. Spróbowałam z następną szufladką, którą wyłożono zgrabnymi stosikami nylonowych nieco staromodnych majtek. Rutynowo przebiegłam między nimi palcem, uważając, by nie naruszyć porządku. Nie wyczułam niczego nadzwyczajnego; żadnej broni, żadnych niezidentyfikowanych pudełek czy zgrubień.

Pod wpływem impulsu powtórnie otworzyłam pierwszą szufladkę i spojrzałam na jej dno. Niczego tam nie przyklejono. Wyciągnęłam całość na zewnątrz i sprawdziłam tył. Eureka! Punkt dla mojej drużyny. Znalazłam kopertę w plastikowej oprawce, płasko przyklejoną do tyłu szufladki i ze wszystkich czterech stron oklejona taśmą maskującą. Wyciągnęłam scyzoryk i wślizgnęłam niewielkie ostrze pod jeden z rogów taśmy, odklejając go, bym mogła uwolnić kopertę z plastikowej obwoluty. Wewnątrz znajdowało się prawo jazdy z Idaho, wystawione na nazwisko Delilah Sampson. Rzeczywiście, kobieta miała biblijne poczucie humoru. Zanotowałam adres, datę urodzenia, wysokość, wagę, kolor oczu i włosów; większość tych szczegółów pasowała do kobiety znanej mi jako Lila Sams. Boże, naprawdę trafiłam w dziesiątkę. Prawo jazdy włożyłam z powrotem do koperty, którą następnie umieściłam w schowku, uważnie dociskając taśmę do drewna. Przyjrzałam się krytycznie mojemu dziełu. Dla mnie wszystko wyglądało nietknięte, chyba że jakimś specjalnym proszkiem posypała całość, który przy pierwszym kontakcie z wodą zabarwi moje ręce na jaskrawą czerwień. A to by była heca!

Następną szufladkę również wykorzystano jako miejsce depozytu. Znalazłam w niej kolekcję kart kredytowych i drugie prawo jazdy. Tym razem nazwisko brzmiało Delia Sims, adres wskazywał na Las Cruces w Nowym Meksyku, data urodzenia była taka sama. Z tym dokumentem postąpiłam podobnie jak z poprzednim. Wsunęłam szufladkę, patrząc przelotnie na zegarek. Siódma trzydzieści dwie. Na razie nic mi nie groziło, ale pozostało jeszcze sporo do przeszukania. Posuwałam się z wyczuciem naprzód, pozostawiając zawartość każdej z szufladek w nienaruszonym stanie. Kiedy uporałam się z bieliźniarką, w szczeliny między szufladkami zatknęłam dwa wcześniej usunięte włosy.

Toaleta nie ujawniła nic nadzwyczajnego, również stoliki przy łóżkach. Pomyszkowałam w szafie,

sprawdzając kieszenie płaszczy, walizki, torebki, pudełka po butach – jedno nadal zawierało paragon za czerwone szpilki, które Lila miała na sobie przy pierwszym naszym spotkaniu. Do paragonu przypięto wypisek z karty kredytowej i oba te świstki schowałam do kieszeni, do późniejszej analizy. Pod łóżkiem nie było nic, podobnie jak za bieliźniarką. Zaczęłam się właśnie rozglądać, czy czegoś nie pominęłam, kiedy dobiegł mnie z salonu jakiś szczególny świergot.

– Kinsey, wrócili! – Moza lamentowała ochryplym ze zgrozy głosem. Na ulicy trzasnęły drzwi samochodu.

– Dzięki – powiedziałam.

Adrenalina przepływała przeze mnie niczym woda przez kanał burzowy i mogłam przysiąc, że serce bębni mi o kamizelkę jak na kreskówce dla dzieci. Rozejrzałam się pośpiesznie po pokoju. Wydawało się, że wszystko jest w porządku. Wymknęłam się na zewnątrz, zatraskując za sobą drzwi i wyciągając z kieszeni spodni pęk wytrychów. Latarka. Cholera! Zostawiłam ją na toalecie!

Rozległy się szmery przy wejściu. Lila i Henry. Moza grała na zwłokę, pytając o obiad. Pchnęłam drzwi i na palcach pokłusowałam do toaletki, złapałam latarkę i dałam susa, cicho jak gazela, z powrotem w stronę drzwi. Latarkę wcisnęłam pod pachę, modląc się jednocześnie, bym wkładała do zamka właściwy klucz. Skręć w lewo i usłyszałam, że zasuwka zachodzi w otwór. Cicho wyjęłam klucz trzęsącymi się dłońmi, uważając, by wytrychy nie zadzwoniły o siebie hałaśliwie. Spojrzałam przez ramię, myśląc nad sposobem ucieczki.

Nieopodal na prawo wycięto półkoliście wejście do salonu. Na samym końcu znajdowała się sypialnia Mozy. Po lewej ręce miałam alkowę z telefonem, garderobę, łazienkę i kuchnię, z widocznym w głębi przejściem do jadalni. Z kolei jadalnia łączyła się z salonem. Jeśli pójdą tą drogą, to – zgadywałam – przejdą wprost wejściem po mojej prawej stronie. Dwoma susami odskoczyłam w lewo i wpadłam do łazienki. Od razu pojęłam swój błąd. Powinnam była wybrać kuchnię, z wyjściem na zewnątrz. A tak dostałam się w ślepy zaułek. Tuż obok znajdowała się osobna kabina prysznicowa, z matowymi, szklanymi drzwiami, za nią wanna. Na prawo miałam umywalkę, a trochę dalej ubikację. Zapewne od lat nie otwierano jedyne małego okienka w pomieszczeniu. Głosy przybrały na sile i wkrótce Lila znalazła się w holu. Czmychnęłam pod prysznic, zamykając za sobą drzwi. Nie śmiałam ich ryglować. Wiedziałam, że specyficzny, metaliczny dźwięk rozlegnie się wyraźnie, ostrzegając ją o mojej obecności. Odłożyłam latarkę i przytrzymałam drzwi, przyciskając palce do kafelków. Przykucnęłam myśląc, że jeżeli ktoś wejdzie, mniej będę rzucać się w oczy. Na korytarzu wciąż buczały głosy i usłyszałam, jak Lila otwiera drzwi do swej sypialni.

Pod prysznicem nadal było mokro, bo niedawno go używano; czułam zapach mydła Zest. Z przewieszzonego przez kurek od zimnej wody ręcznika co jakiś czas kapało mi na ramię. Wyteżałam słuch, lecz na próżno. W podobnych sytuacjach dobrze znać zen. W przeciwnym razie bolą cię kolana, mięśnie nóg ogarniają skurcze i w krótkim czasie tracisz wszelką chęć do zachowania ostrożności, pragnąc jedynie wyskoczyć z krzykiem, bez względu na konsekwencje. Dotknęłam twarzą prawego ramienia, starałam się zachować jak najciszej. W ustach czułam ciągle smak cebuli z mojej kanapki. Marzyłam, by je przepłukać. Chciało mi się też siusiu. Miałam nadzieję, że mnie nie złapią: czułabym się jak osioł, gdyby Lila bądź Henry po otwarciu drzwi prysznicowa znaleźli mnie tu skuloną. Nawet nie dbałam o wymówkę, ponieważ nie istniała.

Podniosłam głowę. Głosy na korytarzu. Lila wyszła z pokoju i zamknęła go za sobą. Może wpadła tylko po to, żeby przekonać się, czy nie ruszono włosów? Zastanawiałam się, czy nie powinnam była zarekwirować duplikatów praw jazdy, kiedy miałam sposobność. Nie, lepiej, że zostały.

Nagle otworzyły się drzwi do łazienki i głos Lili odbił się echem od ścian, jakby płynął z głośnika. Poczułam się, jakbym wskoczyła pod lód – tak gwałtownie zabiło mi serce. Stała obok kabiny prysznic, jej pulchna sylwetka rysowała się niewyraźnie na tle matowego szkła. Zacisnęłam powieki jak dziecko marzące o czapce niewidce.

– Zaraz wychodzę, słodziutki – wyśpiewała tuż przy mnie.

Podeszła do muszli. Usłyszałam szelest jej poliestrowej sukienki i trzask paska, z którym się zmagala.

Boże, proszę – pomyślałam. – Nie pozwól, by teraz miała ochotę na prysznic. Moje napięcie osiągnęło taki poziom, że odczuwałam przemożną ochotę kichnięcia, kaszlnięcia, chrząknięcia lub zachichotania. Usiłowałam wprowadzić się w stan hipnozy i czułam, jak pod pachami zbiera mi się wilgoć.

Lila spuściła wodę i przez całą wieczność zbierała się do wyjścia. Szelesty, trzaśnięcia, pstryknięcia. Umyła dłonie, kurek zaskrzypiał, gdy go przekręcała. Jak długo ma zamiar to jeszcze przeciągać? Wreszcie podeszła do drzwi łazienki, otworzyła je i znikła; odgłos kroków cichł, w miarę jak oddalała się w kierunku salonu. Gadka-szmatka, trele-morele, zduszony śmiech, odgłosy pożegnania i oto drzwi wyjściowe się zamknęły.

Czekałam dokładnie w tym samym miejscu, dopóki nie usłyszałam Mozy wołającej z holu:

– Kinsey, już poszli! Jesteś tam jeszcze?

Z ulgą wypuściłam powietrze i wstałam, chowając latarkę do tylnej kieszeni. To nie jest godny sposób zarabiania na życie – pomyślałam. Do licha, nawet mi za to nie płacą! Wyjrzałam z kabiny, sprawdzając, czy nie padam ofiarą jakiegoś przemyślnego wybiegu. W domu panowała cisza, nie licząc Mozy, która otwierała schowek na miotły, wciąż szepcząc:

– Kinsey? Kinsey?

– Tu jestem! – wrzasnęłam.

Wyszłam do holu. Moza nie złościła się na mnie, tak była uszczęśliwiona faktem, że nasz spisek się nie wydał. Wachlując się, przypadła do ściany. Pomyślałam, że lepiej się ulotnić, nim wrócą po coś jeszcze, odbierając kolejne dziesięć lat z mojego życia.

– Jesteś wspaniała – wyszeptałam. – Do końca życia mam u ciebie dług wdzięczności. Stawiam ci obiad u Rosie.

Przemknęłam przez kuchnię, zerknęłam ostrożnie zza drzwi, i dopiero wtedy odważyłam się wyjść na zewnątrz. Zapadł już zmrok, lecz zanim wynurzyłam się z cienia rzucanego przez dom Mozy,

upewniłam się, że na ulicy jest pusto. Następnie, śmiejąc się do siebie, pomaszerowałam do domu. Jak fajnie jest igrać z niebezpieczeństwem, myszkować po czyichś szufladach. Mogłam zajmować się włamywaniem do mieszkań, gdybym nie opowiedziała się wcześniej po stronie prawa. Jeśli chodzi o Lili, powoli zaczęłam przejmować kontrolę nad tą nieprzyjemną sytuacją i poczucie własnej siły dodawało mi otuchy. Nie wiedziałam, do czego zmierza, ale postanowiłam to wyjaśnić.

Kiedy znalazłam się już bezpiecznie w swoim mieszkaniu, wyciągnęłam paragon, który znalazłam w pudełku po butach Lili. Data wskazywała na 25 maja, a sklep mieścił się w Las Cruces. Na wypisku z karty kredytowej było napisane „Delia Sims”. W odpowiedniej rubryczce ktoś uprzejmie wpisał piórem numer telefonu. W książce telefonicznej wyszukałam kierunkowy do Las Cruces – 505. Podniosłam słuchawkę i wybrałam numer, namyślając się – kiedy wsłuchiwałam się w sygnał po drugiej stronie – co mam powiedzieć.

– Halo? – Męski głos. Średni wiek. Brak akcentu.

– Halo! – odparłam lekko. – Czy mogę mówić z Delią Sims?

Przez chwilę panowała cisza.

– Proszę się nie rozłączać.

Słuchawkę przykryto dłonią i w tle usłyszałam zduszoną rozmowę.

Najwyraźniej ktoś inny przejął telefon, gdyż nowy głos zapytał:

– W czym mogę pomóc?

Nie potrafiłam oszacować wieku tej kobiety.

– Delia? – zapytałam.

– A kto mówi? – W jej głosie wyczuwało się dystans, jakby otrzymała nieprzyzwoity telefon.

– Och, jakże mi przykro – powiedziałam. – Tu Lucy Stansbury. To nie ty, Delia? To chyba nie twój głos?

– Jestem przyjaciółką Delii. Chwilowo nie ma jej w domu. Czy jest coś, w czym mogłabym pomóc?

– Właściwie tak – odpowiedziałam, myśląc intensywnie. – Dzwonię z Kalifornii. Ostatnio spotkałam Delię, zostawiła kilka swoich rzeczy na tylnym siedzeniu mojego samochodu. Nie znam żadnego innego sposobu, by się z nią skontaktować, z wyjątkiem tego numeru, który był na paragonie za zakupy poczynione w Las Cruces. Czy jest wciąż w Kalifornii, czy też wróciła do domu?

– Jedną chwileczkę.

Znów dłoń na słuchawce i buczenie w tle. Kobieta podjęła rozmowę:

– Proszę zostawić swoje imię i numer telefonu. Zapewniam, że oddzwoni do pani.

– Jasne, doskonale – zgodziłam się. Ponownie podałam jej swoje imię, literując je pracowicie,

potem wymyśliłam numer telefonu z kierunkowym Los Angeles. – Chce pani, abym przesłała pocztą te rzeczy, czy żebym je przetrzymała? Kiepsko bym się czuła, gdyby nie wiedziała, gdzie się podziały.

– A co właściwie zostawiła?

– No cóż, większość to ubrania. Letnia sukienka, którą, o ile wiem, bardzo lubi, ale to chyba nic wielkiego. Mam jej pierścionek ze szmaragdem i diamentami – odparłam, opisując pierścień, który zauważyłam na palcu Lili pierwszego popołudnia w ogrodzie Henry’ego. – Czy spodziewa się pani, że wróci szybko?

Po sekundzie ciszy nadeszła cierpka odpowiedź kobiety:

– Kto mówi?

Odłożyłam słuchawkę. No to byłoby tyle, jeśli chodzi o wodzenie za nos ludzi w Las Cruces. Nie miałam pojęcia, jakie Lila ma plany, ale nie podobała mi się propozycja zamiany nieruchomości, którą złożyła Henry’emu. Tak był w nią zapatrzony, że mogła wmówić mu wszystko. I nie traciła czasu. Lepiej, żebym dotarła do sedna sprawy, nim go załatwi na cacy. Sięgnęłam do górnej szuflady po stosik pustych karteczek z notesu, a gdy kilka chwil potem rozdzwonił się telefon, podskoczyłam. Cholera, czy ktoś mógł namierzyć mnie tak szybko? Z pewnością nie.

Podniosłam ostrożnie słuchawkę, oczekując sygnału zamiejscowego połączenia. Nie było zamiejscowe.

– Halo?

– Pani Millhone? – Ten męski głos wydał mi się znajomy, choć na razie nie potrafiłam rozpoznać, do kogo może należeć. Muzyka tętniąca w tle zmuszała go do krzyku i zorientowałam się, że ja także krzyczę.

– Przy telefonie.

– Tu GUS! – wrzasnął. – Kolega Bobby’ego z wypożyczalni wrotek.

– Ach, to ty, cześć. Cieszę się, że zadzwoniłeś. Mam nadzieję, że masz dla mnie jakieś informacje. Potrzebuję pomocy.

– Myślałem o Bobbym i chyba tyle mu jestem winien. Źle zrobiłem, że nie powiedziałem wszystkiego od razu.

– Tym się nie przejmuj. Miło mi, że się ze mną skontaktowałeś. Chcesz spotkać się czy pogadać przez telefon?

– Wszystko jedno. Chciałem wspomnieć o jednej rzeczy. Nie wiem, czy to się przyda, ale Bobby dał mi ten notes z adresami, na który chciała pani zerknąć. Czy kiedykolwiek wspominał pani o nim?

– Jasne, że tak. Przewracam miasto do góry nogami, szukając tego notesu – powiedziałam. – Gdzie jesteś?

Dał mi adres na Granizo i przyrzekłam, że za chwilę tam będę. Odłożyłam słuchawkę, złapałam torebkę i kluczyki do auta.

W sąsiedztwie Gusa zainstalowano marne oświetlenie, a podwórka stanowiły płaskie skrawki gruntu, porośnięte z rzadka palmami. Parkujące wzdłuż krawężników samochody były głównie pomalowanymi farbą podkładową gablotami o niskich zawieszaniach, z łysymi oponami i złowieszczymi wklęsłościami. Mój volkswagen pasował do nich jak ulał. Mniej więcej co trzecią posiadłość ogrodzono świeżutką siatką, jakby trzymano tu w korralach nie wiadomo jakie zwierzęta. Gdy mijałam jeden z domów, usłyszałam, jak coś, co brzmiało groźnie i zadziornie, wyskakuje, szarpiąc łańcuch, i skowycząc ochryple z żalu, że nie może mnie dostać. Przyspieszyłam.

GUS mieszkał w drewnianym domku na dziedzińcu w kształcie litery „U”, otoczonym podobnymi domkami. Minęłam ozdobne wejście z numerem, wykutym w kształcie tęczy. Budynków było osiem, trzy po każdej stronie centralnej alejki i dwa na jej końcu. Wszystkie pomalowano na kremowo i nawet w ciemności wyglądały, jakby przyprószyła je sadza. Zidentyfikowałam mieszkanie Gusa, rozpoznając tę samą łomoczącą muzykę, którą słyszałam przez telefon. Im bliżej, tym mniej miło brzmiała. Jego zasłony składały się z narzut na łóżko rozpiętych na karniszu, gałkę u drzwi zrobiono z drewnianej szpulki na gwoździu. Musiałam poczekać na krótką przerwę między nagraniami, dopiero wtedy zastukałam we framugę. Muzyka zacharczała wściekle, lecz on najwyraźniej wychwycił moje pukanie.

– Yo! – zawołał.

Otworzył drzwi i wpuścił mnie do środka. Zrobiłam krok i uderzył mnie hałaśliwy rock i zatykający zapach kuwet.

– Nie możesz ściszyć tego cholerstwa?! – wrzasnęłam.

Skinął głową i podszedł do wieży, którą wyłączył.

– Przepraszam – rzekł skrzepowany. – Proszę usiąść.

Jego mieszkanie było na oko dwa razy mniejsze od mojego i stało w nim dwa razy więcej mebli. Lilipucie łóżko, sekretera laminowana hikorową okleiną, szafka z wieżą, uginające się półki z książkami, dwa tapicerowane krzesła z postrzępionymi bokami, grzejnik i jeden z tych segmentów wielkości stolika pod telewizor, które mieszczą zlew, kuchenkę i lodówkę. Łazienkę oddzielono od głównego pomieszczenia parawanem z materiału zawieszzonego na rozpiętym szpagacie. Dwie lampy przysłonięte czerwonymi ręcznikami frotte, które, przepuszczając zaledwie różową poświatę, tłumili światło dwustupięćdziesięciowatowych żarówek. Na obu krzesłach rozsiadły się koty, które dostrzegł jakby w tym samym momencie co ja.

Jedną ręką zebrał całą gromadkę kotów, jakby były starymi szmatami, i usiadłam na tak



przygotowanym miejscu. Kiedy tylko rzucił koty na łóżko, pobiegły na swe poprzednie stanowiska. Jeden z nich miętosił moje udo, jakby ugniatał ciasto na chleb, a potem zwinął się w kłębek, zadowolony ze swojej roboty. Kolejny wcisnął się obok mnie, a jeszcze jeden przycupnął na oparciu krzesła. Mierzyły się spojrzeniami, jakby szacując, kto okazał się najsprytniejszy. Były dobrze wyrosnięte i chyba pochodziły z tego samego miotu, gdyż wszystkie pyszniły się futerkami grubymi niczym skorupa żółwia i głowami rozmiaru piłki do softballu. Na drugim krześle leżały splecione razem jak skarpetki dwa dorosłe okazy, czarny i płowożółty. Szóste zwierzę wynurzyło się spod łóżka i stanęło, przebierając kolejno tylnymi łapami. GUS ze słabym uśmiechem obserwował tę kocia aktywność, rozpierała go duma.

– Czyż nie są wspaniałe? – zapytał. – Ci mali dranie nigdy mi się nie znudzą. W nocy wdrapują się na łóżko i okrywają mnie jak kołdra. Jeden śpi na poduszce z łapami w moich włosach. Kiedy tylko zechcę, całuję ich pyszczki. – Porwał jednego i przytulił jak dziecko, którą to czułość kot przyjął z zadziwiającą biernością.

– Ile ich masz?

– Obecnie sześć, ale Luci Baines i Lynda Bird są w ciąży. Nie wiem, co z tym zrobić.

– Może powinieneś dać je komuś? – zaproponowałam.

– Chyba tak zrobię, jeśli pojawi się cała gromadka. W znajdowaniu domów dla kotków jestem naprawdę dobry, one zawsze są takie słodkie.

Chciałam dodać, że również fajnie pachną, ale jak mogłam drwić z niego, kiedy miał takiego bzika na punkcie swojej hodowli. Wyglądał jak dzieło specja od portretów pamięciowych, wyobrażające zabójcę mordującego z pobudek seksualnych, a wygłupiał się z kolekcją udomowionych futrzaków.

– Chyba wcześniej powinienem o tym porozmawiać – mówił. – Nie wiem, co mnie napadło. – Podszedł do półki z książkami i przejrzał bałagan na górze, wreszcie wygrzebał niewielki notes, który mi wręczył.

Wzięłam go i przekartkowałam.

– Co jest w nim takiego szczególnego? Czy Bobby ci to wyjawiał?

– Nie. Tylko kazał go zatrzymać. Mówił, że to ważne, ale nic nie wyjaśniał. Domyślałam się, że to jakaś lista lub szyfr, jakiś rodzaj informacji, którą posiadał, ale nie wiem, o co chodzi.

– Kiedy go dostałeś?

– Dokładnie nie pamiętam. Na krótko przed wypadkiem. Wpadł tu pewnego dnia i dał mi notes prosząc, bym mu go jakiś czas przechował, więc się zgodziłem. Zupełnie o nim zapomniałem, dopóki pani się nie zjawiała.

Sprawdziłam pod literą „B”. Żaden Blackman tam nie figurował, ale na wewnętrznej stronie tylnej okładki znalazłam to nazwisko, pisane ołówkiem, z siedmiocyfrowym numerem obok. Nie dodano

kierunkowego, zatem prawdopodobnie numer był miejscowy; nie sądziłam, żeby pokrywał się z numerem telefonu S. Blackman, który wyszukałam w książce telefonicznej.

– Co wtedy mówił? – zapytałam. Wiedziałałam, że się powtarzam, ale miałam nadzieję znaleźć jakąś wskazówkę co do zamiarów Bobby’ego.

– Niewiele. Chciał, żebym go gdzieś dobrze schował. Pani też nie powiedział, prawda?

Potrząsnęłam głową.

– Nie mógł sobie przypomnieć. Wiedział, że to było ważne, ale nie miał pojęcia dlaczego. Czy obito ci się kiedyś o uszy nazwisko Blackman? S. Blackman? Jakikolwiek Blackman?

– Nie. – Kot zaczął się kręcić, więc puścił zwierzę na podłogę.

– Wiem, że Bobby zakochał się w kimś. Zastanawiam się, czy nie w tej S. Blackman.

– Jeśli tak, nic mi o tym nie mówił. Ze dwa razy spotkał się na plaży z jakąś kobietą. Na parkingu tuż przy szopie z wypożyczalnią.

– Przed wypadkiem czy później?

– Przed. Siedział w porsche, czekał, a ona podjechała obok i rozmawiali.

– Nigdy cię nie przedstawił ani nie wspominał, kto to taki?

– Wiem, jak wyglądała, ale nie wiem, jak się nazywa. Widziałem, jak raz wchodzili do kawiarni i była dziwnie zbudowana, wie pani? Trochę jak Munchkin. Nie mogłem tego zrozumieć. Bobby był przystojnym facetem i zawsze otaczał się naprawdę gorącymi lalkami, ale ona była żalosna.

– Zwiewne blond włosy? W wieku jakichś czterdziestu pięciu lat?

– Z bliska nie widziałem jej nigdy, ale włosy się zgadzają. Jeździ mercedesem, którego widuję od czasu do czasu. Ciemnozielony z beżową tapicerką. Wygląda na rocznik pięćdziesiąty piąty lub pięćdziesiąty szósty, ale jest w świetnym stanie.

Ponownie przejrzałam notes. Pod literą „D” widniał adres i numer telefonu Sufi.

Czyżby miał z nią romans? Wydawało się to wielce nieprawdopodobne. Bobby miał dwadzieścia trzy lata i był – jak przyznał GUS – przystojnym chłopakiem. Carrie St. Cloud wspominała coś o jakimś szantażu, ale jeśli Sufi padła jego ofiarą, dlaczego zwracała się o pomoc do Bobby’ego? Z pewnością nie chodziło tu o szantażowanie jego przez nią. Cokolwiek to było, dostarczyło mi punktu zaczepienia i byłam za to wdzięczna. Schowałam notes do torebki i spojrzałam w górę. GUS obserwował mnie z rozbawieniem.

– Boże, szkoda, że nie zobaczyła pani swojej twarzy. Naprawdę widziałem, jak kręcą się tryby – powiedział.

– Coś się wreszcie zaczyna układać i to mi się podoba. Słuchaj, bardzo mi pomogłeś. Jeszcze nie wiem, co to wszystko znaczy, ale uwierz mi, dowiem się.

– Mam nadzieję. Tak mi przykro, że z początku milczałem. Jeśli będę mógł jeszcze pomóc, proszę dać znać.

– Dzięki – odparłam. Zsunęłam kota z uda, wstałam i uścisnęłam dłoń Gusa.

Szłam do samochodu, otrzepując dzinsy i wyskubując kocie włosie. Dochodziła dziesiąta wieczór i powinnam właściwie wracać do domu, ale czułam się naładowana. Epizod u Mozy i nagłe odkrycie notesu Bobby’ego działały na mnie jak sterydy. Pragnęłam porozmawiać z Sufi. Może ją odwiedzę? Gdyby jeszcze nie spała, mogłybyśmy trochę pogawędzić. Próbowала mnie kiedyś zniechęcić do tego śledztwa i ciekawa byłam, o co jej chodziło.

Wjechałam w cień po drugiej stronie ulicy, przy Haughland Road, w samym sercu Santa Teresa. W przeważającej mierze mijane domy były dwukondygnacyjnymi budynkami z drewna i kamienia, z rozległymi podwórkami pełnymi jałowców i dębów. Na trawnikach pojawiały się wszędybylskie ostrzeżenia o systemach alarmowych, uprzedzające o bezgłośnym monitoringu i uzbrojonych ochroniarzach.

Podwórko Sufi ocieniała gęstwina gałęzi, całą jej posiadłość pokrywała gmatwanina krzewów, a wszystko ogradzał drewniany płotek z szerokich pali. Dom wyłożono cienkim, gontowym sidingiem, być może w jasnym odcieniu brązu lub zieleni, co trudno nocą określić. Żadne zewnętrzne oświetlenie nie rozjaśniało wąskiej werandy. Na podjeździe po lewej stronie parkował ciemnozielony mercedes.

Ta okolica należała do spokojnych. Chodniki i jezdnia były puste. Wsiadłam z samochodu i podeszłam do budynku. Z bliska zdałam sobie sprawę z masywności budowli, podobne do niej przekształcano ostatnio na lokale typu „łóżko i śniadanie” o dziwnych nazwach: The Guli and Satchel, The Blue Tern, The Quackery. Można spotkać je dzisiaj we wszystkich zakątkach miasta: odrestaurowane wiktoriańskie rezydencje o najdziwaczniejszych kształtach, gdzie za dziewięćdziesiąt dolców za noc można spać w łożu rozpiętym na konstrukcji ze sztucznego mosiądzu i powalczyć – następnego ranka – ze świeżo wypieczoną bagietką, rozsypując wyglądające na łupież okruszki.

Na oko domostwo Sufi stanowiło jednorodzinną posesję, choć nieco zaniedbaną. Może jak wiele samotnych kobiet w jej wieku osiągnęła ten etap, na którym nieobecność męża oznacza ciekące krany i dziurawe rynny. Samotna kobieta w moim wieku wyciągnęłaby żabkę lub drabinkę, czując tę rzadką radość, jaką sprawia samowystarczalność. Sufi pozwoliła, by jej posiadłość popadła w stan nieustannej usterkowości, i ciekawa byłam, co robi ze swymi dochodami. Sądziłam, że pielęgniarka na oddziale chirurgicznym zarabia sporo pieniędzy.

Po drugiej stronie znajdowała się oszklona weranda, której szyby odbijały szarobłękitne refleksy rzucane przez telewizor. Z mozołem pokonałam kilka pokruszonych betonowych schodków i zapukałam do drzwi. Po chwili na werandzie zapaliło się światło i Sufi wyjrzała zza zasłony.

– Cześć, to ja – powiedziałam. – Czy możemy porozmawiać?

Nachyliła się bliżej do szyby, rozglądając się wokół. Widocznie sprawdzała, czy nie towarzyszy mi banda rzezimieszków i wagabundów.

Otworzyła drzwi w pantoflach i szlafroku, którego wyłogi spinała pod szyją; jeden z rękawów owinał się jej wokół talii.

– O mój Boże, na śmierć mnie przestraszyłaś – usłyszałam. – Co tu robisz o tej porze? Czy coś się stało?

– Nie, nic. Przepraszam, że cię niepokoję. Byłam właśnie w okolicy, a muszę z tobą porozmawiać.

Czy mogę wejść?

– Miałam już iść spać.

– W takim razie możemy pogadać tu, na werandzie.

Obrzuciła mnie urażonym spojrzeniem, po czym niechętnie cofnęła się, bym mogła wejść. Była ode mnie niższa o pół głowy, a jej blond włosy tak bardzo zrzedły, że tu i ówdzie dostrzegłam prześwitującą skórę. Nie zaliczałam jej wcześniej do tego typu kobiet, które paradują w obcisłych atlasowych szlafrokach w kolorze brzoskwińowym i rannych pantoflach z puszystymi pomponami. Ubrała się ekstra! Chciałam zapytać, jak tam na Marsie, ale zrezygnowałam, bo mogła się obrazić.

Zaraz po wejściu zanotowałam w myślach szczegóły wyposażenia, by poddać je później analizie. Pomieszczenie było zagracone i dawno nie sprzątane, o czym świadczyły stosy brudnych naczyń, piętrzących się w różnych miejscach, zwiędłe kwiaty w wazonie i śmieci wypadające na podłogę z przepełnionego kosza. Woda na dnie wazonu, brunatna od glonów, musiała cuchnąć jak ostatnie stadium jakiejś choroby. Na poręczy fotela spoczywało zmięte celofanowe opakowanie; zauważyłam, że pałaszowała Ding-Dongi. „Reader’s Digest” leżał otwarty na otomanie. Mieszkanie pachniało jak pizza pepperoni, której kawałki wyśledziłam w pudełku na telewizorze. Ciepło z zespołu obwodów elektrycznych wciąż ją podgrzewało, zapach oregano i sera mozzarella mieszał się z odorem rozgrzanego kartonu. Boże, pomyślałam, kiedy ostatnio jadłam?

– Mieszkasz sama? – zapytałam.

Popatrzyła na mnie, jakbym przeprowadzała przesłuchanie w melinie.

– I co z tego?

– Zakładałam, że jesteś niezamężna. – I nagle oświeciło mnie, że nikt właściwie tego nie powiedział.

– Jest już późno, jak na śledztwo – burknęła opryskliwie. – Czego chcesz?

Czuję się taka wyzwolona, gdy inni zachowują się po chamsku. Staję się wtedy łagodna, leniwa i złośliwa. Uśmiechnęłam się do niej.

– Znalazłam notes Bobby’ego.

– Czemu mi to mówisz?

– Zastanawiam się nad związkiem, jaki was łączył.

– Nie łączył nas żaden związek.

– Słyszałam co innego.

– W takim razie źle słyszałaś. Oczywiście, że go znałam. Był jedynym dzieckiem Glen, a obie

jesteśmy od lat najlepszymi przyjaciółkami. Poza tym nie miałam z Bobbym wspólnych tematów.

– Wobec tego dlaczego musiałaś spotykać się z nim na plaży?

– Nigdy nie „spotykałam się” z Bobbym na plaży – parsknęła.

– Ktoś cię z nim widział więcej niż raz.

Zawahała się.

– No, może spotkaliśmy się raz czy dwa. Co w tym złego? W szpitalu też go odwiedzałam.

– Jestem tylko ciekawa, o czym rozmawialiście, to wszystko.

– Mówiliśmy o wielu rzeczach. – Zrozumiałam, że próbuje innej taktyki. Jej drażliwość częściowo znikła. Teraz postanowiła zauroczyć mnie swoją uprzejmością. – Boże, nie wiem, co się ze mną dzieje. Przykro mi, jeśli zabrzmiało to szorstko. Skoro tu jesteś, może usiądziesz? Mam trochę schłodzonego wina, jeżeli masz ochotę.

– Z przyjemnością, dzięki.

Opuściła pokój, niewątpliwie wdzięczna za okazję do wymówki i za czas na obmyślenie strategii zacierania śladów. Ja też się rozpromieniłam, gdyż nadarzyła się sposobność, by powęszyć trochę po kątach. Przyskoczyłam do fotela, żeby sprawdzić stojący za nim stolik. Jego blat zavalony był rzeczami, których nie chciałam dotykać. Wysunęłam szufladę. Wnętrze przypominało schowek na gospodarskie odpadki. Baterie, świece, przedłużacz, rachunki, wstążki, paczki zapalek, dwa guziki, przybornik do szycia, ołówki, stara poczta, widelec, pistolet do gwoździ, a wszystko pokryte warstwą kurzu. Usłyszałam dobiegający z kuchni dźwięk korka wyciąganego z butelki oraz brzęk kieliszków wyjmowanych z barku. Kieliszki znów zaczęły dzwonić, gdy wracała do pokoju. Zaniechałam dalszych poszukiwań, siadając niewinnie na oparciu kanapy.

Nie potrafiłam wymyślić żadnego komplementu na temat jej domu, bo dręczyła mnie myśl, że moja szczepionka przeciwko tężcowi przestała już działać. W takim mieszkaniu, gdy chce się skorzystać z ubikacji, trzeba położyć na desce papier.

– Wielki dom – bąknęłam.

Sufi się skrzywiła.

– Jutro przychodzi sprzątaczką – powiedziała. – Rzadko już sprząta. Wiele lat pracowała dla moich rodziców i nie mam serca jej zwalniać.

– Czy oni mieszkają z tobą?

Potrząsnęła głową.

– Nie żyją. Rak.

– Oboje?

– Tak to już jest – odparła, wzruszając ramionami.

To tyle, jeśli chodzi o rodzinne uczucia.

Wręczyła mi szklanę wina. Po nalepce zorientowałam się, że jest to ten sam ultrakiepski trunek, który piłam, nim przerzuciłam się na kartony z widokiem wymyślonej winiarni na obrazku. Widocznie żadna z nas nie miała forsy ani gustu, by zdobyć się na coś przyzwoitego.

Z kieliszkiem w dłoni usadowiła się w fotelu. Jej zachowanie uległo dużej zmianie. Musiała opracować jakiś dobry fortel.

Napiła się wina, patrząc na mnie znad brzegu kieliszka.

– Rozmawiałaś ostatnio z Derekiem? – zapytała.

– Był u mnie w biurze dziś po południu.

– Wyprowadził się. Kiedy Glen wróciła wieczorem z San Francisco, kazała służącej spakować jego manatki i wywalić je na podjazd. A potem zmieniła zamki.

– No, no – powiedziałam. – Ciekawe, co było powodem.

– Lepiej, jakbyś z nim najpierw porozmawiała, zamiast martwić się o mnie.

– A to dlaczego?

– Miał motyw, by zabić Bobby’ego. Ja nie mam, jeśli do tego zmierzasz.

– O jaki motyw ci chodzi?

– Glen odkryła, że osiemnaście miesięcy temu wykupił dużą polisę ubezpieczeniową na życie Bobby’ego.

– Co?! – Mój kieliszek przekrzywił się i wino popłynęło po ręce. Nie umiałam ukryć faktu, że się tym przejęłam, ale nie przypadło mi do gustu pewne siebie spojrzenie, jakim mnie obrzuciła.

– O, tak. Skontaktowała się z nią firma ubezpieczeniowa, prosząc o kopię aktu zgonu. Agent musiał czytać o Bobby’em w gazecie i zapamiętał imię. W ten sposób wyszło szydło z worka.

– Myślałam, że nie można ubezpieczyć kogoś na życie bez jego podpisu.

– Teoretycznie nie, lecz wszystko da się załatwić.

Zajęłam się wycieraniem serwetką wylanego wina. W trakcie tej czynności uzmysłowiłam sobie – nad moją głową zapłonęła żarówka, jak na kreskówkach – że Sufi czuje do niego przemożną

antypatię.

– Więc jak przedstawiają się sprawy?

– Derek wpadł po uszy – oświadczyła. – Twierdzi, że wykupił polisę całe wieki temu, kiedy Bobby kilka razy zgruchotał samochód. Sądził, że Bobby się zabije. Znasz ten typ. Jeden wypadek po drugim, a potem dzieciak kończy w plastikowym worku. To staje się społecznie akceptowaną formą samobójstwa. Osobiście myślę, że Derek nie mylił się za bardzo. Bobby pił na umór i z pewnością brał narkotyki. Nadawał się na złom, tak jak Kitty. Oboje byli bogaci, zepsuci i nierozważni.

– Uważaj, co mówisz, Sufi. Ja lubiłam Bobby’ego Callahana. Miał w sobie dużo energii.

– Któż z nas tego nie wie? – W jej głosie słyszałam ton wyższości, który doprowadzał mnie do szału, ale w tej chwili jeszcze nie mogłam pozwolić sobie na odpowiednią reakcję. Skrzyżowała nogi, kołyszając jedną stopą. Pompon na pantoflu falował, gdy przepływało po nim powietrze. – Czy ci się to podoba, czy nie, taka jest prawda. Ale to jeszcze nie wszystko. Plotka głosi, że Derek także Kitty ubezpieczył na wypadek śmierci.

– Na jaką sumę?

– Na pół miliona dolarów, tak samo jak Bobby’ego.

– Bez przesady, Sufi, to nie ma sensu. Derek nie zabiłby własnej córki.

– Ale Kitty jeszcze żyje, no nie?

– Ale dlaczego chciałby zabić Bobby’ego? Musiałby oszaleć. Pierwsza myśl, jaka przyjdzie głinom do głowy, to przyjrzeć się Derekowi.

– Kinsey – powiedziała cierpliwie. – Nikt jak dotąd nie badał, czy Derek jest przy zdrowych zmysłach. Według mnie to idiota. Skończony głupiec.

– Aż taki głupi nie jest – zauważyłam. – No bo jak chciałby się z tego wymigać?

– Nie ma dowodu, by maczał w czymkolwiek palce. Nie było świadków pierwszego wypadku i Jim Fraker sądzi, że ten drugi zdarzył się na skutek ataku. Jak to powiążą z Derekiem?

– Ale to i tak dziwne? Ma przecież pieniądze.

– Glen ma pieniądze. Derek nie ma złamanego szeląga. Zrobiłby wszystko, żeby się od niej uwolnić. Nie wiedziałaś tego?

Gapiałam się na nią, przetwarzając informacje w moim mentalnym komputerze. Znów napiła się wina, uśmiechając się do mnie i napawając efektem, jaki wywołała.

Ostatecznie powiedziałam:



– Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

– Możesz wierzyć, w co tylko zechcesz. Radzę ci: najpierw sprawdź to, a później zabierz się do czegoś innego.

– Nie lubisz Dereka, no nie?

– Oczywiście, że nie. Dla mnie to największa świnia, jaka kiedykolwiek żyła. W ogóle nie wiem, co Glen w nim widziała. Jest biedny, głupi, napuszony. Ale to i tak są te jego dobre strony – stwierdziła dobitnie. – A poza tym jest bezlitosny.

– Nie wygląda mi na kogoś bezlitosnego – powiedziałam.

– Ja go znam dłużej. To człowiek, który dla pieniędzy zrobiłby wszystko i podejrzewam, że uskładał sporą sumę, o której woli nie rozmawiać. Czy nie wydaje ci się, że jest człowiekiem z przeszłością?

– Jaką na przykład?

– Nie jestem pewna. Ale chętnie bym się z tobą założyła, że jego bufonada jest tylko przykrywką.

– Chcesz przez to powiedzieć, że Glen zamydlono oczy? Ona wydaje się na to za sprytna.

– Jest sprytna we wszystkim, oprócz mężczyzn. To już jej trzeci wypad, no wiesz, a ojciec Bobby’ego był niezłym łotrzykiem. O mężu numer dwa nie wiem za wiele. Mieszkała w Europie, kiedy się pobrali, ale to nie trwało długo.

– Może wróćmy na chwilę do ciebie. W dzień pogrzebu Bobby’ego odniosłam wrażenie, że pragniesz zniechęcić mnie do dalszego śledztwa. A teraz podrzucasz mi trop. Skąd ta zmiana frontu?

Zamilkła, skupiając uwagę na węźle przy szlafroku, choć dotąd jej usta nie zamknęły się ani na moment.

– Sądziłam, że przedłużysz tym tylko ból i rozpacz Glen – powiedziała po chwili, spoglądając na mnie. – To jasne, że nic, co powiem, nie zniechęci cię, więc równie dobrze mogę ci wszystko wyjawić.

– Dlaczego spotykałaś się z Bobbym na plaży? Co się wtedy działo?

– Och, nic – odparła. – Wpadliśmy na siebie kilka razy, kiedy chciał wyzalić się komuś na Dereka. Bobby też nie mógł go znieść i wiedział, że jeśli o to chodzi, ja będę wyborną słuchaczką. Na tym się skończyło.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi od razu?

– Nie muszę się przed tobą spowiadać. Nieproszona pojawiaasz się pod moimi drzwiami i wypytujesz o całe to gówno. To nie twój interes, dlaczego więc miałam ci odpowiadać? Chyba nie

zdajesz sobie sprawy, jak cię czasem swędzi tyłek.

Poczułam, że pokrywam się rumieńcem po dobrze wymierzonej zniewadze. Dopiliśmy wino. Nie bardzo wierzyłam w tę historyjkę o spotkaniach z Bobbym, ale nie mogłam liczyć, by coś jeszcze udało mi się z niej wyciągnąć. Postanowiłam dać na razie za wygraną, choć czułam się z tym jakoś dziwnie. Jeśli wysłuchiwała tylko jego żalów, czemu nie powiedziała tego na wstępie?

Spojrzałam na zegarek i zauważyłam, że minęła już jedenasta. Pomyślałam, że złapię jeszcze Glen w domu. Pożegnałam się zdawkowo i wyszłam. Jestem pewna, że moje pośpieszne odejście nie uszło jej uwagi.

Są chwile, gdy sprawy nabierają rozpędu dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Nawet nie zamierzam przypisywać sobie zasługi za to, co wydarzyło się potem. Wsiadając do swego małego volkswagena, zauważyłam, że zrobiło się chłodno. Wskoczyłam, zatrzasnęłam drzwi, zabezpieczając je z przyzwyczajenia, a potem wykręciłam się i zaczęłam przekopywać zagracone tylne siedzenie w poszukiwaniu swetra, który tam rzucałam. Właśnie go znalazłam i zaczęłam wyciągać spod stosu książek, gdy usłyszałam odgłos zapalającego silnika. Z podjazdu wyjeżdżał mercedes Sufi. Schyliłam się natychmiast, by nie rzucać się w oczy. Nie wiedziałam, czy zna mój samochód, czy też nie, ale musiała założyć, że mnie już nie ma, bo ruszyła ostro z kopyta. Gdy tylko to zrobiła, wsunęłam się na fotel kierowcy, szukając kluczyków. Zapaliłam silnik i szybko zawróciłam, podążając za luną, która biła od jej tylnych świateł, kiedy wjeżdżała na prawy pas, zmierzając w stronę drogi stanowej.

Na pewno nie zdążyła nawet zmienić ubrania. Co najwyżej narzuciła płaszcz na swój atłasowy kostium. Kogo znała aż tak dobrze, że odwiedzała go bez zapowiedzi o tej godzinie, ubrana jak Jean Harlow? Płonęłam z ciekawości.

W Santa Teresa bogaci dzielą się na dwie podgrupy: połowa mieszka w Montebello, połowa w Horton Ravine. Montebello to stare pieniądze, Horton Ravine – nowe. Obie społeczności posiadają akry porośnięte starymi drzewami, ścieżki do konnych przejażdżek i kluby wymagające odpowiedniego sponsorowania i wejściówek w cenie dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Obie społeczności wykazują niechęć do fundamentalistycznych kościołów, wulgarnych ozdób na podwórkach i domowych wyprzedaży. Sufi zmierzała w stronę Horton Ravine.

Wjeżdżając na Las Piratas, zwolniła do trzydziestu mil na godzinę, nie chcąc chyba, by policja zatrzymała ją za przekroczenie prędkości, ubraną niczym call girl w drodze do klienta. Zwolniłam, żeby utrzymać jednakowy, bezpieczny dystans. Bałam się, że będę musiała podążyć za nią milami krętych drózek, ale zaskoczyła mnie, zjeżdżając w prawo na jeden z pierwszych podjazdów. Budynek stał w głębi, jakieś sto jardów dalej, jednopiętrowy kalifornijski bungalow: najwyżej pięć pokoi, cztery tysiące stóp kwadratowych, nie wart, by na niego spojrzeć, choć na pewno kosztował wiele. Posiadłość miała nie więcej niż pięć akrów, całość obwiedzione ozdobnym ogrodzeniem, którego poręczę wykonano z rozłupanych bali. Wzdłuż ogrodzenia posadzono pnące się róże. Gdy mercedes Sufi zajechał pod budynek, zapaliły się zewnętrzne latarnie. Zobaczyłam, jak rozmyta sylwetka w brzoskwiowym atlasie i norkach podchodzi do drzwi frontowych, które otwierają się i połykają swą zdobycz.

Minęłam dom. Dojechałam do pierwszego skrzyżowania w prawo, gdzie zawróciłam i zgasiłam światła. Zaparkowałam samochód na poboczu po lewej stronie, wciskając się w jakieś zarośla. Cały teren pograżył się w ciemności, w pobliżu nie stały żadne latarnie. Po drugiej stronie ulicy dostrzegłam rąbek pola golfowego i wąskie, sztuczne jeziorko, pełniące funkcję wodnej przeszkody. Światło księżycy skrzyło się na tafli, która błyszczała niczym skrawek szarego jedwabiu.

Wyciągnęłam ze skrytki latarkę i wysiadłam z auta, ostrożnie przedzierając się przez wysoką trawę, rosnącą przy drodze. Była gęsta i mokra, moczyła moje tenisówki i nogawki dzinsów.

Dostałam się na podjazd. Na skrzynce na listy nie było żadnego napisu, ale spostrzegłam cyfry. W razie potrzeby mogłam wpaść do biura i sprawdzić je w księdze adresów. Pokonałam już połowę drogi do domu, kiedy zaczął szczeleć pies. Nie miałam pojęcia, do jakiej należy rasy, ale sądząc po głosie, musiał być duży – jeden z tych psów, które wiedzą, jak się wydrzeć. Ujadał z przejęciem, ostrzegając o ostrych zębach i złym charakterze. Co więcej, ten napaleniak zwęszył moją obecność i chciał mnie dopaść. W żaden sposób nie mogłam podkraść się bliżej, nie alarmując mieszkańców domu. Już teraz zastanawiają się pewnie, dlaczego Azor pieni się z podniecenia. Domyśliłam się, że zaraz spuszcza go z potężnego łańcucha, by popędził na mnie alejką, rysując pazurami asfalt.

Ścigały mnie już kiedyś psy i nie jest to wcale takie zabawne. Wróciłam po własnych śladach i wsiadłam do auta. Zdrowy rozsądek nie przynosi ujmy w fachu detektywa. Przez godzinę obserwowałam budynek, lecz nie wysledziłam żadnych oznak aktywności. Znużyło mnie to – traciłam tylko czas. Ostatecznie zapaliłam silnik i wrzuciłam bieg, nie włączyłam świateł, dopóki nie znalazłam się w bezpiecznej odległości.

Po powrocie do domu czułam się wykończona. Sporządziłam kilka powierzchownych notatek i na

tym przestałam. Dochodziła pierwsza, gdy gasiłam nareszcie światło.

Wstałam o szóstej i dla otrzeźwienia przebiegłam trzy mile. Potem w pośpiechu dokonałam porannych ablucji, chwyciłam jabłko i o siódmej przybyłam do biura.

Był wtorek i dziękowałam Bogu, że na ten dzień nie przypada moja fizykoterapia. Nagle zauważyłam, że moje ramię czuje się całkiem niezłe, a może to zaangażowanie w śledztwo kazało mi zapomnieć o bólu i niedowładzie.

Automatyczna sekretarka nie zarejestrowała żadnych wiadomości, nie nadeszła też poczta z zeszłego dnia, którą trzeba by się natychmiast zająć. Wyciągnęłam książkę telefoniczną i sprawdziłam numery domów na Las Piratas. No cóż. Mogłam się tego spodziewać. Fraker. James i Nola. Zastanawiało mnie, do kogo z nich pojechała Sufi i skąd się wziął jej pośpiech. Możliwe, oczywiście, że konsultowała się z obojgiem, choć osobiście w to powątpiewałam. Czy Nola mogła być tą dziewczyną, w której zakochał się Bobby? Nie rozumiałam, jaką w tym rolę odgrywa doktor Fraker, ale coś się z pewnością działo.

Wyciągnęłam notes Bobby'ego i spróbowałam zadzwonić do Blackman. Otrzymałam nagraną wiadomość od kobiety, która głosem przypominała wróżkę z bajki Walta Disneya. „Przepraszamy, ale połączenie nie może być zrealizowane w strefie numerów kierunkowych 805. Proszę sprawdzić numer i wykręcić ponownie. Dziękuję”. Próbowałam z kierunkowymi okolicznych stref, bez rezultatu. Mnóstwo czasu spędziłam na badaniu pozostałych zapisków w notesie. Jeśli cała reszta zawiedzie, będę tu siedzieć, kontaktując się z każdą osobą po kolei, choć włożony w to wysiłek wcale nie musi przynieść spodziewanych efektów. Ale tymczasem, co tu robić?

Było jeszcze za wcześnie, by wydzwaniać po domach, ale przyszło mi do głowy, że wizyta u Kitty może wnieść coś nowego.

Chłód minionego dnia minął. Powietrze było przejrzyste, a słońce zaczęło przypiekać. Zaparkowałam volkswagena na ostatnim wolnym miejscu na parkingu dla gości i okrążyłam budynek, zmierzając do frontowego wejścia. Nikogo nie spotkałam w okienku informacji, lecz szpital pracował pełną parą. W kawiarni tłoczyli się ludzie, z wnętrza dolatywał nieprzerwanie zapach cholesterolu i kofeiny. W sklepie z upominkami świeciły się światła. W kasie tętniło życie; wypełniały ją młode urzędniczki, przygotowujące rachunki, jakby dobiegała do końca doba hotelowa. Panowała tu atmosfera podniecenia – personel medyczny przygotowywał się na narodziny, śmierć i skomplikowane operacje, połamane kości, załamania psychiczne, przedawkowania... Sto zagrażających życiu wypadków każdego dnia tygodnia. A we wszystko wkrada się podstępny seks, jak w operze mydlanej.

Wyjechałam na trzecie piętro, następnie po wyjściu z windy skręciłam w lewo opodal „trzeciego południowego”. Wielkie podwójne drzwi były zamknięte, jak zwykle. Nacisnęłam dzwonek. Po chwili korpulentna Murzynka w dzinsach i błękitnym podkoszulku zadzwęczała kluczami i uchyliła nieznacznie drzwi. Miała pokaźny zegarek, używany zwykle przez pielęgniarki, na nogach buty na dwucalowych, kauczukowych podszewkach, których zadaniem było chronienie przed płaskostopiem i żyłakami. Jej oczy były zadziwiająco orzechowe, a z twarzy bił profesjonalizm. Biała, plastikowa etykieta informowała, że nazywa się Natalie Jacks. Przedstawiłam jej kserokopię mojej licencji i

poprosiłam o rozmowę z Kitty Wenner, tłumacząc, że jestem przyjaciółką rodziny.

Po uważnym przejrzeniu moich dokumentów zgodziła się w końcu mnie wpuścić.

Zamknęłam drzwi i poszłam korytarzem do sali położonej niemal przy końcu. Ukradkowo zaglądałam do mijanych pomieszczeń. Nie wiem, czego oczekiwałam – kobiet wijących się w konwulsjach i bełkoczących do siebie, mężczyzn naśladujących eksprezydentów i zwierzęta z dżungli? Albo wszystkich odurzonych lekarstwami, od których puchną języki i oczy wychodzą z orbit. Zamiast tego, mijając kolejne drzwi, zauważałam twarze skierowane na mnie z ciekawością, jakbym była nową pacjentką, mogącą w każdej chwili wrzasnąć lub zaćwierkać, rozrywając przy tym ubranie. Nie zauważałam żadnej różnicy między nimi a mną, co mnie nieco zdeprymowało.

Kitty wstała już i ubrała się, jej włosy wciąż były mokre po kąpieli. Wyciągnęła się na łóżku, podkładając pod głowę poduszki, obok na stoliku stała taca ze śniadaniem. Nosiła jedwabne kimono, które wisiało na niej jak na wieszaku. Jej piersi nie większe były niż guziki na kanapie, a ręce składały się z samych kości, powleczonych skórą cienką jak bibuła. Ogromne oczy spozierały dziko, kształt czaszki dodawał jakieś pięćdziesiąt lat. Sally Struthers mogłaby wykorzystać zdjęcie Kitty do reklamowania opieki rodzicielskiej.

– Masz gościa – oznajmiła Natalie.

Oczy Kitty spoczęły na mnie i przez moment widziałam, jaka jest przerażona. Umierała. Musiała to wiedzieć. Energia niczym pot wyciekała wszystkimi porami jej skóry.

Natalie popatrzyła na tacę ze śniadaniem.

– Wiesz, że zaczną cię karmić dożylnie, jeśli się nie postarasz. Sądziłam, że zawarłaś umowę z doktorem Kleinertem.

– Trochę zjadłam – powiedziała Kitty.

– No cóż, nie chcę cię zmuszać, ale wkrótce będzie miał obchód. Spróbuj trochę dzióbnać, kiedy będziesz rozmawiać, okay? Jesteśmy z tobą, dziecinko. Szczerze.

Wychodząc, Natalie obdarzyła nas przelotnym uśmiechem. Weszła następnie do sąsiedniego pokoju, skąd doszedł jej głos.

Twarz Kitty była całkowicie różowa, dziewczyna z trudem powstrzymywała łzy. Sięgnęła po papierosa i zapaliła go, zakasłała i zakryła usta wierzchem kościstej dłoni. Potrząsnęła głową, wyczarowując uśmiech, który miał w sobie odrobinę słodczy.

– Boże, sama nie wiem, jak się w to wpakowałam – powiedziała, a potem dodała z tęsknotą: – Sądzisz, że Glen mnie odwiedzi?

– Nie wiem. Chyba do niej pojedę po rozmowie z tobą. Jeśli chcesz, wspomnę jej o tym.

– Wykopała tatusia.

– Słyszałam.

– Teraz na pewno wykopie mnie.

Nie mogłam już na nią patrzeć. Tęskniła za Glen tak wyraźnie, że bolało mnie serce. Obejrzałam tacę ze śniadaniem: patera świeżych owoców, bułeczka z jagodami, truskawkowy jogurt w kartonie, płatki z owocami na mleku, sok pomarańczowy, herbata. Nic nie wskazywało, by czegokolwiek spróbowała.

– Chcesz coś z tego? – zapytała.

– Zapomnij. Później powiesz Kleinertowi, że sama zjadłaś.

Uśmiechnęła się z zażenowaniem, zaczerwieniona.

– Nie rozumiem, dlaczego nie jesz – powiedziałam.

Zrobiła kwaśną minę.

– Wszystko wygląda tu tak prostacko. Jest tu dziewczynka, drugie drzwi dalej, która cierpi na anoreksję, wiesz? Przywieźli ją i w końcu zaczęła jeść. Teraz wygląda, jakby była w ciąży. Wciąż jest chuda. Tylko w brzuchu ma pół piłki do kosza. To obrzydliwe.

– I co z tego. Żyje, no nie?

– Ja nie chcę tak wyglądać. Poza tym nie dają nic smacznego, a po tym chce mi się rzygać.

Nie było sensu drażnić tego tematu, więc przeszłam na inny.

– Rozmawiałaś z ojcem po tym, jak Glen go wyrzuciła?

Kitty wzruszyła ramionami.

– Zawsze tu wpada po południu. Nim znajdzie mieszkanie, będzie mieszkał w hotelu Edgewater.

– Czy wspominał ci o testamencie Bobby'ego?

– Coś tam. Podobno Bobby zostawił mi wszystkie pieniądze. Czy to prawda? – Nie okazała konsternacji.

– O ile mi wiadomo, tak.

– Ale dlaczego to zrobił?

– Może czuł, że pochrzanił ci życie i chciał to jakoś wynagrodzić. Derek powiedział mi, że zostawił też pewną sumkę rodzicom Ricka. A może uważał, że to przekona cię, byś się wreszcie wydostała z tego gnoju?

– Nigdy się z nim nie układałam.

– Nie sądzę, żeby chciał pójść na jakiś „układ”.

– Nie lubię, jak się mną steruje.

– Kitty, myślę, że wyraźnie zademonstrowałaś już fakt, że nie można tobą sterować. Wszyscy jasno i zrozumiale odczytujemy wiadomość. Bobby cię kochał.

– A kto go prosił? Czasami nie byłam dla niego taka miła. I nie zawsze miałam na uwadze jego dobro.

– To znaczy?

– Nic to nie znaczy. Nieważne. Wolałabym, żeby nic mi nie zostawiał. Przez to czuję się poniżona.

– Nie wiem, co ci powiedzieć.

– Cóż, nigdy go o nic nie prosiłam. – Wysuwała jakieś argumenty, ale nie potrafiłam zrozumieć, jakie zajmuje stanowisko.

– Co cię gryzie?

– Nic.

– Więc skąd to rozdrażnienie?

– Wcale nie jestem rozdrażniona! Boże. Dlaczego miałabym się złościć? Zrobił to, by poczuć się dobrze, no nie? Nie miało to nic wspólnego ze mną.

– Miało to coś wspólnego z tobą, bo inaczej zostawiłby pieniądze komuś innemu.

Zaczęła obgryzać paznokcie kciuka, porzucając na chwilę papierosa, który znad krawędzi popielniczki wysyłał cienki kosmyk dymu, jak indiański wojownik na odległym wzgórzu. Jej humor pogarszał się. Ciekawiło mnie, dlaczego tak ją wkurza myśl o dwóch milionach dolców włożonych do jej kieszeni, ale nie chciałam zrażać do siebie dziewczyny. Potrzebowałam informacji. Znowu zmieniałam temat.

– A co z ubezpieczeniem, jakie twój ojciec wykupił na życie Bobby’ego? Czy wspominał coś o tym?

– Tak. To dziwne. Robi coś takiego, a potem nie może zrozumieć, czemu ludzie patrzą na niego spode łba. On nie widzi w tym nic złego. Dla niego to po prostu ma sens. Bobby rozwalił parę razy samochód, więc tata doszedł do wniosku, że jeśli zginie, ktoś może na tym skorzystać. To chyba dlatego Glen wywaliła go za drzwi, nie?

– Sądzę, że tak. Nie pozwoli, by ktoś czerpał zyski ze śmierci Bobby’ego. Boże, to najgorsze

posunięcie, jakie mógł zrobić, jeśli chciał utrzymać dobre stosunki z Glen. Poza tym to rzuca nań podejrzenie o zabójstwo.

– Mój ojciec nikogo by nie zabił!

– On to samo mówi o tobie.

– No cóż, to prawda. Nie miałam żadnych powodów, by chcieć śmierci Bobby'ego. Nikt z nas nie miał. Nawet nie wiedziałam o pieniądzach, a poza tym ich nie chcę.

– Pieniądze nie muszą być motywem – powiedziałam. – Stanowią oczywisty punkt rozpoczęcia śledztwa, ale ten ślad może prowadzić na manowce.

– Ale ty chyba nie sądzisz, że tata go zabił?

– Jeszcze nie wyrobiłam sobie na ten temat zdania. Wciąż staram się dojść do tego, co zamierzał Bobby, muszę wypełnić jeszcze kilka luk. Nie znam wszystkich okoliczności i nie potrafię wpaść na właściwy trop. Co go łączyło z Sufi? Masz jakiś pomysł?

Kitty podniosła papierosa i odwróciła wzrok. Strząsnęła popiół, a potem zaciągnęła się głęboko po raz ostatni i zgasiła papierosa. Paznokcie ogryzione miała tak bardzo, że końcówki palców przypominały okrągłe piłeczki.

Debatowała nad czymś w duchu. Milczałam, dając jej czas do namysłu.

– Pośredniczyła – wyznała ostatecznie niskim głosem. – Bobby prowadził śledztwo czy coś tam dla kogoś innego.

– Dla kogo?

– Nie wiem.

– Chyba dla Frakerów, prawda? Ostatniej nocy rozmawiałam z Sufi, a w sekundę po moim wyjściu pojechała do ich domu. Tak długo tam została, że w końcu musiałam wrócić z niczym.

Kitty spojrzała mi w oczy.

– Nie jestem pewna, co to było.

– Ale jak się w to wpakował? O co mu chodziło?

– Powiedział mi, iż czegoś szuka, i wziął tę pracę w kostnicy, by móc robić to nocą.

– Zapisków medycznych? Czegoś, co tam przechowują?

Jej twarz spochmurniała, Kitty wzruszyła ramionami.



– Ale gdy zdałaś sobie sprawę, że ktoś chciał go zabić, nie przyszło ci na myśl, że to się z tym wiąże?

Zaczęła ogryzać paznokcie kciuka, teraz już na serio. Zauważyłam, że szybko przesuwa wzrok, i odwróciłam się. Doktor Kleinert stał w drzwiach, gapiąc się na nią. Kiedy zrozumiał, że go zauważyłam, popatrzył też na mnie. Jego uśmiech był nieco wymuszony i nie tak do końca promieniujący radością.

– No, no. Nie wiedziałem, że przyjmujesz dziś rano gości – odezwał się do niej. A potem krótko do mnie: – Co panią tu tak wcześnie przygnało?

– Po prostu wpadłam, jadąc do Glen. Próbuję przekonać Kitty do jedzenia – tłumaczyłam.

– Nie ma potrzeby – odparł swobodnie. – Ta młoda dama zawarła ze mną układ. – Wystudiowanym ruchem spojrzął na zegarek, który przesunął się wzdłuż jego nadgarstka, nim zniknął w czeluści mankietu. – Mam nadzieję, że wybaczy nam pani. Muszę odwiedzić jeszcze innych pacjentów i mój czas jest ograniczony.

– Już wychodzę – powiedziałam. Zerknęłam na Kitty. – Spróbuję zadzwonić do ciebie. Zobaczę, może Glen zechce złożyć ci wizytę.

– Super – odparła. – Dzięki.

Pomachałam ręką i opuściłam izolatkę, zastanawiając się, jak długo tam stał i ile usłyszał. Usiłowałam przypomnieć sobie, co mówiła Carrie St. Cloud. Powiedziała, że Bobby wplątał się w jakiś szantaż, ale innego rodzaju, żadne pieniądze nie miały przechodzić z ręki do ręki. Coś innego. „Ktoś miał coś na któregoś z jego przyjaciół i próbował mu pomóc”, jakoś tak się wyraziła. Jeżeli wchodziło tu w rachubę wymuszenie, czemu nie zwrócił się na policję? I dlaczego to właśnie on musiał w to się mieszać?

Wsiadłam do auta i ruszyłam do Glen.

Kiedy wjeżdżałam na podjazd pod dom Glen, minęła właśnie dziewiąta. Dziedziniec świecił pustkami. Fontanna tryskała kolumną wody wysoką na piętnaście stóp, opadając mieszaną kaskadą ciemnej zieleni i bieli. Usłyszałam jęk kosiarki spalinowej, pracującej na jednym z tarasów po drugiej stronie, a spryskiwacze zraszały misterną mgiełką ogromne paprocie, cętkowane promieniami słońca, rosnące na skrajach żwirowych alejek. Tropikalne powietrze pachniało jaśminem.

Zadzwoniłam i jedna ze służących wpuściła mnie do środka. Zapytałam o Glen, a ona wymruczała coś po hiszpańsku, podnosząc wzrok na schody prowadzące na piętro. Domyśliłam się, że Glen jest na górze.

Drzwi do pokoju Bobby'ego były otwarte, siedziała na jednym z krzeseł, z założonymi rękami i miną nie wyrażającą żadnych uczuć. Ujrzawszy mnie, uśmiechnęła się prawie niedostrzegalnie. Wyglądała na przemęczoną, ciemne linie rysowały się jej pod oczami. Miała subtelny makijaż, który tylko uwydatniał bladość policzków. Włożyła suknię w zbyt krzykliwym, jak dla niej, odcieniu czerwieni.

– Cześć, Kinsey. Usiądź – powiedziała.

Usiadłam na krześle w gustowną kratę.

– Jak się czujesz? – spytałam.

– Niezbyt dobrze. Zauważyłam, że spędzam tu większość dnia. Siedząc. Czekaając na Bobby'ego.

Popatrzyła mi w oczy.

– Oczywiście, nie dosłownie. Jestem zbyt racjonalnie myślącą osobą, by wierzyć w powrót umarłych, jednak ciągle mam nadzieję, że jest coś więcej, że to jeszcze nie koniec. Wiesz, o co mi chodzi?

– Nie. Nie całkiem.

Zapatrzyła się w podłogę, najwidoczniej konsultując się ze swymi wewnętrznymi głosami.

– Częściowo czuję się jak zdradzona, tak mi się zdaje. Byłam dzielna i robiłam wszystko, co do mnie należało. Można było na mnie polegać i teraz chcę zapłaty. Ale jedyną nagrodą, która mnie interesuje, jest powrót Bobby'ego. Więc czekam. – Błądziła wzrokiem po wszystkich kątach, jakby wykonywała serię fotografii. W jej zachowaniu nie dostrzegłam uczucia, na przekór emocjom, którym dała upust przed chwilą. Czułam się dziwnie, jakbym rozmawiała z robotem. Mówiła o ludzkich rzeczach, ale jakoś mechanicznie. – Czy to rozumiesz?

Podążyłam za jej wzrokiem. Odciski stóp Bobby'ego nie znikły z białego dywanu.

– Nie pozwolę tu odkurzać – powiedziała. – Wiem, że to głupie. Nie chcę zamienić się w jedną z tych strasznych kobiet, które wznoszą kaplice dla swych zmarłych, pozostawiając wszystko w

nienaruszonym stanie. Ale ja nie chcę, żeby się wymazał z pamięci. Nie chcę, żeby się rozplątał w ten sposób. Nawet nie chcę zaglądać do jego rzeczy.

– Na razie nie ma potrzeby, by się tym zajmować, mam rację?

– Tak. Chyba tak. Nie wiem, co się stanie z tym pokojem. Mam ich tuziny i wszystkie są puste. Nie muszę urządzić tu szwalni ani studia.

– A poza tym radzisz sobie z tym jakoś?

– O, tak. Jestem w tym doświadczona. Czuję, że żałoba to taka choroba, z której można się wyleczyć. Martwi mnie jedynie, że odczuwam pewny pociąg do obecnego stanu rzeczy, któremu ciężko jest się oprzeć. To bolesne, ale przynajmniej pozwala mi czuć jego bliskość. Raz na jakiś czas przyłapuję się na myśleniu o czymś mało istotnym i wtedy czuję się winna. Jakby brak cierpienia oznaczał brak lojalności; podobnie jak chwilowe zapomnienie, że odszedł.

– Nie dręcz się i nie cierp więcej niż potrzeba – powiedziałam.

– Wiem. Sama próbuję wyjść z tego. Każdego dnia rozpaczam odrobinę mniej. To tak jak z rzucaniem palenia. Tymczasem udaję, że wzięłam się już w garść, ale tak nie jest. Chciałabym pomyśleć o czymś, co by mnie wyleczyło. O Boże, nie powinnam tak się w tym pograżać. Ktoś, kto przeżył atak serca lub poważną operację, też nie umie mówić o niczym innym. Wpatruje się tylko w siebie.

Znowu zamilkła i chyba nagle przypomniała sobie o dobrych manierach. Popatrzyła na mnie.

– Co ostatnio porabiałaś?

– Wpadłam dziś rano do Świętego Terry’ego, by odwiedzić Kitty.

– Ach tak? – Mina Glen wyrażała brak zainteresowania.

– Czy jest jakaś szansa, byś wpadła do niej na chwilę?

– To wykluczone. Po pierwsze ogarnia mnie furia, że ona żyje, a Bobby nie. Nie cierpię myśli, że zostawił jej wszystkie pieniądze. Jeśli chcesz znać moje zdanie, ona jest pazerna, chytra i niszczy samą siebie... – urwała. Przez moment milczała. – Przepraszam. Nie chcę być taka obcesowa. Nigdy jej nie lubiłam. Samo to, że znalazła się w opałach, nie zmienia jeszcze niczego. Sama sobie jest winna. Sądziła, że zawsze się znajdzie ktoś, kto wpłaci za nią kaucję, ale to nie będę ja. Derek też jest do tego niezdolny.

– Słyszałam, że się wyniósł.

Drgnęła niespokojnie.

– Co to była za kłótnia! Nigdy nie sądziłam, że go kiedykolwiek stąd wywalę. W końcu musiałam przywołać jednego z ogrodników. Pogardzam nim. Naprawdę. Mdli mnie na myśl, że dzielił kiedyś

ze mną łóżko. Nie wiem, co gorsze... Fakt, że niczym krwiopijca wykupił tę polisę na życie Bobby'ego, czy to, że nie miał najmniejszego pojęcia, jak jest odrażający.

– Czy mogą mu wypłacić?

– On chyba tak uważa, ale ja mam zamiar walczyć z nim do upadłego. Zadzwoiłam do ubezpieczalni i skontaktowałam się z firmą prawniczą z Los Angeles. Chcę, by zniknął z mego życia. Bez względu na koszty, chociaż im mniej moich pieniędzy zagarnie, tym lepiej. Na szczęście spisaliśmy intercyzę, choć odgraża się, że ją podważy, jeśli popsuję mu szyki w związku z tą polisą.

– Jezu, ty naprawdę wyruszasz na bitwę.

Ze znużeniem przetarła czoło.

– Boże, to było straszne. Dzwoniłam do Vardena, pytając, czy mogę liczyć na pozew o zaniechanie. To szczęście, że nie ma w domu broni, bo jedno z nas już by nie żyło.

Milczałam.

Po chwili odzyskała równowagę ducha.

– Wcale nie chcę, żeby brzmiało to tak histerycznie. Wszystko, co mówię, przypomina monolog maniaka. No dobrze. Dajmy temu spokój. Jestem pewna, że nie po to przyjechałaś, by słuchać mojego bełkotu. Napijesz się kawy?

– Nie, dzięki. Chciałam tylko skontaktować się z tobą i poinformować cię o najświeższych wydarzeniach. Większość z tego łączy się z Bobbym, więc jeśli nie chcesz teraz o tym mówić, mogę wpaść innym razem.

– Nie, nie. Wszystko w porządku. Może będę mogła pomyśleć o czymś innym. Naprawdę chcę się dowiedzieć, kto zabił Bobby'ego. Może to jedyna forma ukojenia, jaka mi pozostała? Zatem co ustaliłaś?

– Niewiele. Składałam tę układankę po kawałeczku i nie wiem jeszcze, jak interpretować fakty. Po pierwsze, ludzie mogą kłamać, ale skoro nie znam całej prawdy, nie mogę być pewna – wyjaśniłam.

– Rozumiem.

Zawahałam się, czując dziwną niechęć do wyjawiania moich odkryć. Spekulowanie o jego przeszłości było czymś natrętnym; dyskusowanie o prywatnych szczegółach życia Bobby'ego z kobietą, która tak się starała opanować po jego śmierci, zakrawało na brak wyczucia.

– Myślę, że Bobby miał romans.

– Nie ma w tym nic dziwnego. Chyba wspomniałam, że umawiał się z kimś.

– Z Nolą.

Gapiła się na mnie, jakby czekając na pointę. Ostatecznie rzekła:

– Nie mówisz tego poważnie.

– Z tego, co słyszałam, Bobby miał z kimś romans, w kimś się zakochał. To przede wszystkim dlatego zerwał z Carrie St. Cloud. Mam powody przypuszczać, że chodziło tu o Nolę Fraker, choć nie potwierdziłam tego jeszcze.

– To mi się nie podoba. Mam nadzieję, że to nieprawda.

– Nie wiem, co ci powiedzieć. Elementy pasują do układanki.

– A przecież mówiłaś, że był zakochany w Kitty.

– Może nie „zakochany”. Przypuszczam, że bardzo ją kochał. Co nie znaczy wcale, że to był motyw jego działań. Ona upiera się, że nic między nimi nie zaszło i skłonna jestem w to wierzyć. Gdyby łączyły ich stosunki intymne, prawdopodobnie ty pierwsza byś o tym wiedziała. Znasz ją przecież. Jest niedojrzała i zagubiona, a on z pewnością wiedział, co do niej czujesz. Niezależnie od tego, co go z nią łączyło, mógł też się związać z jakąś inną osobą.

– Ale Nola jest szczęśliwą małżonką. Ona i Jim odwiedzali nas dziesiątki razy. Nikt nawet nie pomyślał, by mogło być coś między nimi.

– Rozumiem twój punkt widzenia, ale tak właśnie toczy się gra. Skrywacie swoje uczucie. Ty i twój kochanek uczestniczycie w tym samym towarzyskim spotkaniu, spacerujecie, grzecznie plotkując, ignorując siebie nawzajem... Ale nie nazbyt stanowczo, gdyż to by wydało się podejrzanе. Lekkie dotknięcia dłoni przy misie z ponczem, ukradkowe spojrzenia przez długość sali. To wszystko wielki, rubaszny żart i później chichoczenie z tego w łóżku jak dzieci, które wyprowadziły w pole dorosłych.

– Ale czemu Nola? Cały ten pomysł jest niedorzeczny.

– Wcale nie. To piękna kobieta. Może kiedyś się spotkali i iskra wznieciła ogień? A może od lat wodzili za sobą wzrokiem? Tak naprawdę to musiało zacząć się zeszłego lata, gdyż nie sądzę, by jego związek z Nolą mógł przeplatać się długo ze związkiem z Carrie. Nie wyglądał mi na kogoś, kto prowadzi podwójne życie.

Wyraz twarzy Glen uległ zmianie i spojrzała na mnie z wyraźnym zakłopotaniem.

– O co chodzi?

– Coś sobie przypomniałam. Zeszłego lata byliśmy z Derekiem przez dwa miesiące w Europie. Po powrocie zauważyłam, że nagle Frakerowie składają nam częste wizyty, ale przesłam nad tym do porządku dziennego. Wiesz, jak to jest. Czasami spotykasz się wiele razy z jakąś parą, po czym ona znika na jakiś czas z twojego życia. Po prostu nie do wiary, że mogła coś takiego zrobić mnie albo Jimowi. Przez to czuję się jak zazdrosna małżonka. Jakby mnie okpiono.

– Ależ Glen, daj spokój. Może to najlepsza rzecz, jaka go kiedykolwiek spotkała. Może pomogła mu dorosnąć. Kto wie? Bobby był dobrym chłopakiem. Poza tym, jaką to teraz robi różnicę? – Może nie miałam racji, ale nie chciałam, by znów zaczęła opowiadać, kim był i co zrobił.

Jej policzki zabarwiły się lekko na różowo, gdy spoglądała na mnie chłodno.

– Zrozumiałam aluzję. Tylko nadal nie wiem, dlaczego mi to mówisz.

– Ponieważ ukrywanie przed tobą prawdy nie należy do moich powinności.

– Tylko opowiadanie historyjek?

– Racja. Zupełna racja. Nie przyszedł tu na plotki. Po prostu istnieje możliwość, że to się wszystko łączy ze śmiercią Bobby'ego.

– Jak?

– Musisz mnie najpierw zapewnić, że zachowasz to dla siebie.

– Zatem co to za związek?

– Glen, ty nie słuchasz. Powiem tyle, ile mogę, ale nie mogę wyjawić wszystkiego, żebyś się nie uniosła. Jeśli pobiegiesz z tym do kogokolwiek, możesz nas obie wplątać w nielichą kabałę.

Jej oczy nabrały wyrazu i poczułam, że wreszcie dociera do niej, co mówię.

– Przepraszam. Oczywiście. Nie pisnę nikomu słówka.

Opowiedziałam jej pokrótce o ostatniej wiadomości, jaką Bobby zostawił na mojej automatycznej sekretarce, o przypuszczalnym szantażu, którego w dalszym ciągu nie umiałam rozszyfrować. Pomięłam tę część o Sufi, gdyż obawiałam się, że Glen mimo wszystko może wziąć sprawy w swoje ręce i zrobić coś głupiego. Była teraz nieobliczalna, niestabilna, jak buteleczka nitrogliceryny. Jeden mały wstrząs i dojdzie do eksplozji.

– Potrzebna mi jest twoja pomoc – zakończyłam.

– Co mam zrobić?

– Chcę porozmawiać z Nolą. Wciąż przecież nie mam pewności, a gdybym do niej zadzwoniła lub wpadła niczym grom z jasnego nieba, porządnie bym ją wystraszyła. Wolałabym, żebyś do niej zadzwoniła i coś zaaranżowała.

– Na kiedy?

– Na dziś rano, jeśli to możliwe.

– I co mam jej powiedzieć?

– Prawdę. Powiedz, że wyjaśniam okoliczności śmierci Bobby'ego, że sądzimy, iż mógł być związany z jakąś kobietą zeszłego lata, a skoro cię nie było, możesz powiedzieć, że chcesz się dowiedzieć, czy nie widywała go z kimś. Zapytaj, czy zgodzi się ze mną pogadać.

– A nie będzie czegoś podejrzewać? To jasne, szybko się domyśli, że na nią polujesz.

– No cóż, przecież zawsze mogę się mylić. Może nie chodzi tu o nią? To właśnie usiłuję wyjaśnić. Jeśli jest niewinna, nie będzie miała nic przeciwko temu. A jeśli nie, niech przygotuje sobie wykręt, by poczuła się bezpiecznie. To już obojętne. Gra idzie o to, że teraz prawdopodobnie nie odważy się trzasnąć mi drzwiami przed nosem, co raczej by zrobiła, gdybym chciała odwiedzić ją bez zapowiedzi.

Rozważała to krótko.

– W porządku.

Wstała i podeszła do telefonu na nocnym stoliku, wystukując z pamięci numer do Noli. Poradziła sobie z prośbą tak gładko, że nie dziwiłam się dłużej jej obrotowości w gromadzeniu funduszy na rozmaite cele. Nola uprzejmie wyraziła chęć pomocy, dzięki czemu już po kwadransie jechałam z powrotem w stronę Horton Ravine.

W świetle dziennym zauważyłam, że dom Frakerów jest bladożółty i pokrywa go dach z gontem. Wjechałam na podjazd i zatrzymałam się na niewielkim parkingu, gdzie stało ciemnokasztanowe bmw i srebrny mercedes. Jako że nie miałam samobójczych zapędów, wychyliłam się z okna samochodu, wypatrując psa. Rover czy Fido, nieważne, jak się wabił, okazał się dogiem z potworną czarną paszczą, z której ściekała struga śliny. Z tej odległości wyglądało na to, że jego obroża uzbrojona jest w kolce. Żarcie dostawał w szerokiej, aluminiowej misce, na której krawędzi pozostały ślady po zębach.

Ostrożnie wysiadłam z auta. Podbiegł do ogrodzenia i zaczął ujadać w moim kierunku. Wspiął się na tylne łapy, przerzucając przednie nad furtką. Jego członek wyglądał jak hot dog w długiej, owłosionej bułce, i merdał nim niczym facet, który właśnie wyszedł z budki telefonicznej, by rozchylić poły płaszcza.

Już miałam zamiar krzyknąć na psa, gdy zdałam sobie sprawę, że za moimi plecami Nola wyszła na werandę.

– Nie przejmuj się nim – powiedziała. Miała na sobie inny kostium, tym razem czarny, prócz tego szpilki, dzięki którym przewyższała mnie o pół głowy.

– Miły szczeniaczek – zauważyłam. Ludzie zawsze uwielbiają, kiedy się mówi, że ich psy są miłe.

– Dzięki. Wejdz do środka. Mam jeszcze coś do załatwienia, ale możesz poczekać w pokoiku.

Wnętrze domu Frakerów było chłodne i skromne: błyszczące parkiety z ciemnego drewna, białe ściany, gołe okna, świeże kwiaty, meble z białą tapicerką. Cały pokój, do którego Nola mnie wprowadziła, zavalony był książkami. Przeprosiła mnie i usłyszałam, jak jej wysokie szpilki stukoczą w korytarzu.

Zostawienie mnie samej w pokoju to zawsze kiepski pomysł. Jestem nieuleczalnym tropicielem i myszkuję automatycznie. Ponieważ od piątego roku życia wychowywała mnie niezamężna ciotka, w dzieciństwie mnóstwo czasu spędzałam w domach jej przyjaciółek, z których większość nie miała własnych dzieci. Kazano mi wtedy zachowywać się cicho i czymś zająć, więc w ciągu co najwyżej pięciu minut radziłam sobie z niekończącą się serią książeczek do kolorowania, które przynosiłyśmy z sobą, odwiedzając czyjś dom. Problem był jednak tego typu, że nigdy nie mieściłam się w liniach i obrazki wydawały mi się zawsze prymitywne – dzieci igrające z psami i odwiedzające farmy. Nie miałam zamiłowania do kolorowania kur czy prosiaków, więc nauczyłam się szperać. W ten sposób odkrywałam ukryte życie ludzi – recepty w apteczkach, tubki z żelazem w szufladkach nocnych stolików, rezerwy gotówki ukryte głęboko w szafach, wstrząsające podręczniki seksu i łóżkowe artefakty wsunięte między materace a sprężyny.

Oczywiście, nie mogłam pytać ciotki o zastosowanie tych osobliwie wyglądających przedmiotów, na które się natknęłam, bo w ogóle nie miałam wiedzy o ich istnieniu. Zafascynowana zwykłam wędrować do kuchni, gdzie dorośli w tamtych czasach lubili się zbierać, popijając drinki z lodem i przynudzając na temat polityki lub sportu. Ja w tym czasie gapiłam się na kobiety o imionach Bernice i Mildred, których mężowie nosili imiona Stanley i Edgar, zastanawiając się, kto co robił tym długim dziwadłem z baterią na jednym końcu. I nie była to latarka. Tyle wiedziałam. Dość wcześnie dostrzegłam wyraźne czasem rozgraniczenie między tym, co na pokaz, a tym, co prywatne. Znalazłam się teraz u ludzi, przed którymi nie mogłam nigdy zakłąć – ciotka zabroniła mi surowo, choć w domu mówiłyśmy różnie. Niektóre z jej zakazów mogły znaleźć tu zastosowanie, ale chyba nie ten. Cały proces mojej edukacji polegał na przyporządkowywaniu właściwych słów znanym już rzeczom.

Pokój Frakerów miał strasznie mało kryjówek. Żadnych szufladek, kabinetów, ukrytych szafek. Stały jedynie dwa chromowane krzesła z rzemiennymi paskami. Szklany stolik do kawy, którego wąskie nóżki też błyszczały chromem. Ustawiono na nim karafkę z brandy i dwa kieliszki na tacce. Nie było nawet dywanu, by pod niego zajrzeć. Jezu, co to za ludzie? Musiałam ograniczyć się do przeszukiwania półek z książkami, próbując po tytułach tomów określić pasje i zainteresowania gospodarzy. Ci ludzie mieli zwyczaj wybierać książki w twardej oprawie i z tego, co zauważyłam, Nola preferowała wystrój wnętrz, wykwentne gotowanie, ogrodnictwo, wyszywanie i porady na temat pięknej sylwetki. Moją uwagę zaprzętnęły jednak dwie półki wyłożone książkami z dziedziny architektury. O co tu chodziło? Z pewnością ani jej, ani doktorowi Frakerowi nie powierzono projektowania budynków w chwilach wolnych od pracy. Wyciągnęłam opasłe tomisko pod tytułem „Graficzne standardy architektury” i obejrzałam pierwszą kartkę. Eklibris ukazywał siedzącego kota, wpatzonego w miskę z rybą. Pod winietą nabazgrano męską ręką „Dwight Costigan”. Coś mnie tknęło. To chyba ten sam architekt, który projektował dom Glen. Pożyczona książka? Przejrzałam pośpiesznie jeszcze trzy kolejne. Wszystkie z nich pochodziły „z biblioteki Dwighta Costigana”. Dziwne. Dlaczego tutaj?



Usłyszałam stukot szpilek zbliżających się w moim kierunku i odłożyłam książkę na miejsce, po czym podeszłam do okna, udając, że interesuje mnie coś na zewnątrz. Weszła z uśmiechem, który zniknął i pojawiał się, jakby następowała jakaś przerwa w obwodzie.

– Przepraszam, że musiałaś czekać. Usiądź.

Tak naprawdę niewiele zastanawiałam się nad tym, jak mam się zachować. Zawsze gdy z wyprzedzeniem ćwiczę te krótkie rólki, świetnie mi idzie, a partner mówi to, co pragnę usłyszeć. W praktyce każdy się myli, włączając w to mnie, więc po co martwić się na zapas...

Usiadłam na jednym z chromowo-skórzanych krzeseł, mając nadzieję, że nie zaplączę się między paskami. Ona przysiadła na brzegu białej sofki, kładąc jedną dłoń w pełnym wdzięku geście na blacie szklanego stolika do kawy, postawą tą wyrażając pogodę ducha; tyle tylko, że zostawiała na nim ślady palców. Szybkim spojrzeniem omiotłam całą jej sylwetkę. Była smukła, długonoga, miała idealne piersi wielkości jabłek. Jej włosy w sztucznym odcieniu czerwieni otaczały twarz gmatwaną delikatnych loków. Niebieskie oczy, nieskazitelna skóra. Cechował ją ten wiecznie młody wygląd, który zdobywa się poprzez kosztowną operację kosmetyczną, a czarny strój tylko podkreślał bujne ciało, nie będąc równocześnie wulgarny ani tandetny. Zachowywała się z powagą i szczerością, choć moim zdaniem udawaną.

– Czym mogę służyć? – zapytała.

W ciągu ułamka sekundy musiałam poprawnie ocenić sytuację. Czy Bobby Callahan mógł naprawdę związać się z tą fałszywą kobietą? Do diabła, kogo chciałam oszukać? Oczywiście!

Obdarzyłam ją pięćdziesięciowatowym uśmiechem, wspierając na dłoni podbródek.

– Mam taki mały problem, Nola. Mogę mówić do ciebie Nola?

– No pewnie. Glen wspomniała, że badasz sprawę śmierci Bobby’ego.

– To prawda. Tak naprawdę Bobby wynajął mnie tydzień temu i czuję, że powinnam coś zrobić za jego pieniądze.

– Aha. Myślałam, że coś jest nie tak i dlatego prowadzisz to śledztwo.

– Kto wie? Może jest tak w istocie?

– Ale czy nie powinna się tym zająć policja?

– Jestem pewna, że się tym zajmują. Prowadzę... No wiesz, pomocnicze śledztwo, tak na wypadek gdyby byli na fałszywym tropie.

– No cóż, mam nadzieję, że ktoś to wyjaśni. Biedny dzieciak. Tak nam wszystkim żal Glen. Jak ci idzie?

– Jeśli mam być szczerą, całkiem nieźle. Ktoś opowiedział mi połowę historii i pozostaje jedynie

dopowiedzieć resztę.

– Z tego wnoszę, że idzie ci zupełnie dobrze. – Zawahała się na moment. – Jakiej historii?

Podejrzewam, że nie miała zamiaru pytać, ale natura konwersacji kazała jej to zrobić. Jeżeli chciała udawać pomoc, musiała też udać zainteresowanie tematem, który z pewnością wolałaby zignorować.

Przez chwilę wpatrywałam się z rozmysłem w szklany blat stolika. Sądzę, że przydało to szczypty wiarygodności temu, co za chwilę miałam powiedzieć. Popatrzyłam na nią, spoglądając jej znacząco w oczy.

– Bobby powiedział mi, że się w tobie kochał.

– We mnie?

– Tak właśnie powiedział.

Zwęziła oczy. Uśmiech na jej ustach pojawiał się i znikał.

– Cóż, jestem zdumiona. To znaczy, schlebia mi to bardzo i zawsze uważałam go za słodkiego dzieciaka, ale doprawdy!

– Dla mnie nie było to aż tak zdumiewające.

Jej śmiech promieniował cudowną kombinacją niewinności i powątpiewania.

– Och, na litość boską. Jestem mężatką. Poza tym dwanaście lat starszą od niego.

Cholera, była szybka – ujęła sobie lat, nie racząc nawet policzyć na palcach. Nie jestem taka szybka w odejmowaniu, więc całe szczęście, że nie muszę kłamać na temat swego wieku.

Uśmiechnęłam się nieznacznie. Wkurzała mnie i bezwiednie przyjąłam łagodny, zabójczy ton:

– Wiek tu nie ma nic do rzeczy. Bobby nie żyje. Jest starszy niż Bóg. Jest tak stary, że już nikt starszy być nie może.

Wpatrywała się we mnie, sądząc, że oszalałam.

– Nie musisz być złośliwa z tego powodu. Nic nie poradzę, że Bobby postanowił zakochać się we mnie. Więc dzieciak miał bzika na moim punkcie. I co z tego?

– To z tego, że dzieciak miał z tobą romans, Nola. Ot co. Włożyłaś cycek do magła, a on pomagał ci go stamtąd wyciągnąć. Dzieciak zginął z twojego powodu, oczy ci bielmem zaszły? A teraz, czy skończymy z wciskaniem ciemnoty i przejdziemy do rzeczy, czy może mam dzwonić do pułkownika Dolana z wydziału zabójstw, żeby zaprosił cię na pogawędkę?

– Nie wiem, o czym mówisz – parsknęła.

Wstała, ale ja ją uprzedziłam, tak szybko zaciskając dłoń na jej eleganckim nadgarstku, że sapnęła. Szarpnęła lekko, a wtedy ją puściłam, choć czułam, że nadymam się gniewem niczym balon na rozgrzane powietrze.

– Mówię ci, Nola. Masz jeszcze wybór. Powiesz mi, co się stało, albo zacznę sprawiać ci kłopoty. I wierz mi, mogę to zrobić. Pobiegnę do sądu i zacznę wertować urzędowe zapiski, artykuły w gazetach i akta policyjne, aż znajdę na twój temat jakąś informację, potem wykombinuję, co ukrywasz, i znajdę sposób, by tak ci dowalić, że będziesz żałować, że nie wyśpiewałaś wszystkiego już teraz.

I właśnie wtedy doznałam objawienia. Gdzieś w umyśle usłyszałam dźwięk, jakby otwieranego spadochronu. Prask!... Otworzył się. Był to jeden z tych nadzwyczajnych momentów, kiedy automatycznie włącza się ukryty pokład pamięci, a porcja informacji wyskakuje jak z procy. Chyba stało się tak dzięki adrenalinie przepływającej przez moją głowę, gdyż odzyskałam nagle z banków pamięci pewne dane, które w miarę wyraźnie ukazały się przed moimi oczami... Nie odczytałam wszystkiego, ale wystarczająco dużo.

– Poczekaj no. Wiem, kim jesteś. Byłaś żoną Dwighta Costigana. Wiedziałam, że już cię gdzieś widziałam. Twoje zdjęcie zamieszczono we wszystkich gazetach.

Zbladła.

– To nie ma z tym nic wspólnego – powiedziała.

Zaśmiałam się, głównie dlatego, że tak na mnie działa nagle olśnienie. W mentalnym przeskoku macza palce jakiś związek chemiczny, który wywołuje przyływ energii.

– Daj spokój – powiedziałam. – Właśnie, że ma. Nie wiem jeszcze co, lecz to wszystko należy do jednej historyjki, zgadza się?

Opadła z powrotem na sofkę, sięgając jedną ręką do szklanego blatu, by złapać równowagę. Oddychała głęboko, starając się zrelaksować.

– Lepiej, żebyś spasowała – rzekła, nie patrząc na mnie.

– Zwariowałaś? – odparłam. – Czy odmówił ci posłuszeństwa twój rybi mózdzek? Bobby Callahan wynajął mnie, bo sądził, że ktoś próbuje go zabić, i nie mylił się. Nie żyje i nie może już wyjaśnić całej sprawy, ale ja mogę i jeśli sądzisz, że popuszczę draniowi, to mnie jeszcze nie znasz.

Potrząsała głową. Cała uroda znikła i to, co pozostało, wydawało się marne. Wyglądała jak w świetle lampy fluorescencyjnej – zmęczona, blada, wyświechtana. Mówiła cichym głosem:

– Powiem, co mogę. A potem zaklinam, wycofaj się ze śledztwa. Mówię poważnie. Dla twojego dobra. Miałam romans z Bobbym. – Przerwała, szukając dogodnej ścieżki. – Był cudowny. Naprawdę. Szalałam na jego punkcie. Taki nieskomplikowany i nie miał przeszłości. Po prostu

młody i zdrowy, pełen temperamentu. Boże. Miał dwadzieścia trzy lata. Nawet ta jego skóra. Była jak... – Jej oczy spotkały się z moimi i urwała nagle, zażenowana, uśmiech błąkał się po jej wargach, tym razem na skutek jakichś emocji, których nie potrafiłam odczytać... Bólu albo czułości...

Ostrożnie opadłam na krzesło, by nie zepsuć nastroju.

– Kiedy jesteś w takim wieku – powiedziała – ciągle myślisz, że wszystko można naprawić. Ciągle myślisz, że możesz mieć wszystko. Uważasz, że życie jest proste, że musisz zrobić tylko jedną czy dwie nieistotne rzeczy i wszystko się odwróci. Mówiłam mu, że ze mną tak nie jest, ale on miał w sobie coś z rycerza. Słodki głupiec.

Milczała przez dłuższą chwilę.

– Słodki głupiec, co dalej? – podpowiedziałam cicho.

– No tak, musiał przez to umrzeć. Trudno wyrazić, jak czułam się winna... – Zamyśliła się i wpatrzyła w okno.

– Opowiedz mi od początku. Jak Dwight jest w to wplątany? Zastrzelono go, prawda?

– Dwight był ode mnie dużo starszy. Miał czterdzieści pięć lat w dniu naszego ślubu. Ja dwadzieścia dwa. Stanowiliśmy dobre małżeństwo... W każdym razie do pewnego momentu. Wielbił mnie, a ja go podziwiałam. Niewiarygodne rzeczy uczynił dla tego miasta.

– Zaprojektował dom Glen, czyż nie?

– Niezupełnie. Oryginalnym architektem był jego ojciec, kiedy dom wznoszono w latach dwudziestych. Dwight zajął się renowacją. Sądzę, że drink dobrze mi robi. Czy też masz ochotę?

– Jasne, czemu nie? – odpowiedziałam.

Sięgnęła do karafki z brandy, usuwając ciężką, szklaną zatyczkę. Przyłożyła szyjkę naczynia do brzegu kieliszka, lecz ręce drżały jej tak bardzo, że czekałam, kiedy stłucze szkło. Przejęłam karafkę, nalewając do pełna jej i sobie, choć o dziesiątej rano niczego mniej nie pragnęłam. Zakręciła delikatnie kieliszkiem i obie wypiliśmy do dna. Przełknęłam i moje usta otworzyły się automatycznie, jakbym właśnie wypłynęła nad powierzchnię wody w basenie. Był to tak doskonały trunek, że pomyślałam, iż chyba przez następny rok nie będę myć zębów. Obserwowałam, jak Nola przychodzi do siebie, dwukrotnie głęboko wciągając powietrze.

Desperacko próbowałam przypomnieć sobie artykuły, jakie czytałam o incydencie, w którym zginął Costigan. To musiało zdarzyć się jakieś pięć, sześć lat temu. Jeśli pamięć mnie nie zawodziła, pewnej nocy ktoś włamał się do ich domu w Montebello i po szamotaninie w sypialni postrzelił śmiertelnie Dwighta. Byłam wtedy u klienta w Houston, więc nie śledziłam zbyt uważnie wydarzeń, ale o ile mi było wiadomo, sprawa wciąż widniała w księgach jako niewyjaśnione morderstwo.

– Co się stało?

– Nie pytaj i nie wtrącaj się. Zaklinałam Bobby’ego, żeby dał sobie spokój, ale nie chciał słuchać i to go kosztowało życie. Co było, minęło. Wszystko skończone i tylko ja muszę teraz za to płacić. Zapomnij o tym. Ja machnęłam ręką, a jeśli jesteś bystra, zrobisz to samo.

– Wiesz, że nie mogę. Powiedz mi, co zaszło.

– Po co? To niczego nie zmieni.

– Nola, mam zamiar dowiedzieć się, bez względu na to, czy mi powiesz. Jeśli wyjaśnisz mi wszystko, może nie będę musiała podejmować dalszych kroków. Może zrozumieć i zgodzę się, by zostawić to w spokoju. Nie jestem nierozsądna, ale musisz wyłożyć karty na stół.

Dostrzegłam, że na jej twarzy maluje się niezdecydowanie.

– O Boże! – westchnęła, na moment spuściła głowę, po czym popatrzyła na mnie z niepokojem. – Rozmawiamy tu o wariacie. Kimś całkowicie szalonym. Musisz mi przysiąc... Musisz obiecać, że się wycofasz.

– Dobrze wiesz, że nie mogę tego obiecać. Opowiedz mi wszystko, a potem pomyślimy, co należy zrobić.

– Nie powiedziałam o tym nikomu oprócz Bobby’ego i patrz, co się stało.

– A co z Sufi? Ona przecież wie, prawda?

Zmrużyła oczy, wzdrygając się na wspomnienie Sufi. Odwróciła wzrok.

– Nie ma o niczym pojęcia. Jestem pewna, że nie wie, co się dzieje. No bo niby skąd? – Ta część wypowiedzi nie zabrzmiała zbyt przekonująco, ale na razie pominęłam to milczeniem. Czyżby Sufi ją szantażowała?

– No cóż, ktoś jeszcze wie – powiedziałam. – Z tego, co wnoszę, szantażowano cię i temu chciał właśnie przeciwdziałać Bobby. Co tu jest grane? Czym ta osoba może ci zagrozić? Jakiego ma haka?

Pozwoliłam, by cisza się przeciągnęła, obserwując, jak zмага się z potrzebą wywnętrzenia.

Ostatecznie zaczęła mówić tak cicho, że musiałam się nachylić, aby lepiej słyszeć.

– Byliśmy małżeństwem niemal od piętnastu lat. Dwight poddał się terapii, by obniżyć wysokie ciśnienie krwi, przez co został impotentem. I tak nigdy nasze życie intymne nie było ekscytujące. Zaczęło mi to dokuczać i znalazłam... kogoś innego.

– Kochanka.

Przytaknęła głową, zamykając oczy, jakby męczyło ją wspomnienie starych czasów.

– Pewnego razu Dwight przyłapał nas w łóżku. Wpadł w szał. Poszedł do gabinetu po broń, wrócił

i doszło do bójki.

Odgłos kroków doszedł do nas z korytarza. Spojrzałam w stronę drzwi, ona też.

– Nie piśnij o tym ani słówka, proszę.

– Zaufaj mi, nie pisnę. A co z resztą?

Zawahała się.

– Zastrzeliłam Dwighta. To był wypadek, ale ktoś ma pistolet z moimi odciskami palców.

– I tego pistoletu właśnie szukał Bobby?

Skinęła głową, niemal niezauważalnie.

– Ale kto go ma? Twój ekskochanek?

Nola uniosła palec do ust. Zapukano do drzwi i doktor Fraker wetknął głowę, wyraźnie zdziwiony moją obecnością.

– O, cześć, Kinsey. Czy to twój samochód na podjeździe? Miałem właśnie wyjeżdżać i zastanawiałem się, kto do nas wpadł.

– Wpadłam, by porozmawiać z Nolą o Glen – powiedziałam. – Chyba nie czuje się za dobrze i zastanawiałam się, czy nie powinniśmy opracować jakiegoś planu, dzięki któremu mogłybyśmy kolejno spędzać z nią więcej czasu, teraz kiedy wyprowadził się Derek.

Potrząsnął głową ze smutkiem.

– Doktor Kleinert przewidział, że ona go przepędzi. Cholerna szkoda. Nie żebym go specjalnie lubił, ale ona i tak ma dość kłopotów na karku. Serce mi się kraje, że doszedł jej jeszcze jeden.

– I mnie – dodałam. – Chcesz, żebym przesunęła samochód?

– Nie, wszystko w porządku – powiedział, spoglądając na Nolę. – Muszę parę spraw załatwić w szpitalu, ale nie powinienem wracać zbyt późno. Czy mamy jakieś plany związane z obiadem?

Uśmiechnęła się miło, choć musiała przełknąć ślinę, zanim się odezwała.

– Myślałam, że zjemy w domu, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Jasne, może być. No cóż. Knujcie dalej te swoje plany. Miło było cię spotkać, Kinsey.

– Tak naprawdę, to już skończyłyśmy – powiedziała Nola, wstając.

– Ach tak, to dobrze – odparł. – Odprowadzę cię.

Wiedziałam, że posłużyła się jego osobą, by zakończyć rozmowę, ale nie przychodziła mi na myśl żadna strategia jej przedłużenia, szczególnie gdy tych dwoje wpatrywało się we mnie.

Pożegnałyśmy się bez ceregieli, a doktor Fraker przytrzymał przede mną drzwi i opuściłam pokoiik. Spoglądając za siebie, zauważyłam, że na twarzy Noli maluje się niepokój; podejrzewałam, że żałuje swojej wylewności. Miała wiele do stracenia: wolność, pieniądze, status, szacunek ludzi. Była na łasce i niełasce każdego, kto wiedział to co ja. Zastanawiałam się, jak ważne jest dla niej to, co posiada, i ile w rezultacie od niej wyłudzone.

Pojechałam do biura. Przy szczelinie pod drzwiami uzbierał się stos listów. Zebrałam wszystkie i rzuciłam na biurko, potem otworzyłam balkon, by wpuścić nieco świeżego powietrza. Światelko na automatycznej sekretarce mrugało. Usiadłam i wcisnęłam przycisk odgrywania.

Wiadomość pochodziła od mojego przyjaciela w firmie telekomunikacyjnej, dotyczyła odłączenia telefonu S. Blackmana, o pełnym imieniu Sebastian S., wiek sześćdziesiąt sześć lat, adres Tempe w Arizonie. No cóż, informacja nie brzmiała zbyt obiecująco. Jeśli wszystko inne zawiedzie, musiałabym sprawdzić powtórnie i zorientować się, czy facet nie miał jakichś powiązań z Bobbym. Jakoś w to wątpiłam. Sporządziłam notkę w jego kartotece. Powierając wszystko papierowi, czułam się zabezpieczona. Jeśli coś mi się stanie, ktoś się tu pojawi i podejmie trop. Ponura myśl, ale nie wyszana z palca, zważywszy na los Bobby'ego.

Następne półtorej godziny spędziłam na przeglądaniu poczty i regulowaniu moich finansów. Otrzymałam kilka czeków za wyświadczone usługi. Wypełniłam druczek wpłat na konto w banku. Jeden rachunek odesłano mi bez otwierania, oznaczając kopertę napisem „Adresat nieznanym. Odesłane do nadawcy” i wielkim purpurowym palcem, wskazującym wprost na mnie. Boże, a to gnojek. Nie cierpię, jak mnie nabierają ci, którym świadczyłam usługi. Odwaliłam dla tego faceta kawał dobrej roboty. Wiedziałam, że zwykle nie śpieszy się z płaceniem, ale nie przewidywałam, że wymiga się tak po chamsku. Odłożyłam kopertę na bok. Dopadnę drania w wolnej chwili.

Dochodziło już prawie południe i spojrzałam na aparat. Wiedziałam, że muszę wykonać jeden telefon i podniosłam słuchawkę, wystukując szybko numer, by mój zapal nie wygasł.

- Komisariat policji w Santa Teresa. Dyżurny Collins.
- Chciałabym rozmawiać z sierżantem Robbem z wydziału osób zaginionych.
- Proszę chwilę poczekać. Połączę panią.

Serce tak mi łomotało, że poczułam wilgoć pod pachami.

Zetknęłam się z Jonahem podczas śledztwa dotyczącego zniknięcia kobiety, niejkiej Elaine Boldt. Był miłym facetem z pospolitą twarzą, jakimiś dwudziestoma funtami nadwagi, zabawnym, bezpośrednim. Miał w sobie coś z rebelianta: wbrew wszelkim przepisom sporządzał dla mnie pirackie kopie raportów dotyczących pewnego zabójstwa. Całe lata przeżył w małżeństwie ze swoją sympatią jeszcze z czasów szkoły podstawowej, która jednak odeszła od niego wraz z dwiema córkami, zostawiając jedynie zamrażarkę pełną kiepskich obiadów własnego wyrobu. Nigdy nie był błyskotliwy, ale ja na to i tak nie zważam. Bardzo go polubiłam. Nie byliśmy kochankami, ale wykazywał odrobinę zdrowego, męskiego zainteresowania, a ja to mgliście dostrzegłam, aż tu nagle z powrotem zszedł się z żoną. Co tu dużo mówić, poczułam się urażona i od tego czasu unikałam z nim spotkań.

- Tu Robb.



– Jezu – powiedziałam. – Jeszcze z tobą nie zaczęłam rozmawiać, a już jestem podkręcona.

Słyszałam, że się zawahał.

– Kinsey, czy to ty?

Zaśmiałam się.

– Tak, to ja i właśnie zdałam sobie sprawę, jak jest mi zimno.

Dobrze wiedział, o czym mówię.

– Boże, wiem, kotku. Ależ to było łąjno. Myślałem o tobie często.

– Tak, tak – powiedziałam swoim, mam nadzieję, najbardziej sceptycznym tonem. – A jak się ma Camilla?

Westchnął i oczami wyobraźni zobaczyłam, jak gładzi ręką włosy.

– Podobnie jak przedtem. Traktuje mnie jak śmieć. Nie wiem, dlaczego pozwoliłem jej wrócić do mojego życia.

– Jednak to miło, że dziewczynki są z powrotem w domu, no nie?

– Hm, to prawda – odparł. – Widujemy się z doradcą rodzinnym. Nie one. Ja i żona.

– Może to coś da.

– A może nie. Cóż, nie powinienem się skarżyć – zmienił nagle ton. – Chyba sam sobie nawarzyłem tego piwa. Przepraszam, że skończyło się to tak przykro dla ciebie.

– Tym się nie przejmuj. Jestem dużą dziewczynką. Poza tym obmyśliłam sposób, w jaki możesz się zrehabilitować. Pomyślałam, że może zaproszę cię dzisiaj na lunch i wyciągnę trochę informacji.

– Jasne, z wielką przyjemnością, tylko że ja stawiam. To mi pomoże częściowo okupić swoją winę. Jak ci się podoba słowo „okupić”? To słowo dnia w moim słownikowym kalendarzu. Wczoraj było „niechybny”. Nie mogłem wpaść, jak mam tego użyć. Gdzie chcesz pójść? Wymień miejsce.

– Och, dajmy sobie spokój. Nie chcę tracić czasu na towarzyskie uprzejmości.

– Co powiesz na budynek sądu. Zdobędę jakieś kanapki i zjemy na trawniku.

– Boże, na oczach gawiedzi? Czy na posterunku nie będą plotkować?

– Mam nadzieję, że będą. Może Camilla zwącha pismo nosem i znowu ode mnie odejdzie.

– No to do zobaczenia o dwunastej trzydzieści.

– Czy jest coś, czym mógłbym się zająć?

– Śluszna uwaga. – Przekazałam mu streszczenie dotyczące zastrzelenia Costigana, nie mieszając w to Noli Fraker. Później zdecyduję, jaką część tej historii mogę powierzyć jego uszom. Na razie nakarmiłam go obowiązującą wersją, prosząc, by zerknął do kartotek.

– Całą sprawę przypominam sobie jak przez mgłę. Zobaczę, co da się odkopać.

– I jeszcze jedno, jeśli można – poprosiłam. – Czy mógłbyś sprawdzić poprzez NCIC kobietę o nazwisku Lila Sams? – Podałam mu dwa inne nazwiska, Delia Sims i Delilah Sampson, datę urodzenia, które odpisałam z prawa jazdy, dodatkowo informacje z moich notatek.

– W porządku. Zrobię, co w mojej mocy. Do zobaczenia wkrótce – powiedział i odłożył słuchawkę.

Przyszło mi do głowy, że skoro Lila obmyśliła jakiś szwindel dotyczący Henry'ego, mogła należeć do osób mających własną kartotekę. Żadnym sposobem nie mogłam uzyskać dostępu do Narodowego Centrum Informacji o Zbrodniach, chyba że za pośrednictwem autoryzowanej, prawnej agencji. Jonah mógł wklepać nazwisko do komputera i w ciągu paru minut otrzymać zbiór danych, dzięki czemu upewniłabym się, czy instynkt wciąż mnie nie zawodzi.

Posprzątałam w biurze, wzięłam depozyt bankowy, pozamykałam wszystko i wstąpiłam jeszcze na pogawędkę do rezydującej obok Very Lipton, jednej z likwidatorek szkód w California Fidelity Insurance. Po drodze do sądu zajrzałam do banku, ulokowałam większość pieniędzy na rachunkach oszczędnościowych, lecz pozostawiłam dość na rachunku czekowym, by pokryć bieżące wydatki.

Dzień, który zaczął się upałem, zmienił się teraz w prawdziwy wrzątek. Chodniki drżały, a palmy wyglądały, jakby je słońce wybieliło. Tam gdzie zalano dziury na jezdni, asfalt był miękki i ziarnisty niczym ciasto na bułki.

Budynek sądu w Santa Teresa wygląda jak zamek Maurów: ręcznie rzeźbione drewniane drzwi, wieżyczki, kute balkony. Wewnątrz ściany tak gęsto pokryto ceramiczną mozaiką, że może się wydawać, iż ktoś wyłożył je połatanyimi kołdrami. Jedna z sal szczyti się cykloramicznym malowidłem, przedstawiającym założenie Santa Teresa przez hiszpańskich misjonarzy. To jakby disneyowska wersja rzeczywistości, ponieważ artysta pominął rozprzestrzenienie się syfilisu i wyniszczenie Indian. Jeśli mam być szczerą, jednak ją wolę. No bo jak skoncentrować się na sprawiedliwości, gapiąc się na jakąś bandę Indian w ostatnim stadium rozkładu?

Przeszłam pod wielkim łukiem sklepienia, kierując się w stronę ogrodów urządzonych za gmachem. Na trawniku rozsiadły się jakieś dwa tuziny ludzi, niektórzy jedli lunch, inni drzemali lub się opalali.

Leniwie szacowałam zalety przystojnego mężczyzny, w ciemnogrnatowym podkoszulku, podążającego w moim kierunku. Oglądałam go od stóp do głowy. Ho, ho, zgrabne biodra, biorąc poprawkę na ubranie... Hm, płaski brzuch, szerokie ramiona. Prawie do mnie doszedł, kiedy po ujrzeniu jego twarzy doszłam do wniosku, że to Jonah.

Nie widziałam go od czerwca. Najwidoczniej dieta i rygor przy zrzucaniu wagi działają jak czary. Twarz, którą niegdyś ochrzciłam mianem „niegroźnej”, teraz zaostrzyła się przyjemnie. Jego ciemne włosy były dłuższe, opalił się, a niebieskie oczy gorzały na twarzy koloru cukru klonowego.

– O Boże – powiedziałam, stojąc jak wryta. – Wyglądasz wspaniale.

Błysnął uśmiechem, zadowolony.

– Tak myślisz? Dzięki. Od naszego ostatniego spotkania musiałem stracić ze dwadzieścia funtów.

– Jak ci się to udało? Poprzez ciężką pracę?

– Tak, pracowałem co nieco.

Stał i tak się gapiliśmy na siebie. Wydzielał feromony niczym piżmowy płyn po goleniu i poczułam, jak zaczyna się burzyć chemia w moim organizmie. Otrząsnęłam się. Nie potrzebowałam tego. Jedyną gorszą rzeczą od mężczyzny tuż po rozwodzie jest mężczyzna wciąż żonaty.

– Słyszałem, że byłaś ranna – powiedział.

– Zwykła dwudziestkadwójka, to się nie liczy. Także mnie pobito, a to już bolało. Nie wiem, jak można tolerować takie gówno – odpowiedziałam. Żałośnie potarłam nasadę nosa. – Złamali mi nos.

Pod wpływem impulsu sięgnął i powiódł palcem wzdłuż mojego nosa.

– Mnie się podoba – rzekł.

– Dzięki – powiedziałam. – Wciąż się nim fajnie wacha.

Nastąpiła teraz jedna z tych niewygodnych przerw, które zawsze towarzyszyły naszemu związkowi.

Przerzuciłam torebkę z ramienia na ramię, byle coś zrobić.

– Co przyniosłeś? – spytałam, wskazując na papierowe zawiniątko, które trzymał w ręce.

Popatrzył na nie.

– Och, fakt, zapomniałem. Hm, kanapki, pepsi i ciastka.

– Moglibyśmy coś zjeść – zaproponowałam.

Nie poruszył się. Potrząsnął głową.

– Kinsey, nie przypominam sobie, bym tak się kiedyś czuł. Może pieprzniemy ten cały lunch i pójdziemy tam, za ten krzaczek?

Roześmiałam się, gdyż przebiegła mi przez głowę myśl o czymś gorącym i nieprzyzwoitym, o czym tu nie chcę pisać. Wsunęłam rękę pod jego ramię.

– Miły jesteś.

– Nie chcę o tym słyszeć.

Zeszliśmy szerokimi, kamiennymi schodami, zmierzając w stronę odległego końca sądowego trawnika, gdzie krzaczaste zarośla rzucały cień na trawę. Usiedliśmy, zagłębiając się w proces spożywania lunchu. Puszki pepsi zostały otworzone, sałata wypadła z kanapek, a my wymienialiśmy papierowe serwetki pomrukując, jakie wszystko jest dobre. Podczas kończenia posiłku odzyskaliśmy trochę profesjonalnego spokoju i większość rozmowy przeprowadziliśmy jak dorośli, a nie jak zgłodniałe seksu dzieciaki.

Wrzucił pustą puszkę do papierowej torebki.

– Powiem ci, co mówią o zastrzeleniu Costigana. Facet, z którym rozmawiałem, pracował kiedyś w wydziale zabójstw i twierdzi, że nigdy nie miał wątpliwości, iż zastrzeliła go żona. Jedna z tych sytuacji, kiedy cała historia śmierdzi, wiesz? Zgodnie z jej wersją włamał się do nich jakiś facet, mąż złapał pistolet, wielka szamotanina, bum! Pistolet wypala i mąż nie żyje. Intruz zmyka, a ona dzwoni po gliny, wzburzona ofiara przypadkowej próby włamania. No cóż, nie brzmiało to wszystko przekonująco, ale ona nie popuszczała. W mgnieniu oka wynajęła jakąś szyszkę wśród prawników i nie wykrztusiła słowa, dopóki nie zjawił się na miejscu. Wiesz, jak to się odbywa. „Przykro mi, ale moja klientka nie może odpowiedzieć na to pytanie”. „Przykro mi, ale nie pozwolę mojej klientce na to odpowiadać”. Nikt nie uwierzył w ani jedno jej słowo, ale ona nigdy się nie ugięła, no i nie było dowodów. Żadnego świadectwa, informatora, żadnej broni, żadnych świadków. Koniec, kropka. Mam nadzieję, że nie pracujesz dla niej, bo jeśli tak, to ci odbiło.

Potrząsnęłam głową.

– Badam śmierć Bobby’ego Callahana – powiedziałam. – Sądzę, że został zamordowany i wiąże się to w pewien sposób ze śmiercią Dwighta Costigana. – Opisałam mu pobieżnie całą sprawę, unikając jego spojrzenia.

Zdążyliśmy już rozciągnąć się wygodnie na trawie i nawiedzały mnie ciągle te obrazy seksualnego wyuzdania, które w moim odczuciu nie były wtedy na miejscu. Dlatego paplałam, jak najęta, by zapanować nad myślami.

– Boże, odkryłaś coś nowego w sprawie zabójstwa Costigana, pułkownik Dolan ozłoci cię za to – powiedział.

– A co z tą Lilą Sams?

Podniósł palec.

– Najlepsze zachowałem na koniec – odparł. – Powęszyłem tu i ówdzie i bingo! Lista nakazów aresztowania tej kobiety jest długa jak twoja ręka. Te pierwsze datują się na 1968 rok.

– Za co?

– Za oszustwa, nielegalne przywłaszczenie majątków, wyłudzenia. Rozpowszechniała też fałszywe pieniądze. W chwili kiedy to mówimy, rozesłano za nią sześć listów gończych. Ale czekaj. Przypatrz się tutaj. Mam z sobą jej zdjęcie.

Podał mi wydruk komputerowy. Dlaczego nie czułam dumy na myśl, że wreszcie ją dopadnę? Bo złamię tym serce Henry’ego, a nie chciałam brać za to odpowiedzialności. Przejrzałam kartkę papieru.

– Czy mogę to zatrzymać?

– Jasne, ale nie podskakuj tak z niecierpliwości! Uspokój się – powiedział. – Rozumiem, że wiesz, gdzie ona jest.

Popatrzyłam na niego z nieznacznym uśmiechem.

– Być może siedzi właśnie u mnie na podwórku, popijając herbatę z lodem – oznajmiłam. – Właściciel mojego mieszkania zakochał się w niej po uszy i przypuszczam, że ona chce go usidlić.

– Pogadaj z Whiteside’em z wydziału oszustw, on ją każe zatrzymać.

– Chyba najpierw porozmawiam z Rosie.

– Z tą starą babą, która prowadzi spelunę niedaleko ciebie? Co ona ma z tym wspólnego?

– Och, żadna z nas nie może ścierpieć Lili. Rosie chciała, żebym przeprowadziła wywiad środowiskowy, by znaleźć na nią jakiegoś haka. Musiałyśmy dowiedzieć się, skąd pochodzi.

– Więc teraz wiecie. A zatem, o co chodzi?

– Nie wiem. Coś tu źle pachnie, ale dojdę do tego. Nie chcę zrobić czegoś, czego będę później żałowała.

Nastała chwila ciszy, a potem Jonah pociągnął mnie za koszulkę.

– Trenowałaś ostatnio strzelanie?

– Nie, odkąd robiliśmy to razem – powiedziałam.

– Nie miałybyś ochoty?

– Jonah, nie możemy.

– Czemu nie?

– Bo czulibyśmy się jak na randce, a to by nas oboje żenowało.

– Daj spokój. Sądziłem, że jesteśmy przyjaciółmi.

– Jesteśmy. Tylko nie możemy się umawiać.

– Czemu nie?

– Bo jesteś zbyt przystojny, a ja zbyt bystra – rzekłam cierpko.

– A więc znów wracamy do Camilli, zgadza się?

– Zgadza się. Nie mam zamiaru się w to mieszać. Jesteś z nią już od dawna.

– Coś ci powiem. Wciąż sobie to wyrzucam. Mógłbym pójść do innej podstawówki, wiesz? Siódma klasa. Skąd mogłem wiedzieć, że podejmuję decyzję, która będzie mnie gnębiła w średnim wieku?

Roześmiałam się.

– W życiu roi się od podobnych wydarzeń. Musiałeś wybierać. Mogłeś zostać mechanikiem samochodowym. Zamiast tego jesteś gliniarzem. A wiesz, co ja miałam do wyboru? Psychologię albo bawienie dzieci. Miałam gdzieś i to, i to.

– Żałuję teraz, że cię znów zobaczyłem.

Czułam, jak mój uśmiech zamiera.

– No cóż, przykro mi z tego powodu. Bo to moja wina. – Patrzyliśmy na siebie zbyt długo, więc wstałam, otrzepując dzinsy. – Muszę już iść.

On też wstał i wymieniliśmy parę pożegnalnych słów. Wkrótce potem się rozeszliśmy. Cofnęłam się kilka kroków, patrząc, jak wraca na posterunek. Następnie ruszyłam do swego biura, powracając myślą do sprawy Henry’ego Pittsa. Doszłam do wniosku, że nie ma sensu mówić o tym z Rosie. Oczywiście, będę musiała powiadomić policję, gdzie znajduje się Lila. Była naciągaczką prawie od dwudziestu lat i z pewnością nie zdołałaby zreformować Henry’ego i uczynić go szczęśliwym człowiekiem u schyłku dni. Zamierzała okpić go z zimną krwią, łamiąc mu serce. Co za różnica, jak ją złapią i kto ją wsypie? Lepiej, by stało się to teraz, nim wyciągnie od niego ostatniego centa.

Maszerowałam pośpiesznie, ze spuszczoną głową, ale gdy dotarłam do rogu Floresty i Anacondy, skręciłam gwałtownie w lewo i ruszyłam na posterunek policji.

Od godziny i czterdziestu pięciu minut przebywałam na posterunku. Na szczęście dział osób zaginionych i dział oszustw nie mieszczą się blisko siebie, więc nie musiałam bać się, że wpadnę znowu na Johana. Z początku Whiteside był na lunchu, potem miał pilne zebranie. A kiedy wyjaśniłam mu sytuację, musiał zadzwonić do hrabstwa w północnej części Nowego Meksyku, gdzie wydano trzy nakazy. Czekał na odpowiedź, skontaktował się z szeryfem okręgowym z jakiegoś małego miasteczka pod San Francisco, próbując zdobyć informację na temat wydanego w Marin nakazu aresztowania. Piąty nakaz, wydany w Boise w Idaho, zarzucał jej jakieś wykroczenie i tamtejszy detektyw powiedział, że w żadnym wypadku nie jest w stanie po nią przyjechać. Szósty nakaz, z Twin Falls, wydano na podstawie bliżej niesprecyzowanych zarzutów. A zatem, jak dotąd, Lila Sams mogła cieszyć się wolnością.

O trzeciej dwadzieścia z hrabstwa Marin nareszcie nadeszła odpowiedź na telefon Whiteside'a, w której potwierdzono ważność nakazu i obiecano, że ktoś ją odbierze po aresztowaniu. Swą pomoc zaoferowali głównie dlatego, że jeden z ich pracowników, przebywający na wakacjach w Santa Teresa, zgodził się eskortować ją do Marin. Whiteside powiedział, że gdy tylko kopia nakazu nadejdzie teleksem, wyśle oficera z patrolu, by ją aresztował. Tak naprawdę nie musiał mieć w ręce nakazu, ale chyba zdążył wyczuć, że Lila może się jeszcze wywinąć. Dałam mu adres Mozy i mój oraz szczegółowo opisałam Lilę Sams.

Gdy wróciłam do domu, była trzecia czterdzieści. Henry siedział na długim krześle na podwórku za domem, otaczały go książki. Spojrzał znad swego notatnika, kiedy wyszłam zza rogu.

– A, to ty – powiedział. – Myślałem, że może Lila. Powiedziała, że wpadnie się pożegnać przed wyjazdem.

O zgrozo!

– Wyjeżdża?

– No cóż, „wyjeżdża” to złe słowo. Na kilka dni jedzie do Las Cruces, ale ma nadzieję wrócić pod koniec tygodnia. Chyba wyniknął jakiś problem dotyczący posiadłości, której jest właścicielem, i musi uporządkować sprawy. To parszywa niedogodność, ale co można zrobić?

– Ale jeszcze nie wyjechała, prawda?

Sprawdził zegarek.

– Z pewnością jeszcze nie. Jej samolot odlataje o piątej. Powiedziała, że musi pójść do wydziału ksiąg wieczystych, a potem wrzucić do walizki kilka szpargałów. Czy chciałaś z nią porozmawiać?

Potrząsnęłam głową, nie potrafiąc zdobyć się na słowa, których nie mogłam mu jednak oszczędzić. Zauważyłam, że planuje nową krzyżówkę, zapisując wstępne hasła. Na górze strony zamieścił już dwa tytuły: „Rzecz elementarna, drogi Watsonie!” oraz „Już w domu, Holmesie”.

Uśmiechnął się skromnie widząc, że zauważyłam.

– Ta jest dla potomków Sherlocka, chowających się w tłumie – powiedział. Odłożył notatnik, jakby czyjś wzrok krępował jego ruchy. – No dobra, a co u ciebie?

Robił wrażenie chodzącej niewinności, nic go nie interesowało oprócz krzyżówek. Jak mogła oszukać takiego człowieka?

– Stało się coś, o czym powinieneś wiedzieć – powiedziałam. Wydobyłam komputerowy wydruk i wręczyłam go Henry'emu.

Spojrzał.

– Cóż to takiego?

Nagle wpadło mu w oko nazwisko Lili, bo przyjrzał się dokładniej papierowi. Jego oblicze stygło w miarę, jak kojarzył fakty. Skończył czytać i pokiwał ręką w niezrozumiałym celu. Milczał jakiś czas, a potem zwrócił się do mnie.

– Cóż. Wyszedłem na głupca, prawda?

– Daj spokój, Henry. Nie mów tak. Ja tak wcale nie myślę. Zaryzykowałeś, a ona mimo wszystko dała ci odrobinę szczęścia. No tak, później okazało się, że nieźła z niej szachrajka. Ale to nie twoja wina.

Gapił się na papier niczym dzieciak, uczący się literować wyrazy.

– Co skłoniło cię, byś się tym zajęła?

Choć może istniała taktowna wymówka, żadna nie przyszła mi do głowy.

– Nie lubiłam jej, szczerze mówiąc. Chyba chciałam cię obronić, szczególnie gdy mówiłeś, że chce robić z tobą interesy. Po prostu nie wierzyłam, że jest na poziomie, no i okazało się, że nie jest. Mam nadzieję, że nie dałeś jej żadnych pieniędzy?

Zwinął wydruk.

– Zamknąłem dziś rano jeden z moich rachunków.

– Ile?

– Dwadzieścia tysięcy gotówką – powiedział. – Lila mówiła, że zdeponuje je na razie na wspólnym koncie. Naczelnik banku kazał mi się dwa razy zastanowić, ale pomyślałem, że jest po prostu konserwatywny. Jak się okazuje, nie był. – Jego zachowanie stało się teraz bardzo formalne, co niemal złamało mi serce.

– Skoczę do Mozy, może uda mi się jej przeszkodzić, zanim odleci. Chcesz tam iść ze mną?



Potrząsnął głową, jego oczy błyszczały. Odwróciłam się na pięcie, by odejść szybkim krokiem.

Truchtem pokonałam przestrzeń dzielącą mnie od domu Mozy. Jakaś taksówka toczyła się wolno, kierowca sprawdzał numery domów. Ja i ona dotarliśmy pod dom Mozy dokładnie w tym samym czasie. Zjechał do krawężnika. Podeszłam od strony pasażera, zaglądając przez otwarte okno. Jego twarz przypominała piłkę plażową, uszytą ze skóry człowieka.

– To pani chciała taksówkę?

– Jasne. Lila Sams.

Porównał ze swym kalendarzykiem.

– Zgadza się. Ma pani jakieś bagaże? Bo mógłbym pomóc.

– Tak naprawdę nie potrzebuję taksówki. Sąsiad zaoferował się podrzucić mnie na lotnisko. Oddzwoniłam, ale chyba dyżurny nie powiadomił pana na czas. Przepraszam.

Obrzucił mnie spojrzeniem, potem wydał przeciągłe westchnienie, zamaszystym ruchem wykreślając adres z kalendarzyka. Ze złością zmieniał biegi i kręcił głową, wyjeżdżając na jezdnię. Boże, z takimi gestami mógłby występować na scenie.

Pokonując dwa schodki naraz, wspięłam się na werandę. Stała w otwartych drzwiach, z niepokojem obserwując odjeżdżającą taksówkę.

– Co mu powiedziałaś? To była taksówka Lili. Musi dostać się na lotnisko.

– Serio? Mówił, że pomyliły mu się adresy. Szukał Zollingera, o jedną ulicę za daleko, jak sądzę.

– Lepiej, jak spróbuję z inną firmą. Zamówiła taksówkę pół godziny temu. Jeszcze spóźni się na samolot.

– Może mógłbym pomóc – powiedziałam. – Czy jest u ciebie?

– Nie będziesz więcej rozrabiać, Kinsey. Nie pozwolę na to.

– Ja nie rozrabiam – odparłam. Minęłam salon i wyszłam na korytarz. Drzwi do pokoju Lili stały otworem.

Wszystkie rzeczy osobiste znikły jak kamfora. Jedną z szufladek, w której ukryła podrobione prawo jazdy, położyła na wierzchu etażerki, jej tylny panel był goły. Taśma maskującą leżała zwinięta jak guma do żucia. Jedna z walizek czekała gotowa przy drzwiach, a druga, wypełniona do połowy, leżała otwarta na łóżku. Obok niej zauważyłam białą, plastikową portmonetkę.

Lila stała odwrócona do mnie plecami, pochylała się, wydobywając zwoje ubrań z szuflady. Poliestrowy kostium bynajmniej nie dodawał jej urody. Z tyłu jej dupsko wyglądało jak dwie zwisające gumowe szynki. Zauważyła mnie, gdy się wreszcie odwróciła.

– Och! Ale mnie nastraszyłaś. Myślałam, że to Moza. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Podobno wyjeżdżasz. Pomyślałam, że mogę się przydać.

Błysnęła niepewnie oczami. Natychmiastowego wyjazdu Lili domagały się z pewnością jej kohorty w Las Cruces, zaalarmowane moim telefonem. Mogła podejrzewać, że ja się za tym kryję, ale nie miała pewności. Ja chciałam się tylko jakoś tu zahaczyć, zanim przybędą gliny. Nie miałam ochoty na żadną konfrontację. Z tego, co o niej słyszałam, mogła wydobyć znienacka dwustrzałowego derringera albo runąć na mnie z jakimś karatepodobnym wymachem, właściwym dla starszych kobiet, po którym padłabym nieprzytomna.

Sprawdziła godzinę. Dochodziła czwarta. Dojazd na lotnisko trwa dwadzieścia minut, a musiała tam być najpóźniej o czwartej trzydzieści, by nie ryzykować utraty miejsca. A to dawało jej dziesięć minut.

– O rany. No cóż, nie wiem, dlaczego moja taksówka jeszcze nie przyjechała. Może będę potrzebować, by ktoś podwiózł mnie na lotnisko. Czy możesz mi w tym pomóc? – zapytała.

– Nie ma sprawy – zgodziłam się. – Mój samochód stoi kawałek stąd. Henry wspomniał, że masz zamiar wpaść, by się z nim pożegnać.

– Oczywiście, że to zrobię, jeśli czas mi pozwoli. Jest taki słodki. – Uporała się nareszcie ze stosem ubrań i zauważyłam, jak rozgląda się wokół, by czegoś nie zapomnieć.

– Może zostawiłaś coś w łazience? Szampon? Ręczne pranie?

– Och, chyba masz rację. Zaraz wracam. – Wyminęła mnie, pędząc do łazienki.

Poczekalam, aż zniknie za narożnikiem, potem sięgnęłam i otworzyłam jej portmonetkę. Wewnątrz znalazłam tłustą, szarą kopertę z nazwiskiem Henry’ego. Po zdjęciu gumki sprawdziłam zawartość. Gotówka. Zamknęłam portmonetkę, wciskając kopertę za spodnie na plecach. Sądziłam, że Henry nigdy nie upomni się stanowczo o swą własność, nie chciałam, żeby skonfiskowano jego oszczędności i sklasyfikowano je jako własność policji, nie mówiąc, kiedy otrzyma je z powrotem. Poprawiałam właśnie koszulkę nad wybrzuszeniem, kiedy wróciła, niosąc szampon, czepek kąpielowy i olejek do rąk. Umieściła je po bokach spakowanego ubrania i zamknęła walizkę, zatrzasnąjąc zamki.

– Pomogę – powiedziałam.

Zsunęłam walizkę z łóżka i chwyciłam drugą, ruszając w stronę holu jak objuczony muł. Moza stała w pobliżu, wyzymając ze zdenerwowania niewidzialną ścierkę do naczyń.

– Mogę wziąć jedną z nich – zaoferowała.

– Poradzę sobie.

Zmierzałam w stronę drzwi, Moza i Lila zamykały pochód. Byłam święcie przekonana, że gliny

zjawią się w końcu. Lila i Moza wymieniały między sobą ostatnie pozdrowienia, Lila przez cały czas udawała. Odlatywała. Opuszczała to miejsce. Nie zamierzała tu kiedykolwiek wracać.

Gdy dotarliśmy do drzwi, Moza przesunęła się do przodu, by je otworzyć przede mną. Czarnobiały wóz patrolowy zajechał właśnie przed dom. Bałam się, że jeśli Lila spostrzeże go za szybko, spróbuje uciec.

– Czy wzięłaś buty spod łóżka? – zapytałam przez ramię. Zatrzymałam się w drzwiach, zasłaniając jej widok.

– Nie wiem. Patrzyłam i nic tam nie było.

– No to chyba je masz – powiedziałam.

– Nie, nie, lepiej sprawdzę. – Pognała w stronę sypialni, podczas gdy ja postawiłam obie walizki na werandzie.

Tymczasem Moza gapiła się w oszołomieniu na ulicę. Dwóch oficerów w mundurach zbliżało się ścieżką, jeden był mężczyzną, drugi kobietą, oboje bez czapek, w koszulkach z krótkimi rękawami. W Santa Teresa wykształciła się tendencja do zmiany autorytatywnego image'u policjanta, lecz ta dwójka i tak przedstawiała sobą złowieszczy widok. Moza sądziła prawdopodobnie, że naruszyła jakiś cywilny przepis – zbyt długa trawa, za głośne oglądanie telewizji.

Pozostawiłam ją, by z nimi trochę pogawędziła, podczas gdy ja ponaglałam Lilę; nie chciałam, żeby zauważyła policjantów i wymknęła się tylnym wyjściem.

– Lila, twój samochód czeka! – zawołałam.

– Bogu niech będą dzięki – odpowiedziała, wyłaniając się z salonu. – Niczego pod łóżkiem nie znalazłam, ale zostawiłam bilet na szafce, całe szczęście, że się wróciłam.

Kiedy dotarła do drzwi wyjściowych, wślizgnęłam się za nią. Dostrzegła oficerów.

Zgodnie z plaketką służbową facet nazywał się G. Pettigrew. Był czarny, miał może ze trzydzieści lat, wielkie ramiona i baryłkową klatkę piersiową. Jego partnerka, M. Gutierrez, wyglądała niemal tak krzepko jak on.

Oczy Pettigrew spoczęły na Lili.

– Czy pani Lila Sams?

– Tak. – W tej jednej sylabie dało się wyczuć ogromną konsternację. Zmrużyła oczy. Jej ciało zdawało się przeobrażać, przez co wyglądała starzej i bardziej przysadziście.

– Czy może pani wyjść na werandę?

– Oczywiście, ale nie mam pojęcia, o co tu chodzi. – Lila wykonała gest w kierunku torebki, ale

Gutierrez uprzedziła ją, sprawdzając zawartość w poszukiwaniu broni.

Pettigrew oznajmił Lili, że jest aresztowana, recytując z kartki przysługujące jej prawa. Mogłam przypuszczać, że robił to już setkę razy i tak naprawdę nie potrzebował pomocy, ale mimo to przeczytał, by później nie było żadnych pytań.

– Czy może obrócić się pani twarzą do ściany?

Lila uczyniła, jak jej kazano, Gutierrez obmacała ją, potem zapięła kajdanki. Lila zaczęła jęczeć żałośnie.

– Ale co ja zrobiłam? Ja nic nie zrobiłam. To wszystko wielka pomyłka. – Jej desperacja poruszyła Mozę.

– Co tu się dzieje, oficerze? – zapytała. – Ta kobieta jest moją lokatorką. Nie zrobiła nic złego.

– Proszę pani, będziemy wdzięczni, jeśli usunie się pani na bok. Pani Sams ma prawo skontaktować się z prawnikiem, kiedy znajdziemy się w mieście. – Pettigrew dotknął łokcia Lili, ale ona odsunęła się, wibrujące trele jej głosu niosło się daleko.

– Pomocy! O, nie! Puśćcie mnie! Na pomoc!

Policjanci wzięli ją pod rękę i sprowadzili z werandy, lecz krzyki Lili zaczynały wywoływać na werandy ciekawskich sąsiadów. Kuśtykała, zwisając ciężko w ich ramionach, wykręcając głowę w stronę Mozy z żalnym okrzykiem. Wcisnięto ją do wozu. Zachowanie Lili sprawiało takie wrażenie, jakby aresztowali ją gestapowcy, jakby naziści wywlekli ją z domu i wkrótce wszelki słuch miał po niej zagać. Potrząsając głową, oficer Pettigrew zebrał wszelkie rzeczy osobiste aresztowanej, które wały się na chodniku. Wetknął walizki do bagażnika.

Jakiś sąsiad uznał za wskazane wtrącić się i zobaczyłam, że rozmawia z Pettigrew; w tym czasie Gutierrez łączyła się z posterunkiem, a Lila miotała się na wszystkie strony, atakując przegródkę odgradzającą ją od policjantki na przednim siedzeniu. Ostatecznie Pettigrew wsiadł do samochodu po stronie kierowcy, zatrzasnął drzwi i wszyscy odjechali.

Moza zbladła ze zgrozy, odwróciła ku mnie przerażone oblicze.

– To twoja sprawka! Co tobą, na miłość boską, kierowało? Biedna kobieta.

Dostrzegłam sylwetkę Henry'ego, który stał pół przecznicy dalej. Nawet z tej odległości na jego twarzy malowało się niedowierzanie i napięcie.

– Później z tobą pogadam, Moza – powiedziałam i ruszyłam w jego stronę.

Ale gdy dotarłam pod dom, po Henrym ślad zaginał. Wysupłałam zza paska kopertę i zastukałam w tylne drzwi. Otworzył. Uniosłam kopertę, a on ją zabrał, zerkając na zawartość. Obrzucił mnie przenikliwym spojrzeniem, ale nie wyjaśniłam, jak ją zdobyłam, a on też nie pytał.

– Dziękuję.

– Później porozmawiamy – powiedziałam.

Zamknął drzwi, ale wcześniej zdążyłam zauważyć wygląd jego kuchennego blatu. Wyciągnął pojemnik z cukrem i nowe, biało-niebieskie opakowanie mąki, zajmując się pracą, którą znał najlepiej, a wszystko po to, by zapomnieć o bólu. Współczułam mu bardzo, ale nie mogłam pomóc, musiał sam sobie z tym poradzić. Boże, wszystko to było takie niemiłe. Tymczasem czekała mnie praca.

Zaraz po wejściu do mieszkania sięgnęłam po książkę telefoniczną, szukając numeru Kelly'ego Bordena.

Jeśli Bobby szukał pistoletu w starym budynku, to i ja chciałam popробować swych sił; sądziłam, że Kelly podpowie mi, skąd zacząć. W książce telefonicznej nie było po nim śladu. Starłam się znaleźć numer dawnej kliniki, ale nie widniała w spisie, a w informacji kobieta była nedorozwinięta, udawała, że nie ma pojęcia, o co mi chodzi. Jeśli Kelly pracuje na zmianie od siódmej do piętnastej, i tak na pewno musiał już wyjść. Cholera. Odszukałam numer do szpitala w Santa Teresa i połączyłam się z doktorem Frakerem. Jego sekretarka, Marcy, powiedziała, że „opuścił biuro”, co znaczyło, że jest w toalecie dla mężczyzn, ale wkrótce wróci. Poinformowałam ją, że pragnę porozmawiać z Bordenem i zapytałam o jego adres i numer telefonu.

– No, nie wiem – odpowiedziała. – Doktor Fraker prawdopodobnie nie miałby nic przeciwko udzielaniu pani informacji, ale bez jego zgody niczego takiego nie powinnam robić.

– W porządku. I tak mam parę spraw do załatwienia, więc może bym wstąpiła? To zabierze mi dziesięć minut – poprosiłam. – Proszę się tylko upewnić, by nie wyszedł przedwcześnie z pracy.

Podjechałam pod szpital Świętego Terry'ego. Na parkingu nie było miejsca, więc musiałam zostawić samochód trzy przecznice dalej, co mi nie przeszkadzało, bo musiałam jeszcze wstąpić do drogerii. Do szpitala weszłam od tyłu, podążając za różnokolorowymi liniami na podłodze, jakbym zdążyła do czarodzieja z Oz. Ostatecznie dotarłam do wind i jedną z nich zjechałam do piwnicy.

Gdy zjawiłam się na patologii, doktor Fraker znów był nieobecny, ale Marcy powiadomiła go o moim przybyciu, a on ją poinstruował, by mnie doręczyła dalej, jak przesyłkę pocztową. Podreptałam za nią przez laboratorium, aż w końcu się natknęłam na niego, stał w chirurgicznej zieleni przy blacie z nierdzewnej stali, zawierającym zlew, utylizator i wiszącą wagę. Najwyraźniej zamierzał właśnie rozpocząć jakąś autopsję czy coś takiego i z przykrością musiałam mu przerwać.

– Naprawdę nie chciałam przeszkadzać – odezwałam się. – Potrzebuję jedynie adresu Kelly'ego

Bordena i numer jego telefonu.

– Przysuń sobie krzesło – powiedział, wskazując na drewniany stołek przy jednym końcu kontuaru. Potem zwrócił się do Marcy: – Może postarasz się o informacje dla Kinsey, a ja ją tymczasem czymś zajmę?

Kiedy tylko odeszła, przysunęłam sobie stołek i usiadłam.

Po raz pierwszy zobaczyłam, czym naprawdę zajmuje się doktor Fraker. Włożył chirurgiczne rękawiczki, w dłoni trzymał skalpel. Na blacie spoczywało białe, plastikowe pudełko pojemności jednego pinta, z rodzaju tych zawierających wątróbki drobiowe, spotykane w mięsnym dziale supermarketu. Gdy tak obserwowałam, wyłowił połyskujący zlepek organów, który zaczął rozdzielać długimi szczypczykami. Wbrew sobie wbiłam wzrok w niewielki stosik ludzkiego mięsa. Cała nasza rozmowa toczyła się, gdy on wycinał skrawki ze wszystkich narządów.

Poczułam, jak w obrzydzeniu skręcają mi się wargi.

– Cóż to jest?

Wyraz jego twarzy był łagodny, bezosobowy, trochę rozbawiony. Do wskazywania używał szczypiec, dotykając kolejno przeróżnych kawałków. Spodziewałam się, że niektóre kęski czmychną spod jego narzędzi, jak żywe ślimaki, lecz żaden się nie poruszył.

– Co my tu mamy? To serce. Wątroba. Płuco. Śledziona. Pęcherzyk żółciowy. Ten gość zmarł nagle podczas operacji i nikt nie wie, co mu się stało.

– A ty dojdiesz do tego? Robiąc to, co robisz?

– Hm, pewności nie ma, ale myślę, że tym razem coś znajdziemy – odpowiedział.

Chyba już nigdy nie spojrzę na gulasz jak dawniej. Nie potrafiłam odwrócić wzroku od tej siekaniny, nie mieściło mi się też w głowie, że były to niegdyś funkcjonujące organy istoty ludzkiej. Jeśli zdawał sobie sprawę z mojej fascynacji, nie dawał tego po sobie poznać, natomiast ja starałam się podchodzić do całej sprawy równie nonszalancko jak on.

Popatrzył na mnie.

– Co z tym wszystkim wspólnego ma Kelly Borden?

– Nie jestem pewna – powiedziałam. – Badam różne rzeczy, a w końcowym rozrachunku zawsze okazuje się, że niektóre z nich nie są związane z istotą sprawy. Może to samo ty robisz – dopasowujesz wszystkie kawałki puzzli, dopóki nie wyrobisz sobie zdania.

– Podejrzewam, że moje podejście jest bardziej naukowe – zauważył.

– Och, bez wątpienia – przyznałam. – Ale w moim jest pewna przewaga.

Zawahał się, patrząc ponownie na mnie, po raz pierwszy z autentycznym zainteresowaniem.

– Ja znam człowieka, z którego śmiercią mam do czynienia, i osobiście angażuję się w śledztwo. Myślę, że go zamordowano i to mnie wkurza. Choroba to coś naturalnego. Zabójstwo nie.

– Zdaje mi się, że uczucie do Bobby’ego wypacza twój osąd. Jego śmierć była dziełem przypadku.

– Może. A może uda mi się przekonać wydział zabójstw, że zmarł w rezultacie próby zabójstwa, dokonanej dziewięć miesięcy temu.

– Skoro możesz tego dowieść – odparł. – Mniemam, że jak na razie nie masz czego się chwycić, i tu twoja praca różni się od mojej. Prawdopodobnie już teraz mógłbym wyskoczyć z jakimś wnioskiem, nie wychodząc nawet na zewnątrz.

– I tego ci zazdroszczę – powiedziałam. – To znaczy nie wątpię, że Bobby’ego zabito, ale nie mam pojęcia, kto był sprawcą. Mogę już nie wpaść na jego ślad.

– W takim razie tutaj nad tobą góruję – rzekł. – Na ogół mam do czynienia z czymś wiarygodnym. Czasami jestem w kropce, ale rzadko.

– Masz szczęście.

Powróciła Marcy, niosąc karteczkę z adresem Kelly’ego i numerem telefonu.

– Wolę myśleć, że mam talent – mówił z przekąsem. – Lepiej, żebyś cię już nie zatrzymywał. Daj mi znać, jak to się skończy.

– Nie omieszka. Dziękuję za wszystko – powiedziałam, wymachując karteczką.

Minęła piąta. W odnodze jednego ze szpitalnych korytarzy natknęłam się na automat telefoniczny, gdzie zaraz wypróbowałam numer do Kelly’ego.

Podniósł po trzecim dzwonku. Podałam swą tożsamość, przypominając mu, że przedstawił nas doktor Fraker.

– Wiem, kim pani jest.

– Proszę posłuchać – powiedziałam. – Czy mogłabym wpaść na chwilę rozmowy? Jest coś, co muszę sprawdzić.

Początkowo zdawał się wahać.

– Jasne, nie ma sprawy. Wie pani, gdzie mnie szukać?

Mieszkanie Kelly’ego znajdowało się w zachodniej części miasta, niezbyt daleko od Świętego Terry’ego. Podreptałam do samochodu i pojechałam pod wskazany adres, na Castle. Zaparkowałam

przed dwurodzinnym, drewnianym budynkiem i pieszo pokonałam długi podjazd do małej, drewnianej przybudówki na tyłach posiadłości. Jego mieszkanie, tak jak moje, musiało być kiedyś garażem.

Po obejściu kilku krzewów zauważyłam, że siedzi na stopniu, kurząc jointa. Miał na sobie dzinsy i skórzaną kamizelkę na koszuli w kratę, był boso. Włosy spiął w ten sam zgrabny pukiel, tylko bródka i wąs trochę posiwiały. Był chyba w pogodnym nastroju, ale z jego akwamarynowych oczu nie mogłam nic odczytać. Wyciągnął w moją stronę skręta, lecz odmówiłam potrząśnięciem głowy.

– Czy nie widziałam pana na pogrzebie Bobby’ego? – zapytałam.

– Niewykluczone. Ja panią widziałem. – Jego oczy patrzyły przenikliwie. Gdzie wcześniej widziałam ten kolor? W basenie, w którym umarłak pływał niczym lilia wodna. Cztery lata temu, podczas jednego z moich pierwszych dochodzeń.

– Tam jest krzesło, jeśli ma pani czas. – Zdołał wygłosić całe zdanie, nie wypuszczając powietrza z ust, dym z trawki ugrzązł mu w płucach.

Rozglądając się dokoła, wypatrzyłam stare, drewniane krzeselko ogrodowe, które przyciągnęłam pod schodek. Wówczas wysunęłam z torebki notes z adresami i podałam mu go, otwierając na samym końcu.

– Wiesz może, czyj to może być numer? Nie jest miejscowy.

Spojrzał na wpisane ołówkiem cyfry, a potem rzucił mi szybkie spojrzenie.

– Próbowала pani dzwonić?

– Jasne, próbowałam też z jedynym Blackmanem, jaki widniał w książce. Ale numer został odłączony. Dlaczego? Wie pan, kto to?

– Znam ten numer, ale to nie jest numer telefoniczny. Bobby przesunął łącznik.

– Do czego to służy? Nie rozumiem.

– Pierwsze dwie cyfry wskazują hrabstwo Santa Teresa. Ostatnie pięć to kierunkowy do kostnicy. To numer identyfikacyjny ciała, które mamy w lodówce. Mówiłem, że mamy dwóch, których trzymamy od lat. To Franklin.

– Ale dlaczego Blackman?

Kelly uśmiechnął się, zaciągając się głęboko skrętem, zanim odpowiedział.

– Franklin jest czarny. To chyba taki żart Bobby’ego.

– Jest pan pewny?



– Jestem. Proszę sprawdzić, jeśli mi pani nie wierzy.

– Sądzę, że szukał tam rewolweru. Nie ma pan pojęcia, od czego mógł zacząć?

– Nie. To duży budynek – osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt pomieszczeń, od lat nie używanych. Spluwa mogła znajdować się wszędzie. Bobby pracował na zmianie sam. Mógł biegać po budynku, dopóki ktoś nie spostrzegł, że nie ma go w pracy.

– No cóż. Muszę się zwijać. Doceniam twoją pomoc.

– Nie ma sprawy.

Pojechałam do biura. Kelly Borden powiedział mi, że chłopak o nazwisku Alfie Leadbetter będzie pracował w kostnicy na zmianie od trzeciej do jedenastej. Był kumplem Kelly'ego, który przyrzekł powiadomić go telefonicznie, że się pojawię. Znów wytaszczyłam maszynę do pisania, by sporządzić kilka notatek. O co tu chodzi? Co zwłoki Murzyna mają wspólnego z morderstwem Dwighta Costigana i szantażowaniem jego żony?

Zadzwoił telefon i automatycznie, niczym robot, podniosłam słuchawkę, gdyż głowę miałam zajęta bieżącą łamięłówką.

– Tak?

– Kinsey?

– Przy telefonie.

– Nie byłem pewien, czy to ty. Tu Jonah. Zawsze odpowiadasz w ten sposób?

Skupiłam się.

– Boże, przepraszam. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Obiło mi się o uszy coś, co chyba powinno cię zainteresować. Pamiętasz ten wypadek Callahana?

– Jasne. O co chodzi?

– Spotkałem właśnie faceta, który pracuje w drogówce; mówi, że dziś po południu chłopcy z laboratorium zbadali jego samochód. Przewody hamulcowe przecięto na cacy. Całą sprawę przejął wydział zabójstw.

Dokonałam podobnej rewizji poglądów, jak kilka minut temu, gdy dowiedziałam się, co znaczy nazwisko Blackman.

– Co?

– Twój przyjaciel, Bobby Callahan, został zamordowany – Jonah tłumaczył cierpliwie. – Przecięto przewody, przez co niemal cały płyn hamulcowy wyciekł, a on wpadł na drzewo, bo brał zakręt i nie mógł zwolnić.

– Myślałam, że autopsja określiła przyczynę jako atak.

– Może doznał ataku, gdy zauważył, co jest grane. Z tego, co wiem, to się trzyma kupy.

– No tak, masz rację. – Przez chwilę sapałam tylko do ucha Jonaha. – Ile by to zajęło?

– Co, przecięcie przewodów czy wyciek płynu?

– I to, i to, skoro już wspomniałeś.

– Hm, jakieś pięć minut, by przeciąć przewody. Nic wielkiego, gdy ktoś wie, gdzie ma szukać. To drugie zależy od różnych czynników. Bobby najprawdopodobniej prowadził już auto dobrą chwilę, naciskając hamulec raz czy dwa. A potem jeszcze raz i ciemność.

– Więc tamtej nocy ktoś przeciął przewody.

– Zgadza się. Dzieciak nie mógł zajechać za daleko.

Zamilkłam, rozmyślając o wiadomości, jaką Bobby zostawił na sekretarce. W noc śmierci widział się z Kleinertem. Przypomniałam sobie, że i Kleinert o tym wspominał.

– Jesteś tam jeszcze?

– Nie wiem, co to wszystko znaczy, Jonah – powiedziałam. – W tej sprawie zaczyna się przełom, a ja nie mam pojęcia, co się właściwie dzieje.

– Jak chcesz, to wpadnę i obgadamy wszystko.

– Nie, jeszcze nie. Muszę zostać sama. Zadzwoń do ciebie później, gdy zdobędę więcej szczegółów.

– No dobra. Masz mój domowy numer, no nie?

– Lepiej, jak podasz mi go jeszcze raz – powiedziałam i zapisałam numer na kartce.

– A teraz posłuchaj – rzekł. – Przyrzeknij, że nie popełnisz żadnego głupstwa.

– Jak mogę popełnić coś głupiego? Nawet nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi. – Poza tym „głupstwo” potwierdza się dopiero po fakcie. Zawsze podnieca mnie obmyślanie strategii działania.

– Do stu diabłów, wiesz, o czym mówię!

Zaśmiałam się.

– Masz rację, wiem. I uwierz mi, zadzwonię, gdy coś się zdarzy. Szczerze mówiąc, moim jedynym celem życiowym jest ochrona własnego tyłka.

– No cóż... Miło się tego słucha, ale w to wątpię.

Pożegnaliśmy się i odłożyłam słuchawkę. Lecz nie cofnęłam ręki od telefonu.

Spróbowałam wykręcić numer telefonu Glen. Czulałam, że powinna poznać nowiny, a wątpiłam, czy policja zadzwoni do niej od razu, szczególnie że na tym etapie nie dysponowała większą liczbą danych niż ja.

Podniosła słuchawkę, a ja jej opowiedziałam, co się okazało, łącznie ze sprawą Blackmana z notesu Bobby'ego. Z konieczności powiadomiłam ją o wszystkim, co dotyczyło szantażowania Noli. Do diabła, a czemu by nie? To nie pora na tajemnice! Wiedziała już, że Nola i Bobby byli kochankami. Więc jest w stanie zrozumieć, czego chłopak podjął się w interesie Noli. Nawet pozwoliłam sobie wspomnieć o współudziale Sufi, choć wciąż nie byłam co do niego przekonana. Podejrzywałam, że była kurierem, przemycającym wiadomości między Nolą a Bobbym, doradzając mu, być może, gdy jego uczucie zderzyło się z młodzieńczą zapalczywością.

Przez jakiś czas milczała, zupełnie jak ja niedawno.

– Więc na czym stanęło?

– Jutro pogadam w wydziale zabójstw, opowiem wszystko, co wiem. Niech sobie łamią nad tym głowę.

– Uważaj na siebie – ostrzegła.

– Nie ma obaw.

Gdy dotarłam do kompleksu medycznego, mieszczącego się w starym budynku okręgowym, wciąż pozostawało jakieś półtorej godziny do zapadnięcia zmroku. Wnioskując z liczby dostępnych miejsc na parkingu, większość gabinetów już pozamykano, a personel rozszedł się do domów. Kelly powiedział, że na tyłach znajduje się drugi parking, wykorzystywany nocą przez personel utrzymujący czystość. Nie widziałam powodu, by parkować w takiej odległości. Zatrzymałam się tak blisko wejścia, jak tylko udało mi się podjechać, i zauważyłam, że tuż obok stoi – przypięty łańcuchem do poręczy – rower. W ten sposób uwięziono starego schwinna z grubymi oponami i atrapą tablicy rejestracyjnej przydrutowaną z tyłu, z napisem „Alfie”. Kelly wyjaśnił mi, że budynek zamykany jest na ogół o siódmej, ale mogę zadzwonić i Alfie zwolni blokadę w drzwiach.

Zabrałam latarkę i pęk wytrychów, zatrzymując się, by na kamizelkę nałożyć sweter. Pamiętałam chłód panujący w budynku i wyobrażałam sobie, że po zachodzie słońca będzie jeszcze gorzej. Zamknęłam samochód i podeszłam do wejścia.

Zatrzymałam się przy podwójnych drzwiach i wcisnęłam guzik dzwonka. Po chwili rozległo się buczenie, zwolnił się zamek i weszłam. W przedsionku cienie zaczęły się już zbierać, pomyślałam o opuszczonej stacji metra z futurystycznego filmu. Panowała tu podobna atmosfera sędziwej elegancji: posadzka z marmurowej mozaiki, wysokie sklepienia, piękna stolarka z płowozółtego orzecha. Część wyposażenia musiała pochodzić jeszcze z lat dwudziestych, kiedy wzniesiono ten gmach.

Przeszłam przez sień, zerkając beznamiętnie na tablicę ścienną. Niemal instynktownie zwróciłam uwagę na jedno nazwisko. Zatrzymałam się, patrząc powtórnie. Leo Kleinert miał tu gabinet, o czym wcześniej nie wiedziałam. Czy Bobby przyjeżdżał aż tutaj na cotygodniowe sesje psychiatryczne? Wątpię. Zeszłam na dół schodami. Jak kiedyś, czułam opadającą temperaturę, niczym przy nurkowaniu w głębię jeziora. Na dole panowała posępna atmosfera, ale oszklone drzwi, prowadzące do kostnicy, były oświetlone i tworzyły jasny prostokąt w gęstniejącej ciemności korytarza. Sprawdziłam czas. Dochodziła siódma piętnaście.

Zapukałam pro forma w szybkę i chwyciłam za gałkę. Tych drzwi nie zamknięto. Otworzyłam je i zajrzałam do środka.

– Halo?

W zasięgu wzroku nie było nikogo, ale to się już zdarzyło wcześniej, kiedy złożyłam tu wizytę wraz z doktorem Frakerem. Może Alfie przebywa w pomieszczeniu z chłodnią, gdzie trzymano ciała?

– Haaloo!

Żadnej odpowiedzi. Wpuścił mnie do środka, więc musiał gdzieś tu się kręcić.

Zamknęłam za sobą drzwi. Chłodne, fluorescencyjne oświetlenie dawało iluzję słońca zimą. Na lewo miałam drzwi. Podeszłam i zapukałam, potem je otworzyłam, po to jedynie, by znaleźć się w pustym gabinecie z ciemnobrązową pryczą. Może facet na cmentarnej zmianie ucinał tu sobie drzemkę, gdy nic się nie działo? Dostrzegłam biurko i krzesło obrotowe. Żelazne kraty zabezpieczały

okno po zewnętrznej stronie, światło dzienne tłumiła gęstwa nieokiełznanych zarośli. Po zamknięciu drzwi udałam się do chłodni, gdzie trzymano ciała; zjrzałam do środka.

Alfiego nie było w zasięgu wzroku. Wewnątrz jarzyło się stałe światło, mieszkańcy spoczywali na niebieskich pryczach z włókna szklanego, pogrążeni w wiecznej, nieruchomej drzemce, niektórzy przykryci prześcieradłami, inni plastikiem; szyje i łydki owinięto im czymś, co wyglądało na szarą taśmę klejącą. Do pewnego stopnia przypominało mi to spokojne chwile na obozie letnim.

Wróciłam do głównego pomieszczenia i na moment usiadłam, gapiłam się na stół do autopsji. Zgodnie ze swym zwyczajem powinnam była teraz przeszukać każdy zakątek, szufladę i skrzynię, ale takie zachowanie chyba oznaczałoby brak szacunku. Może bałam się, że natrafię na coś groteskowego: tacki ze sztucznymi szczękami, słoje wypełnione pływającymi gałkami ocznymi? Nie pamiętam, co wówczas spodziewałam się ujrzeć. Wzdrygnęłam się. Czułam, że marnuję czas. Podeszłam do drzwi i wyjrzałam na korytarz, nasłuchując. Nic.

– Alfie?! – zawołałam.

Znowu wyteżyłam słuch, po czym, wzruszając ramionami, zamknęłam drzwi. Przyszło mi do głowy, że skoro już tu jestem, mogę przynajmniej sprawdzić, czy numer, jaki zapisał Bobby, odpowiada temu widniejącemu na plakietce przypiętej do stopy Franklina. Nie stanie się przecież nic złego. Wyciągnęłam z torebki notes i otworzyłam na ostatniej stronie, gdzie widniał pisany ołówkiem numer. Znowu weszłam do chłodni, przesuwając się od ciała do ciała, sprawdzając etykiety. Jakbym myszkowała wśród stoisk z wyprzedawanym towarem, tyle że nie było tu żadnych obniżek.

Gdy dotarłam do trzeciego ciała, numery zgodziły się. Kelly miał rację. Bobby przesunął łącznik, by siedem cyfr wyglądało na numer telefonu. Gapiłam się na ciało – na tyle, ile było widoczne. Plastik, którym owinięto Franklina, był przezroczysty, ale żółtawy, jakby poplamiony nikotyną. Poprzez zawój dojrzałam Murzyna w średnim wieku i średniego wzrostu, szczupłego. Dlaczego to ciało miało takie znaczenie? Poczulałam niepokój. Sądziłam, że Alfie zjawi się wkrótce i nie chciałam, by przyłapał mnie na szpiegowaniu. Powróciłam na swoje krzesło.

Opuszczając chłodnię, poczułam się, jakbym wychodziła z klimatyzowanego teatru. W porównaniu z chłodnią pomieszczenie do autopsji wydawało się ciepłe. Świerbiło mnie, by poniuchać tu i ówdzie. Nie mogłam się powstrzymać. Irytowało mnie, że nie ma nikogo, kto mógłby mi pomóc, denerwowała mnie ta cisza. Nie znajdowałam się w wesołym miasteczku. Rzadko kiedy włączałam się po kostnicach. Drżałam z napięcia.

Aby uspokoić nerwy, zerknęłam do szuflady i sprawdziłam jej zawartość, aby odpędzić straszne obrazy, które niedawno snuły mi się po głowie. Ta zawierała notatniki, blankiety zamówień i inne nieważne papiery. Zachęcona spróbowałam z następną szufladą: małe fiolki kilku lekarstw, których nazw nie rozpoznawałam. Rozgrzewałam się, sprawdzając wszystko, jak leci. Każda napotkana przeze mnie rzecz wiązała się z dokonywaniem sekcji; nic dziwnego, zważywszy na naturę lokalu; ale nie rzucało to światła na sprawę.

Wyprostowałam się i rozejrzałam dokoła. Gdzie jest archiwum? Czy nikt tu nie prowadzi kartotek? Ktoś kiedyś wspominał, że trzyma się tu medyczne zapiski, ale gdzie? Na tym piętrze? Na jednym z

górnym? Perspektywa samotnego przeszukiwania całego budynku nie była zbyt ponętna. Wyobrażałam sobie, że Alfie Leadbetter stoi u mego boku, podpowiadając, co można zbadać i od czego zacząć. Wyobrażałam sobie nawet, że wsunę mu do kieszeni dwadzieścia dolarów, jeśli okaże się to konieczne do uzyskania jego pomocy.

Spojrzałam na zegarek. Spędziłam tu już czterdzieści pięć minut, jak na razie bez efektów. Chwyciłam torebkę i wyszłam na korytarz, rozglądając się na obie strony. Coraz ciemniej robiło się na dole, choć patrząc przez okno, widziałam, że na zewnątrz jest jeszcze widno. Znalazłam kontakt i włączyłam światło, po czym ruszyłam korytarzem, odczytując małe, białe tabliczki, umieszczone nad drzwiami każdego gabinetu. Tuż obok kostnicy znajdowały się gabinety radiologiczne. Dalej medycyna nuklearna, sale chorych. Zastanawiałam się, czy Sufi Daniels odwiedzała to miejsce.

Gdzieś w kącikach mojego umysłu zaczęło się coś poruszać. Myślałam o kartonowym pudełku pełnym rzeczy należących do Bobby'ego. Co w nim było? Medyczne zapiski, przybory biurowe i dwa podręczniki do radiologii. Do czego właściwie były mu potrzebne? Nie był nawet studentem medycyny, więc po co mu podręczniki opisujące aparaturę, której nie będzie obsługiwał jeszcze długie lata, jeśli w ogóle? Nie wykazywał jakiegoś szczególnego zainteresowania radiologią.

Weszłam na górę. Nie zaszkodzi, jak jeszcze raz rzucę okiem na te rzeczy. Gdy dotarłam do frontowego wejścia, ściągnęłam sweter i zablokowałam nim drzwi. Mogłam je bez problemu otworzyć, ale nie chciałam, by zatrzasnęły się za mną po wyjściu. Podeszłam do auta i z tylnego siedzenia wyciągnęłam pudło. Znalazłam dwa podręczniki do radiologii i przekartkowałam je szybko. Zawierały instrukcję obsługi aparatury specjalistycznej, informowały o przeróżnych miernikach, tarczach i przełącznikach, z mnóstwem gadaniny o wywoływaniu zdjęć, radach i rentgenach. U góry jednej ze stron zanotowano ołówkiem numer, właściwie to go nabazgrano w dekoracyjnej otoczce. Znowu Franklin. Widok znajomego, siedmiocyfrowego numeru sprawiał dziwne wrażenie, niczym dźwięk głosu Bobby'ego na mojej sekretarce pięć dni po jego śmierci.

Wcisnęłam podręczniki pod pachę i ponownie zamknęłam samochód, pudełko zostawiłam na przednim siedzeniu. Wolno wróciłam do budynku. Weszłam i włożyłam sweter. Na parterze rozejrzałam się powierzchownie dokoła. Powtarzałam sobie, że poszukuję archiwum, a w nim pistoletu w pudełku upchniętym między karty pacjentów. Swego czasu znajdowała się tu działająca klinika, zatem i archiwum musiało gdzieś być. No bo gdzie trzymano stare karty? Jeśli nie zawodziła mnie pamięć, archiwum zlokalizowano mniej więcej pośrodku, by lekarze i inny autoryzowany personel mieli do niego łatwy dostęp.

Niewiele gabinetów na tym poziomie nadal wykorzystywano. Na chybił trafił pociągałam za klamki. Drzwi na ogół były zamknięte. Skręciłam za róg przy końcu korytarza i oto znalazłam: „Archiwum medyczne”, na pół wyblakłe bohomy namalowane farbą tuż nad podwójnymi drzwiami. Zauważyłam, że wiele z dawnych wydziałów oznaczono podobnie: kwiecistymi literami na pasku farby, jakby tak zarządzili konkwistadorzy.

Pokręciłam gałką, przypuszczając, że będę musiała użyć wytrychów. Zamiast tego drzwi uchyliły się z głuchym skrzypnięciem, który mógł być dziełem eksperta od efektów specjalnych. Szarówka z zewnątrz przedostawała się do środka. Pomieszczenie ziało pustką, zdarto z niego wszelkie wyposażenie. Żadnych gablotek, mebli, przyrządów. Pognieciona paczka po papierosach, trochę

leżących luźno desek, kilka zakrzywionych gwoździ – wszystko poniewierało się po podłodze. Ten dział został dosłownie rozebrany i Bóg jeden wie, gdzie przeniesiono kartoteki. Możliwe, że znajdowały się w jednym z opuszczonych pomieszczeń powyżej, ale nie miałam ochoty wypuszczać się tam samotnie. Obiecałam Jonahowi, że nie będę się głupio zachowywać i pod tym względem chciałam być przykładnym skautem. Poza tym co innego mnie gnębiło.

Wróciłam do schodów i zeszłam na dół. Co też ten głosik w mojej głowie mruczał? Jakby radio grało w sąsiednim pomieszczeniu. Mogłam od czasu do czasu wychwycić jedynie urywaną frazę.

Po zejściu do piwnic podeszłam do drzwi gabinetu radiologicznego i chwyciłam za gałkę. Zamknięte. Wydobyłam wytrychy, którymi przez chwilę manipulowałam. Był to jeden z zamków antywłamaniowych, które można pokonać, choć kosztuje to sporo zachodu. Mimo to chciałam przekonać się, co znajduje się w środku, pracowałam zatem wytrwale. Używałam zestawu kluczy wahaczowych, z wcięciami o różnych głębokościach rozmieszczonymi wzdłuż końca, natomiast tylną stronę każdego wytrychu owalnie zeszlifowano. Cała zabawa polega na tym, żeby dzięki wystarczającej liczbie wcięć i ruchowi wahadłowemu wszystkie szpilki znalazły się w jednej linii w tym samym czasie, wtedy otworzy się zamek.

Tak jak przy ukrywaniu się, pozytywny rezultat przynosi jedynie całkowita uwaga poświęcona wykonywanemu zadaniu. Stałam więc jakieś dwadzieścia minut, wsuwając wytrychy, kręcąc nimi, naciskając lekko, gdy poczułam jakiś ruch. I oto proszę, łobuz się poddał i wydałam cichy okrzyk zachwyty.

– Och, super. Hej, to wspaniałe. – Właśnie przez to cholerstwo ta praca sprawia mi tyle radochy. To nielegalne, ale kto się poskarży?

Wślizgnęłam się do środka. Zapaliłam światło. Normalny gabinet. Maszyny do pisania, telefony, segmenty szafek z dokumentami, rośliny na biurkach i obrazki na ścianach. Urządzono tu niewielką przestrzeń recepcyjną, gdzie – jak sobie wyobrażałam – siedzieli pacjenci, czekając na swoją kolej do zdjęcia. Przespacerowałam się po niektórych małych gabinecikach na zapleczu, gdzie odbywało się prześwietlanie klatki piersiowej, górnego odcinka przewodu pokarmowego, mammografia.

Stałam przed jednym z urządzeń i otworzyłam pierwszy z podręczników, które przyniosłam z auta.

Porównałam diagramy z różnymi tarczami i miernikami na aparaturze rentgenowskiej. Pasowały, mniej lub więcej. Może było trochę różnic spowodowanych rocznikiem, producentem czy modelem zainstalowanej maszynerii. Częściowo przypominała wyposażenie statku kosmicznego. Masywny stożek ochronny rakiety na obrotowym ramieniu. Stałam z otwartym podręcznikiem w rękach, ze stronami przyciśniętymi do piersi, gapiąc się na stół i fartuch ołowiany, wyglądający na śliniak giganta. Pomyślałam o zdjęciach rentgenowskich mojej lewej ręki, zrobionych dwa miesiące temu, tuż po postrzale.

Pomysł wcale nie zaświtał mi od razu. Niby pył wydobywający się z różdżki wróżki, uformował się wokół mnie, stopniowo nabierając kształtów. Bobby przebywał tu sam, jak ja teraz. Noc w noc, szukał rewolweru, noszącego na sobie odciski palców Noli. Wiedział, kto go schował, więc musiał

wyrobić sobie jakieś zdanie co do miejsca ukrycia. Zgadywałam tylko, że odnalazł broń i dlatego go zabito. Może ją nawet odnalazł, ale raczej wątpię. Działałam przy założeniu, że wciąż jej nie odkryto; byłam o tym niemal przekonana. Bobby zapisał numer identyfikacyjny zwłok w notesie i na stronie podręcznika radiologii, w który się zaopatrzył.

Nuty przebiegające mi po głowie zaczęły się łączyć. Może powinnaś prześwietlić trupa, powiedziałam do siebie. Może to właśnie zrobił Bobby i dlatego sporządził notatkę w podręczniku do radiologii? Może pistolet znajduje się wewnątrz zwłok? Myślałam o tym przez chwilę, nie napotykając żadnych przeciwwskazań. Najgorsze, co mogło się zdarzyć – prócz schwytania – to zmarnowanie czasu i zrobienie z siebie kolosalnej idiotki. Nie pierwszy raz.

Na jednym ze stołów zostawiłam torebkę i podręcznik, po czym przeszłam do kostnicy obok. W chłodni pod prawą ścianą wypatrzyłam wózek ortopedyczny na kółkach. Kontrolę nade mną przejął teraz automatyczny pilot, gładko wykonując wszystko, co musiało być wykonane. Ciągłe nie natrafiłam na ślad Alfiego Leadbettera, nikt też do mnie nie wychodził. Mogłam się mylić, więc może lepiej się stało, że nikt nie zdawał sobie sprawy, co mam zamiar zrobić. Gmach świecił pustkami. Było jeszcze wczesnie. Nawet jeśli zacznę prześwietlenie, to chyba umarłemu nie stanie się krzywda.

Podjechałam wózkiem do pryczy z włókna szklanego, gdzie leżało ciało. Udawałam, że jestem asystentką w kostnicy. Udawałam, że jestem rentgenologiem albo pielęgniarką, jakąś gruntownie przeszkoloną osobą z ważnym zadaniem do wykonania.

– Wybacz, że ci przeszkadzam, Frank – powiedziałam – ale musisz udać się na kilka testów do pokoju obok. Nie wyglądasz najlepiej.

Z wahaniem sięgnęłam rękoma pod kark i kolana Franklina i pociągnęłam, zsuwając go z miejsca spoczynku na wózek. Był zadziwiająco lekki, dotykanie go przypominało wyjmowanie surowej piersi kurczaka z lodówki. Boże, pomyślałam, dlaczego prześladowuje mnie plaga tych kuchennych obrazów? I jak tu znaleźć w sobie chęć do nauki gotowania?

Musiałam się sporo namanewrować, by wyprowadzić wózek z kostnicy na korytarz, potem do poczekalni w gabinecie radiologicznym i do jednego z pomieszczeń w głębi. Ustawiłam go w pozycji równoległej do stołu i zepchnęłam ciało na stół. Uniosłam i obniżyłam kilka razy stożek, sunąc nim wzdłuż zawieszanej u góry szyny, aż znalazł się dokładnie nad żołądkiem Franklina. Musiałam zgadnąć, jak daleko od ciała powinien się znajdować. Prócz tego pomyślałam, że skoro zamierzam wykonać kilka zdjęć, powinnam znaleźć jakąś kliszę.

Przeszukałam dwie szafki stojące w pomieszczeniu, ale nic nie znalazłam. Obeszłam gabinet. W ścianę wmontowano płaski kredens, podobny do skrzynki na bezpieczniki z podwójnymi drzwiczkami. Po jednej stronie naklejono pasek taśmy maskującej z wypisanym długopisem słowem „Wywołane”. Drugi pasek głosił „Niewywołane”. Otworzyłam te drzwiczki. Znalazłam kasety z kliszami różnych rozmiarów, ułożone niczym tace. Wyciągnęłam jedną.

Wróciłam do stołu, gdzie przestudiowałam budowę urządzenia. Nie odkryłam jeszcze sposobu załadowania kasety do aparatury, ale w stole zauważyłam kieszeń, tuż pod miękką krawędzią. Wysunęłam ją i włożyłam kasetę. Miałam nadzieję, że wybieram właściwą stronę. Wszystko



wyglądało jak należy. Może to jest początek mojej nowej kariery?

Doszłam do wniosku, że Franklin nie potrzebuje zabezpieczenia, więc zdjęłam fartuch ołowiany maksymalnej długości i sama go nałożyłam, czując się w nim trochę jak bramkarz hokejowy. Tak naprawdę nie widziałam jeszcze, by jakikolwiek technik biegał w takim kombinezonie, ale on dodawał mi pewności. Nakierowałam głowicę na brzuszysko Franklina, odległość wynosiła jakieś trzy stopy, a potem skryłam się za parawanem w kącie.

Powtórnie sprawdziłam podręcznik, tak długo go kartkowałam, aż natknęłam się na stosowne diagramy. Mnóstwo wskaźników ze wskazówkami w położeniu spoczynkowym czekało w gotowości, by przeskoczyć na zakres zielony, żółty lub czerwony za dotknięciem guzika. Po prawej stronie widniała dźwignia oznaczona „Zasilanie”, którą przestawiłam w pozycję „Włączone”. Nic się nie zdarzyło. Zmieszanie. Cofnęłam dźwignię i sprawdziłam ścianę po lewej stronie. Były tam dwie skrzynki z wyłącznikami, które przestawiłam z pozycji „Wyłączone” na „Włączone”. Usłyszałam szmer generowanej mocy. Jeszcze raz przestawiłam dźwignię zasilania na pozycję „Włączone”. Maszyna zaświeciła. Uśmiechnęłam się. To było wspaniałe.

Obejrzałam panel, który miałam przed sobą. Zobaczyłam timer, który nastawiało się w zakresie od jednej stodwudziestej sekundy do sześciu sekund. Miernik kilowoltów. Na drugim widniał napis „miliampery”. Boże, do wyboru trzy rzędy świecących na zielono prostokątów. Zaczęłam od ustawienia wszystkiego na środku skali, postanowiłam wybrać jeden miernik jako miernik odniesienia i pozostałe ustawiać w systemie wirującym. A później na kliszy będę sprawdzać efekty, by zorientować się, jakie wychodzą zdjęcia.

Wyjrzałam zza parawanu.

– W porządku, Frank, weź głęboki oddech i przytrzymaj przez chwilę.

No cóż, przynajmniej tę część z „przytrzymywaniem” wziął sobie do serca.

Wcisnęłam przycisk na uchwycie. Usłyszałam krótkie „bzzt” i ostrożnie wyszłam zza parawanu, jakby promienie X wciąż fruwały po gabinecie. Podeszłam do stołu i wysunęłam kasetę. No i co teraz? Musiał istnieć jakiś proces wywoływania, ale chyba nie odbywało się to tutaj. Pozostawiłam maszynę włączoną i zabierając z sobą kasetę, ruszyłam na przeszukiwanie sąsiednich pomieszczeń.

Już w drugim pomieszczeniu obok natrafiłam na to, czego szukałam. Na ścianie wisiał schemat technologiczny, omawiający krok po kroku procedurę wywoływania zdjęć. Teraz mogłam przystąpić do dzieła.

Ponownie należało włączyć zasilanie. Potem pracowałam w tępych, czerwonym świetle lamp ciemniowych. Mrużąc oczy, powoli brnęłam naprzód. Wbudowany w ścianę zbiornik napełniłam odpowiednio wodą. Odwróciłam kasetę i zwolniłam zatrząsk, wydostając film, który położyłam na tace. Zniknął w maszynie, nie wydając głosu.

Do licha, gdzie on się podział? Nie zauważyłam w pomieszczeniu niczego, co mogłoby wywołać kliszę. Byłam jak szczenię, zaciekawione, co się stanie, gdy piłka wpadnie pod łóżko. Opuściłam

gabinet i skierowałam się w stronę sąsiednich drzwi. Znajdował się tam odwłok automatycznego wywoływacza, przypominający wielką kserokopiarkę ze szczeliną. Czekałam. Półtorej minuty później wyslizgnęła się gotowa klisza. Popatrzyłam na nią. Czarne jak smoła. Cholera. Co zrobiłam źle? Jak mogło być prześwietlone, kiedy tak uważałam? Popatrzyłam na wywoływacz. Wieko było uchylone. Zerknęłam do środka. Spróbowałam je pchnąć. Przymknęło się. Może to załatwi sprawę?

Wróciłam do poprzedniego pomieszczenia, wyciągnęłam drugą kasetę i przeprowadziłam ponownie całą procedurę. Dwie rundy potem znalazłam to, czego szukałam. Ogólna jakość obrazu była słaba, ale zarys przedmiotu wyraźnie widziałam. W środku brzucha Franklina widniała solidna, biała sylwetka pistoletu. Wyglądał na automatyczny, ułożony pod kątem, być może, żeby dostosować się do układu kostnego lub organów wewnętrznych. Coś w tym zdjęciu napawało niepokojem. Zwinęłam kliszę i obwiązałam ją gumką. Czas, by się stąd zmyć.

W pośpiechu wyłączyłam aparaturę, zrzuciłam Franklina na wózek, fundując mu przejażdżkę z powrotem do chłodni, po drodze wyłączając światła i zamykając gabinet.

Lawirując noszami, wydostałam się na korytarz, a po chwili dotarłam do kostnicy. Wykładałam właśnie Franklina na jego prycze, gdy coś przykuło mój wzrok. Zerknęłam na następny rząd piętrowych łóżek. Dokładnie na wysokości moich oczu widniała dłoń mężczyzny, wydawała się przy tym jakaś inna. Zwłoki, które oglądałam, były trupio blade, ich ciało przypominało skórę lalki, były gumowate i nierzeczywiste. Ta dłoń miała zbyt różową barwę. Teraz dostrzegłam, że ciało tylko powierzchownie przykryto plastikową folią. Czy znajdowało się tu wcześniej? Przysunęłam się bliżej, sięgając niezdecydowanie ręką. Chyba wydałam ten buczący dźwięk, który się zwykle wydaje tuż przed właściwym krzykiem.

Uważnie odsunęłam plastik z twarzy. Mężczyzna, biały, dwadzieścia kilka lat. Nie wyczułam pulsu, ale to chyba dlatego, że ligatura ściśle opięła jego szyję, nieomal tonąc w ciele, aż język wysunął się na zewnątrz. Ciało było chłodne, ale nie zimne. Przestałam oddychać. Myślałam, że moje serce też stanie. Miałam podstawy sądzić, że poznałam właśnie Alfiego Leadbettera, niedawno zmarłego. W tej chwili nie martwiłam się tym, kto go zabił, ale kto otworzył mi drzwi. Nie przypuszczałam, żeby to był Alfie. Nagle zaczęłam podejrzewać, że krążę po tym opuszczonym budynku w towarzystwie zabójcy, który bez wątpienia wciąż czai się w pobliżu, sprawdzając, co zamierzam zrobić, i czekając na sposobność załatwienia mnie w ten sam sposób co tego nieszczęsnego asystenta, który wszedł mu w drogę.

Wybiegłam z pomieszczenia, moje serce łomotało, zasilając strumieniem strachu mój naelektryzowany organizm. W kostnicy paliło się uspokajające światło, jednocześnie panował śmiertelny bezruch.

W myślach przeanalizowałam drogę ucieczki. Okna na dole uzbrojono przeciw włamywaczom w tak gęstą kratę, że niepodobna było się przez nią prześlizgnąć. W ciężkie szklane, zewnętrzne drzwi wtopiono drucianą siatkę, którą mogłam – albo nie mogłam – sforsować. Ale już z pewnością nie byłam w stanie ich roztrzaskać bez przyciągania uwagi. Musiałabym pryskać schodami, po drodze minęłabym te same podwójne drzwi, którymi przyszłam, choć myśl, że znajdę się jeszcze raz na korytarzu, napawała mnie przerażeniem.

Gdzieś nade mną trzasnęły drzwi i aż podskoczyłam. Usłyszałam, jak ktoś schodzi po schodach, pogwizdując beztrzesko. Ochrona? Ktoś, kto skończył pracę? Za późno na działanie, za późno na ucieczkę, nie było też gdzie się schować. Stałam więc jak wmurowana, gapiąc się na drzwi, a odgłos kroków rozlegał się coraz wyraźniej. Ktoś zawahał się na korytarzu, nucąc kilka pierwszych fraz z „Someone To Watch Over Me”. Przekręciła się gałka i wszedł doktor Fraker, zdziwiony moim widokiem.

– Och! Cześć. Nie spodziewałem się spotkać cię tutaj – powiedział. – Myślałem, że rozmawiasz z Kellym.

Odetchnęłam głęboko i wykrztusiłam:

– Rozmawiałam. Chwilkę temu.

– Jezu, co się stało? Wyglądasz jak duch.

Potrząsnęłam głową.

– Wychodziłam właśnie, kiedy drzwi trzasnęły. Napędziłeś mi strachu – chrypiałam, jakbym niedawno przechodziła mutację.

– Przepraszam. Nie miałem zamiaru cię przestraszyć. – Miał na sobie chirurgiczną zieleń.

Obserwowałam, jak podchodzi do blatu i otwiera szufladę, wyciągając narzędzia. Wydobył również strzykawkę i fiolkę.

– Słuchaj, mamy problem – powiedziałam.

– Naprawdę? A jaki? – Doktor Fraker odwrócił się do mnie z uśmiechem i przypomniałam sobie wypowiedź Noli. „Rozmawiamy tu o wariacie. Kimś całkowicie szalonym” – szeptała. Doktor Fraker świdrował mnie wzrokiem, napełniając strzykawkę. Zasłona spadła mi z oczu. Ona chciała skończyć z tym małżeństwem. Chciała uwolnić się od niego. W swej naiwności Bobby Callahan myślał, że może jej pomóc.

Z jego twarzy i zwolnionych ruchów wyczytałam najgorsze. Zastrzyk miał mnie zabić. Przygotował cały potrzebny ekwipunek: wygodny stół ze zlewem, piłki, skalpele, utylizator pracujący tuż pod zlewem. Znał też anatomię, wszystkie ścięgna i więzadła. Wyobraziłam sobie skrzydło indyka, jak trzeba je odgiąć do tyłu, by wsunąć ostrze we właściwe miejsce.

Zwykle krzyczę, kiedy jestem przerażona, teraz poczułam, jak do oczu napływają mi łzy. Żaden smutek, lecz horror. Na przekór wszystkim kłamstwom, które w życiu wymyśliłam, w tej chwili nie umiałam wykombinować ani jednego. Jakby mój umysł wyprano z myśli. Stałam więc z kliszą w dłoni, a prawda widniała na mojej twarzy. Jedyłą deskę ratunku stanowiło wyprzedzenie Frakera i poruszanie się z podwójną prędkością.

Zanurkowałam w stronę drzwi i zaczęłam szarpać gałkę. Otworzyłam je z hałasem i pobiegłam w stronę schodów, pokonując po dwa stopnie naraz, potem trzy, spoglądając przez ramię i jęcząc ze

strachu. Wpadł zza drzwi, w dłoni trzymał luźno strzykawkę. W panikę wpadłam na widok jego powolnych ruchów, jakby miał czas do końca świata. Podjął swój śpiew w przerwanym miejscu, jego interpretacja nie przyniosłaby chwały Gershwinowi.

*– Niczym owieczka zagubiona w lesie... Wiem, że mogę być zawsze dobra... dla tego, który mnie pilnuje...*

Dobiegłam do końca schodów. Co on wiedział, czego ja nie wiedziałam? Dlaczego sądził, że wystarczy mu to zwolnione tempo, gdy ja frunęłam do wyjścia? Wyrznęłam ramieniem w podwójne drzwi, ale nie ustąpiły. Trzasnęłam w nie ponownie. Jeśli dam mu czas na dotarcie do korytarza, będę odcięta. Na korytarz wypadłam dokładnie wtedy, gdy on wynurzał się ze schodów.

Człap, człap. Oprócz śpiewu słyszałam jego posuwisty krok.

*– I choćby nie był mężczyzną, o którym dziewczyny mówią – przystojny, ma klucz do mojego serca...*

Wciąż się nie spieszy. Chciałam krzyczeć, ale jaki to miałoby sens? Budynek był pusty. Szczelnie pozamykany. Ciemny z wyjątkiem bladego światła, sączącego się z parkingu. Potrzebowałam broni. Fraker trzymał małą strzykawkę, wypełnioną czymś, czym chce mnie nafaszerować. Prócz tego jest roslým facetem i gdy tylko mnie dopadnie, będę miała kłopoty.

Pobiegłam korytarzem w stronę dawnego archiwum i trzasnęłam drzwiami, aż jęknęły zawiasy. W biegu złapałam deszczułkę i ponownie wyskoczyłam na korytarz, zmierzając w stronę odległego końca. Musiały tam być schody albo okno do wybicia, jakaś droga ucieczki.

Za plecami człowiek, który nie potrafił nawet śpiewać, nie fałszując, wciąż nucił:

*– Powiedz mi, proszę, niechaj się pośpieszy, niech mój ślad odnajdzie, och, jak mi trzeba kogoś, kto by mnie pilnował...*

Ruszyłam wreszcie schodami do góry, w biegu analizując sytuację. W tym tempie mógł ścigać mnie po całym budynku.

Wkrótce padnę wyczerpana, a on nawet się nie spoci. To nie najlepszy pomysł, by uciekać w ten sposób. Wybiegłam na następne piętro i rzuciłam się do drzwi. Zamknięte. Pozostawało mi już tylko jedno piętro. Czy zaganiano mnie do pułapki albo do zagrody? Miałam przeczucie, że on tu jest pasterzem, że wszystko z góry zaplanował.

Wychodził właśnie na schody poniżej, kiedy i ja na nie znów wbiegłam, kierując się na drugie piętro i ściskając deszczułkę w dłoni. Nie podobało mi się to wcale. Drzwi na drugim piętrze uchyliły się bez oporu i znalazłam się na przyciemnionym korytarzu. Skręciłam w prawo, zwalniając trochę tempo. Zasapałam się, pot ze mnie sływał. Rozważałam, czy by nie znaleźć sobie kryjówki, ale wybór miałam ograniczony. Po obu stronach ciągnęły się gabinety, lecz bałam się, by mnie w jednym z nich nie osaczono. Wystarczyło, żeby sprawdzał jeden po drugim, a dość szybko zorientowałby się, w którym się ukrywam. Prócz tego nie znosiłam się chować. Czuję się wtedy jak

sześciolatka i robi mi się niedobrze. Pragnęłam pozostawać w ruchu, wyprostowana, działać, a nie kulić się z rękoma przy twarzy, błagając, by Bóg uczynił mnie przezroczystą.

Ponownie skręciłam w prawo. Za sobą usłyszałam trzask zamykanych drzwi do klatki schodowej. Dojrzałam windę w połowie długości korytarza po prawej stronie. Puściłam się sprintem i po dotarciu do niej walnęłam dłonią w guzik ze strzałką w dół.

Tymczasem doktor Fraker podjął nową melodię, tym razem gwizdząc kilka pierwszych taktów z „I Don't Stand A Ghost Of A Chance With You”. Ten facet jest chory czy co?

Powtórnie uderzyłam w przycisk, wsłuchując się w delikatny szmer kabli. Spojrzałam w prawo. Pojawił się, w cieniu jego chirurgiczna zieleń mieniła się blado. Usłyszałam, że mechanizm się zatrzymuje. Zaczął się szybciej ruszać, ale ciągle dzieliło nas dwadzieścia jardów. Rozsunęły się drzwi do windy. O kurwa!

Zrobiłam już krok do przodu, gdy uzmysłowiłam sobie, że nic tam nie ma z wyjątkiem ziejącej czeluści szybu i strumienia chłodnego powietrza, dmuchającego od dołu. Powstrzymałam się na ułamek sekundy przed runięciem w smoliście czarną dziurę. Słabo krzyknęłam, gdy chwyciłam framugę i zakołysałam się przez moment nad przepaścią, wreszcie zdołałam odzyskać równowagę. Cofnęłam się i zgubiłam swoją broń. Deska wyleciała mi z ręki. Na czworakach zaczęłam jej szukać.

Wówczas mnie dopadł, złapał za włosy i podniósł do góry akurat wtedy, gdy moja dłoń natrafiła na deskę. Machnęłam nią, by zadać mu cios. Trafiłam, ale pod złym kątem, a poza tym nie włożyłam w cios całej siły. W lewym udzie poczułam ukłucie igły. Oboje krzyknęliśmy w tym samym czasie. Mój był świszczącym skowytom bólu i zaskoczenia, jego niskim kwikiem, gdy poczuł uderzenie deski. Miałam przewagę ułamka sekundy i wykorzystałam ją, kopiąc go z boku w goleń. Niedobrze, za nisko. Mądrość samoobrony podpowiadała mi, że nie ma sensu koncentrować się na zadawaniu bólu napastnikowi. Bo to go tylko rozjusza. Jeśli go nie unieszkodliwię, przegrałam.

Złapał mnie od tyłu. Machnęłam lewym łokciem, ale znowu nie trafiłam w dziesiątkę. Napierałam na niego, kopiąc nieprzerwanie w goleń, aż się wycofał, oddychając ciężko. Zdzieliłam go deską przez ramię i pobiegłam w dół korytarzem. Potknęłam się, ale szybko odzyskałam tempo. Poczułam, jakbym wdepnęła w dziurę i przyszło mi poniewczasie do głowy, że cokolwiek mi wstrzyknął, zaczęło działać. Noga mi się zatrzęsła, rzepka poluzowała, traciłam czucie w stopach. Ten sam strach, który pompował w mój organizm adrenalinę, rozprawdzał przy okazji jakiś specyfik. Niby jad węża. Mówią, że nie powinno się wtedy biec.

Zerknęłam za siebie. Masował ramię, odwracając się właśnie w moją stronę, znowu ruszył wolnym krokiem. Nie martwił się, że mogę mu uciec, przypuszczałam więc, że zaryglował drzwi prowadzące na klatkę schodową. A może wiedział, że cholerstwo, które mi wstrzyknął, niedługo zwali mnie z nóg? Traciłam kontakt z kończynami, z trudem wyczuwałam trzymaną deskę. Chłód promieniował od skóry do środka, jakby poddano mnie szybkiemu zamrożeniu, by wysłać statkiem Bóg wie dokąd. Staralam się, jak mogłam, ale ciemność gęstniała i poczułam, że zwalniam. Straciłam poczucie czasu, gdy moje ciało walczyło z narkotykiem. Umysł działał, ale nękały mnie dziwne doznania.

Och, te kłopotliwe szczegóły, które ostatecznie układają się w całość, jak błyskotliwy dowcip! Oświeciło mnie nagle, jakby bańka ze światłem przepłynęła moimi żyłami: to właśnie Fraker dostarczał Kitty narkotyki, prawdopodobnie w zamian za informacje dotyczące poszukiwań prowadzonych przez Bobby'ego. To on podrzucił tabletki do jej szuflady. Był tam owej nocy. Może pomyślał, że najwyższa pora ją zabrać, by przypadkiem – czując wyrzuty sumienia – nie przyznała się do swej dwulicowości.

Wydłużyła się odległość do narożnika korytarza. Biegłam w nieskończoność. Proste komendy, które zdołałam przesyłać ciału, docierały z opóźnieniem, poza tym przestawało działać sprzężenie zwrotne, rejestrujące odpowiedzi na bodźce. Czy w ogóle biegłam? Czy dokądś zmierzałam? Dźwięk ulegał rozciągnięciu, zbyt późno docierało do mnie echo moich kroków. Czułam się, jakbym skakała korytarzem, którego posadzka jest trampoliną. Olśnienie numer dwa. Fraker skłamał w raporcie z autopsji. Nie było żadnego ataku. To on przeciął przewody hamulcowe. Pech, że wcześniej na to nie wpadłam. Boże, ale ja byłam tępą!

Coraz wolniej zbliżałam się do narożnika, czułam, że moje ciało się składa. Skręciłam i musiałam się zatrzymać. Podparłam się o ścianę, walcząc o oddech. Musiałam oczyścić umysł, stanąć prosto, unieść ręce, jeśli to możliwe. Czas zaczął się wydłużać jak toffi, długie strzępy, kleiste, trudne do okiełznania.

Znów śpiewał, racząc mnie listą przebojów z myszką. Nucił właśnie: *Zaakcentować pozytywne strony... Wyeliminować negatywne*, rozwałkowywał samogłoski, jak stary gramofon zwalniający po wyłączeniu zasilania.

Nawet głos w mojej głowie brzmiał głucho i odległe.

– Przygotuj się, Kinsey, – powiedział.

Pomyślałam, że jestem chyba przygotowana, chociaż nie mogłam stwierdzić, gdzie znajdują się moje nogi, biodra i większa część kręgosłupa. Ręce ciążyły mi i zastanawiałam się, czy mam zgięte łokcie.

Do boju, rzekł głos, i uwierzyłam – choć nie mogłam przysiąc – że unoszę deskę, zginając przy tym łokieć, jak nauczyła mnie ciotka dawno, dawno temu.

Dzień przechodził w noc, życie w śmierć.

Głos Frakera buczał w oddali. *Zaaakceentoować pooozytyyywwnee stroonyy, wyyyeeliiminooowaaać neegaatywwnee...*

Gdy wyszedł zza rogu, zamachnęłam się, celując deską prosto w twarz. Zobaczyłam, jak drewno rozpoczyna swój marsz poprzez przestrzeń, jasne na ciemnym tle, zmniejszając odległość. Jakbym oglądała ciąg szybko wykonanych po sobie zdjęć. Poczułam, jak deska trafia w cel ze słodkim, głośnym plaśnięciem. Piłka wyleciała za stadion i upadłam przy entuzjastycznym ryku widowni.

## EPILOG

Powiedzieli mi później, choć niewiele z tego pamiętam, że zdołałam jakoś dowlec się do kostnicy, gdzie wykręciłam 911, bełkocząc wiadomość, która sprowadziła policję. Co najbardziej utkwilo mi w pamięci, to kac, jaki mnie gnębił po koktajlu z barbituranów, który mi wstrzyknięto. Przebudziłam się w łóżku szpitalnym, chora jak pies. Ale nawet z łomoczącą głową, rzygając do plastikowej wanienki w kształcie nerki, cieszyłam się, że jestem wśród żywych.

Glen rozpieszczała mnie i każdy przychodził, żeby odwiedzić rekonwalescentkę, łącznie z Jonahem, Rosie, Gusem i Henrym. Ten ostatni piekł dla mnie chrupiące bułeczki. Podobno Lila napisała do niego z więzienia gdzieś na północy, ale nie zamierzał odpowiadać. Glen nigdy nie popuściła w swojej determinacji, by wyrzec się zarówno Dereka, jak Kitty, ale przedstawiłam dziewczynę Gusowi. Z tego, co ostatnio słyszałam, umawiają się z sobą, a Kitty doprowadziła się do porządku. Oboje przybrali na wadze.

Na razie doktor Fraker przebywa na wolności, wypuszczony za kaucją. Czeka go proces o usiłowanie zabójstwa i dwa morderstwa pierwszego stopnia. Nola przyznała się do morderstwa z premedytacją, ale nie poszła siedzieć. Po powrocie do biura spisałam raport, przedstawiając rachunek za trzydzieści trzy godziny oraz za przebyte mile; sumę zaokrągliłam do równego tysiąca dolarów. Różnicę z zaliczki Bobby'ego zwróciłam do biura Vardena Talbota, aby ten dołączył ją do jego majątku. Reszta raportu jest osobistym listem. Większa część mojego ostatniego przesłania dla Bobby'ego sprowadza się do prostego faktu, że tęsknię za nim. Mam nadzieję, że gdziekolwiek jest, zegluje pośród aniołów, nie znając więzów ni trosk.

Szczerze oddana

*Kinsey Millhone*